



ELIZA ORZESZKOWA

---

**Nad Niemnem, tom  
drugi**



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

---

ELIZA ORZESZKOWA

# *Nad Niemnem*

# Spis treści

Tom II . . . . .	4
I . . . . .	4
II . . . . .	19
III . . . . .	38
IV . . . . .	56
V . . . . .	72

# TOM II

## I

W Olszynie, za olchowym gajem, od którego zapewne folwark ten wziął swe nazwanie, na łagodnej wyniosłości gruntu dom niewielki, drewniany, nieotynkowany, niby z kosa zieleni wychylał się ze starych, ogromnie rozrosłych bżów i z gęstego rzędu fasoli, która, tuż przy ścianie posadzona, gęste i teraz kwitnące swe sploty zarzucała na tyki sięgające prawie niskiego dachu. Z tyłu domu znajdował się spory sad owocowy, prostym częstokołem<sup>1</sup> ogrodzony, bez dróg i upiększeń żadnych; z przodu, za małym, trawą i gdzieniegdzie chwastami porośłym dziedzińcem, po łagodnej spadzistości spływały aż ku olchowemu gajowi duże i urodzajne ogrody warzywne. Gaj był świeży, czysty, z grubymi i cienkimi drzewami rzadko rozstawionymi na wilgotnej i gładkiej murawie. Za rzadko rozstawionymi i gładkimi pniami przeblyskiwał w płaskich brzegach płynący tu Niemen i ukazywało się gdzieniegdzie przeciwległe wybrzeże<sup>2</sup>, okryte, jak okiem sięgnąć, gładkim, wilgotnym pastwiskiem. Gdzieniegdzie, niby drobne obrazki w zielonych ramach, widać było zza drzew pasące się na tej zarzecznej płaszczyźnie trzody albo pastuszków skupionych dokoła roznieconego ognia, albo nędzne, nie wiedzieć czyje, samotnie wśród przestrzeni stojące chaty. Za domem i sadem leżały gładkie pola; z obu stron warzywnych ogrodów zieleniały niskie łąki, na których rosły grupy wierzb, a w mokrych zagłębieniach gruntu rozrastał się jasnozielony ajer<sup>3</sup> i stały wysokie łoży<sup>4</sup> z długimi, obwisłymi liśćmi i wierzchołkami podobnymi do aksamitnych kołpaków. Było to miejsce ciche, skromne i prawie odludne. Z domu i całego jego otoczenia od razu wnieść było można, że wśród średniej własności ziemskiej Olszynka była posiadłością możliwie najmniejszą. Wniosek ten potwierdzała wieś chłopska pomiędzy łąkami do grupy wierzb przyparta<sup>5</sup>. Składała ją chat kilkanaście, dość czysto i dostatnio wyglądających. Z bliskości, w której znajdowała się od dworku, łatwo było zgadnąć, że kiedyś do Olszynki należała. Był to więc kiedyś mająteczek kilkunastochatowy, czyli znajdujący się na granicy, za którą już do najdrobniejszych ułamków ziemi spływała własność mała.

Ostry chłód zapanował po niedawno spadłym gradzie; silny wiatr kołysał wierzchołkami kilku rosnących na dziedzińcu topoli włoskich; deszczowe chmury szybko biegly jedna za drugą, to zasłaniając, to odkrywając błękit nieba. Jednak w Olszynie wszystkie okna domu, otoczone kwitnącą fasolą, były na oścież otwarte. Stały na nich pomiędzy kilku mirtami<sup>6</sup> i rozmarynami<sup>7</sup> kwitnące fuksje i róże miesięczne. Na ganku jedna z ławek zastawiona była hładyszami<sup>8</sup> pełnymi zsiadłego mleka, na drugiej stał naprędcę znać tu umieszczony kosz z sałatą i jarzynami. Długa sień, przedpokojem zarazem będąca, rozdzielała dom na dwie połowy, z których w jednej znajdowały się pokoje mieszkalne, w drugiej kuchnia i izba czeladna. W głębi sieni wielki zamek wiszący u drzwi niskich i wąskich oznajmiał spiżarnię. Za starą szafą widać było drabiniaste schodki na strych wiodące; pod ścianami stały proste, drewniane skrzynie i stołki, kosze z łożyny<sup>9</sup> uplecione, a na miejscu najwidoczniejszym — niecki<sup>10</sup> pełne świeżo upranej bielizny. Miano ją zapewne na strych wynosić, ale tymczasem tu jeszcze pozostawiono. Zapach mydlin z kuchennymi woniami złączony napelniał sień pomimo drzwi na ganek otwartych; w kuchni trzeszczał ogień i rozlegały się głosy kobiece i dziecinne; w pokojach mieszkalnych cicho było zupełnie i tylko czasem dolatywało z nich monotonne mruczenie, z którego można było odgadnąć pracowicie uczące się dziecko.

Po sieni, kuchni i izbie czeladnej krzątała się Kirlowa. Dla chłodu i panujących w do-

Gospodyni, Praca, Wieś

<sup>1</sup>częstokół — ogrodzenie z wbitych w ziemię drewnianych pali. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>wybrzeże — tu: brzeg [przypis edytorski]

<sup>3</sup>ajer — tatarak. [przypis redakcyjny]

<sup>4</sup>łoża — krzew z rodziny wierzbowatych, osiagający wysokość do 5 m; wierzba szara. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>przyparty — tu: przylegający. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>mirt — rodzaj krzewu pochodzenia śródziemnomorskiego. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>rozmaryn — rodzaj krzewu pochodzenia śródziemnomorskiego, jego liście są używane jako przyprawa do mięs. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>hładysz — gliniany dzban bez ucha do zbierania mleka. [przypis redakcyjny]

<sup>9</sup>łożyna — gałązka wierzby. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>niecka — podłużne, drewniane naczynie. [przypis edytorski]

mu ciągów miała na sobie rodzaj sukiennego tołubka<sup>11</sup>, spod którego widać było tylko brzeg perkalowej<sup>12</sup> spódnicy. To nawet gospodarskie, grube ubranie uczynić jej nie mogło grubą i niezgrabną. Ze swą kibicią<sup>13</sup> prostą, wysmukłą, o wdzięcznej linii biustu i ramion, która nadawała jej z daleka pozór pierwszej młodości, z ogorzałą<sup>14</sup> cerą twarzy, silnie odbijającą od zawiązanej na szyi białej chustki, ze ślicznym warkoczem jasnych włosów, niedbale z tyłu głowy skręconym — zaglądała ona do dzieży<sup>15</sup>, w której dziewczyna miesiła żytnie ciasto, albo przechodząc do izby czeladnej naglądała<sup>16</sup> prania bielizny, albo od płonącego w wielkim piecu ognia odstawiała hładysze, w których mleko zsiadłe zamieniło się już na twaróg, i zastępowała je coraz innymi, które z ganku przynosiła. Miała dnia tego wiele zajęć około trzech razem odbywających się robót: prania bielizny, pieczenia chleba i robienia serów. Była niezadowolona z siebie samej, bo takie zbieganie się na dzień jeden robót kapitalnych uważała za błąd i złe rozporządzenie się gospodarskie. Należało inaczej, wcale inaczej czas i zajęcie rozłożyć; takim sposobem wszystko razem robiąc, nic się prawdziwie porządnie nie zrobi. Chodząc, krzątając się, naglądając wszystkiego, a to i owo własnymi rękami dokonując, żale swe wypowiadała dwóm pomocnicom swym, dużym i silnym dziewczynom<sup>17</sup>, z których jedna chleb miesiła<sup>18</sup>, a druga bieliznę prała. Nie znaczyło to wcale, by te dziewczęta o cokolwiek obwiniać miała. Wcale nie. Sama była winna wszystkiemu; czy zalenia się trochę, czy też jej tak jakoś pomieszało się w głowie. A tu i Marynia plecacia ogrodów warzywnych doglądać musi, i pomocną jej być nie może! Ostatni ten wykrzyknik oburzył trzynastoletnią dziewczynkę, która kosz z jarzynami tylko co z ganku przyniosłszy i zwinawszy po łokcie rękawy starej perkalowej sukienki zabierała się właśnie do mycia sałaty i skrobania marchwi.

Dziecko, Matka

Córka

— A ja, mammo? — zawołała — przecież ja tu jestem! Czy to tylko Marynia jest mamy córką?

Przechodząc Kirlowa ręką gorącą od hładyszy, które w tej chwili od ognia odstawiała, pogladziła jasne, krótko ucięte włosy córki. Wszystkie one miały takie jak len jasne włosy: i ona sama, i szesnastoletnia Marynia, i trzynastoletnia Różia, i nawet chłopcy. Nie wiedziała tylko, i nieraz nawet aż w głowę zachodziła, skąd ten najmłodszy jej dzieciak, ta czteroletnia Bronia, która jak cień za człowiekiem krok w krok za nią chodziła, wzięła swoją cygańską cerę razem ze swymi czarnymi jak atrament włosami i oczami. Było to w jej rodzinie pod każdym względem wyjątkowe stworzenie. Żadne z jej dzieci, gdy było małe, tak stale i nieustannie nie trzymało się jej spódnicy, jak ten mały i czarny rozczochraniec, bo włosy jej nie tylko były czarne, ale i wiecznie rozczochrane; kręciły się one jak wióry i żeby tam nie wiedzieć ile razy na dzień je czesać, zawsze wszystkie do góry powstawały albo na śniade czoło opadały, a spod nich jak żuźle gorejące czarne oczy patrzyły na matkę, ciągle na matkę. I teraz oto tuż przy jej tołubku nieustannie z kuchni do sieni, z sieni na ganek, z ganku do izby czeladnej drepce a drepce w starych zrudziałych trzewikach, których tasiemki, żeby je sto razy na dzień najmocniej związać, zawsze rozwiążą się i wloką po ziemi za małutkimi nóżkami. W takim samym jak matka, tołubku, bo najmłodszą będąc najłatwiej zaziębić się może, drepce i gada, tak samo nieustannie gada, jak drepce, choć nikt jej słuchać ani myśli, a tylko jedna Różia od kuchennego stołu, na którym sałatę myje, odzywa się do niej czasem, z żartobliwą przekorą rozpoczynając sprzeczki czy napomnienia, o które znowu ona wcale nie dba. Wtem potknęła się i jak długa upadła. Zaraz przecież zerwała się z ziemi, wystraszonymi oczami patrząc, czy przez czas jej padania matka jej nie uciekła. Kirlowa na ziemi przysiadła i spełniać zaczęła robotę Penelopy<sup>19</sup>, czyli związywanie u trzewików tasiemek, które były przyczyną upadku.

<sup>11</sup>tołubek — ciepły kaftan noszony po domu. [przypis redakcyjny]

<sup>12</sup>perkal — rodzaj cienkiego płótna. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>kibicić — górna część tułowia. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>ogorzały — mocno opalony. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>dzieża — duże, drewniane naczynie, służące do rozrabiania ciasta na chleb. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>naglądać (reg.) — doglądać. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>dziewka (daw.) — dziewczyna, służąca. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>miesić — rozrabiać ciasto. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>robotą Penelopy — niekończąca się praca. W mit. gr. Penelopa była żoną Odyseusza, która przez 20 lat czekając na nieobecnego męża, który brał udział w wojnie trojańskiej, w dzień tkala, a w nocy pruła swoją robotę, gdyż po jej zakończeniu musiałaby wybrać na nowego męża jednego z zalotników. [przypis edytorski]

— Żebyś to ty, Broniu, choć na moment gdziekolwiek przysiadła...

Dziecko zaśmiało się na całą kuchnię, a potem niespodzianie, z zadziwiającą logiką swej czteroletniej, rozczochranej główki odpowiedziało:

— Kiedyż ja, mamó, jeść chcę!

— Masz tobie! — wstając stęknęła Kirlowa — godzinę temu przecież obiad jadłaś...

Dziewczynka tym razem ramiona swe w grubych rękawach tołubka szeroko rozłożyła i bardzo poważnie usprawiedliwiła się:

— Kiedyż ja jeść chcę!

Kirlowa z szafy wyjęła bochen razowego chleba, odkroiła zeń kawał spory, miodem posmarowała i małej podała. Ząbki jak perełki drobne i białe zatopiły się chciwie w czarnym i osłodzonym chlebie macierzyńskim, ale właścicielka ich, głośno przeżuując i różowe policzki miodem sobie osmarowując, nie mniej wytrwale niż wprzód<sup>20</sup> przy tołubku, tuż przy matczynym tołubku dreptała, a tasiemki jej trzewików znowu rozwiązane i wijące się w różne esy ciągnęły się za nią po ziemi. Jak tam przecież było, to było z córkami, ale co robią chłopcy, mianowicie młodszy Boles, którego w bawialnym pokoju co dzień na parę godzin na klucz zamykała, aby już od książki odejść nie mógł. Starszy, Staś, pewno tam z chłopskimi dziećmi po łące czy drodze hasa i powróci z czołem pełnym guzów. Ale jemu więcej wolno, bo z promocją do czwartej klasy na wakacje przyjechał. Boles zaś dwa lata już w drugiej klasie przesiedział i jeszcze promocji nie dostał. Złękła się była tego ogromnie. Na rok trzeci w tej samej klasie pozostać nie wolno. Pójdzie precz ze szkoły i co ona z nim potem zrobi? Pojechała do miasta i wyprosiła, wychodziła, wyjęczała dla niego pozwolenie zdania powtórnych egzaminów po wakacjach. Powinien się więc do nich przygotowywać, a nie chce. Swawolny i leniwy. W ojca się wrodził. Cóż robić jednak? Napędzać dziecko trzeba, bo bez szkół — zginie. Ile ją już ten chłopiec bezsennych nocy kosztował! Ciekawość, czy teraz zamknięty w pokoju na klucz uczy się albo pustuje? Wyszła do sieni, aby przez drzwi posłuchać, co się w bawialnym pokoju dzieje, ale w tejże chwili dał się słyszeć stuk, brzęk i na dziedzińcu tętent szybko biegnących nóg. Kirlowa, a za nią malutka Bronia i większa Rózia na ganek wybiegły. Okazało się, że więzień, długim zamknięciem zniecierpliwiony, przez okno wyskoczył, wazon z kwitnącą fuksją stłukł i za bramę uciekał. Rozległy się wołania matki i siostr, na które przecież był głuchy, z rozrzuconymi włosami, w swej przeszłorocznej<sup>21</sup> podartej bluzce szkolnej co sił uciekając i w ucieczce tej ukazując podarte podeszwy butów. Gdyby Kirlowa na bunt ten zrezygnowała się<sup>22</sup> pobłażliwie, macierzyńska powaga jej ucierpiałaby na tym wielce. Nie pierwszy to już raz zresztą Olszynka była świadkiem podobnych skandalów. Dziewka od dzieży zbiega dogoniła, który z pogardą eskortę jej łokciami odpychając, nadąsany, ale i zawstydzony, do domu wrócił. Kirlowa z rozpaczą w oczach i gestach ze skrzyni stojącej w sieni i będącej składem przeróżnych rupieci gruby sznur dostała.

— Chodź! — z wielką powagą do syna rzekła i za rękę go wzięwszy do bawialnego pokoju wprowadziła, drzwi za sobą zamykając. Słysząc było, że mówiła tam z gniewem i krzykiem, to znowu tonem upominania i przekonywania; wyszła po chwili z twarzą w ogniu, z drżącymi trochę rękami i ustami. Widać było po niej, że to srogie mentorstwo, które zmuszona była względem dzieci swych okazywać, wiele ją kosztowało. Drzwi na klucz już nie zamykała, a na wystraszone i pytające spojrzenie Rózi odpowiedziała:

— Przywiązałam go do kanapy i kazałam uczyć się... Mocno przywiązałam...

Ale wnet uderzyła w nią troska nowa.

— Żeby tylko Staś nie zaziębił się w taki zimny dzień latając... Dziś z rana gardło go bolało. A nie widziałas, Róziu, w czym Marynia do ogrodu poszła?

— Marynia poszła w tołubku, ale Staś poleciał w jednej płóciennej bluzce i mówił Rózi, że gardło go coraz gorzej boli.

— Masz tobie! — za głowę schwyciła się Kirlowa. — Poszłabym go szukać, ale czasu nie mam...

Istotnie, nie miała ani chwili czasu, bo oto i teraz we drzwiach od kuchni zjawił się

Syn

Gospodyni

<sup>20</sup>wprzód — przedtem. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>przeszłoroczny — zeszłoroczny. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>zrezygnować się na coś (prow.) — pozostawić bez kary, potraktować pobłażliwie. [przypis redakcyjny]

młody oficjalista<sup>23</sup>, namiestnikiem<sup>24</sup> tytułowany, jedyny jej w gospodarstwie pomocnik, który oznajmił, że ci kupcy, którzy tu tydzień temu zajeżdżali, przybyli znowu i życzą sobie zobaczyć wełnę. Ucieszyła się tą wiadomością bardzo. Miała około dwustu owiec, merynosów, z których co roku sprzedawała mniej więcej dziesięć pudów<sup>25</sup> wełny. Był to jedyny grosz, który wpływał do jej kieszeni w miesiącach letnich nie licząc nabiału i warzyw, których sprzedają w najbliższym miasteczku opędzała potrzeby domowe<sup>26</sup>. Przy zbliżających się żniwach, które znacznego wydatku na robotnika potrzebują, kupcy na wełnę byli jej niezmiernie pożądanymi. Zapomniała na chwilę o chlebie, serach, praniu, przywiązany do kanapy Bolku i chorym na gardło Stasiu, z wielkim kluczem wyszła z domu i skierowała się ku spichrzowi<sup>27</sup>, przy którego drzwiach oczekiwali na nią przybyli kupcy.

Jednokonny ich wózek stał przy bramie; za bramą i dziedzińcem widać było ogród warzywny, na którego zagonach<sup>28</sup> siedziało kilka kobiet wiejskich. W pobliżu tych kobiet, na zagonie także, siedziała młodzianka dziewczyna w sukienym<sup>29</sup> tołubku, na który spadał gruby warkocz jasnych włosów. Siedziała na zagonie i podnosiła głowę ku siedzącemu na płocie młodemu człowiekowi w myśliwskim ubraniu. Młody ten człowiek miał na plecach fuzję<sup>30</sup> i z wielkim ożywieniem o czymś rozprawiał. Pomiędzy dwojgiem młodych ludzi leżał wielki, czarny wyżeł i pasowymi czapkami świeciło kilkoro drobnych chłopskich dzieci. Kirlowa patrząc na ten dość daleki, ale wyraźnie widzialny punkt przestrzeni uśmiechnęła się. W rozmawiającej i dziecięcym drobiazgiem otoczonej parze rozpoznała najstarszą córkę swoją i młodego Witolda Korczyńskiego. Nie miała jednak czasu przypatrywać się im długo; z ciężkością wielkim kluczem spichrz otworzyła i we wnętrzu jego wraz z kupcami zniknęła. Zabawiła tam dobry kwadrans, potem ukazała się znowu na dziedzińcu. Wiatr zadął silniejszy jeszcze jak wprzódy i nisko gwałt szczyty topoli. Olchowy gaj szumiał, za nim przebłyskiwały burzące się fale Niemna; ciemna i gruba chmura w otoczeniu mniejszych i lżejszych sunęła samym środkiem nieba; ostry i zimny deszcz padać zaczął. Kirlowa obejrzała się na ogród warzywny i zobaczyła młodą parę wraz z gromadką dzieci i czarnym wyżelem szybko dążącą ku małemu budynkowi, który u końca ogrodów warzywnych do płotu dziedzińca przyparty, służył na skład ogrodowych nasion. Kobiety pielące z zagonów nie wstając podniosły głowy i patrząc na dziecinny drobiazg, który zapewne do nich należał, a teraz pod dach był uprowadzony, śmiały się głośno i z uradowaniem. Kobieta pomiędzy dwoma kupcami od spichrza ku domowi idąca uśmiechnęła się znowu, ale wnet do towarzyszy swych zagadała. W burzliwej fali wichru i deszczu, z mokrymi włosami, zziębłe ręce w rękawy tołubka chowając, szła jak zwykle prosto, zgrabna i z dala dziwnie młodo i delikatnie wyglądająca, ale mówiła głosem podniesionym, z coraz większą energią i zaciętością; słychać ją było na całym dziedzińcu i aż w kuchni. Targowała się z kupcami, którzy jej dawali po osiemnaście rubli za pud wełny, a ona żądała po dwadzieścia. Coraz głośniej i energiczniej dowodziła przymiotów<sup>31</sup> swego towaru, zsyłała się na Korczyńskiego i innych sąsiadów, którzy za tę cenę wełnę swą sprzedawali, przysięgała na dzieci, że taniej nie odda. Tak doszła aż do gan-ku, na którym jednak, gdy stanęła twarzą ku dziedzińcowi zwrócona, umilkła, a potem wykrzyknęła:

— A toż co?

Drogą pomiędzy gajem olchowym a warzywnymi ogrodami szybko jechała i już ku otwartej bramie dziedzińca zawracała zgrabna, błyszcząca od szkieł i posrebrzeń, czterema pięknymi końmi ciągnięta kareta. Konie były w angielskich szorach<sup>32</sup>, na koźle siedział

Gospodyni, Gość, Kobieta,  
Ciało, Strój

<sup>23</sup>oficjalista (daw.) — urzędnik. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>namiestnik — zastępca ekonomy, gumieny. [przypis redakcyjny]

<sup>25</sup>pud (ros.) — jednostka wagi, wynosząca nieco mniej niż 16,5 kg. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>opędzać potrzeby domowe — pokrywać, zaspokajać domowe potrzeby. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>spichrz — budynek przeznaczony do przechowywania żywności; spichlerz. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>zagon — długi, wąski pas ziemi. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>sukienny — uszyty z sukna, tj. grubej tkaniny wełnianej. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>fuzja — długa broń palna. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>przymiot — cecha, zaleta. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>szory — rodzaj uprzęży; szeroki skórzany pas zakładany na pierś konia wraz z pomocniczymi rzemieniami. [przypis redakcyjny]

brodaty stangret i młody lokaj w zielonej, poślaczonymi taśmami szamerowanej<sup>33</sup> kurcie. Poznała karetę i konie Różyca. Kupcy na widok przybywającego grzecznie oświadczyli, że do odjazdu gościa na zakończenie interesu czekać będą. Ale Kirlowa nie słyszała tego, co mówili. Zmieszała się tak, że przywiędłe policzki i drobnymi zmarszczkami porysowane czoło okrył aż po brzegi jasnych włosów świeży jak u młodej dziewczyny rumieniec. Wielki Boże! Trzy hładyszki z mlekiem zsiadłym na ławce ganku, w sieni niecki z mokrą bielizną i zapach mydlin, a ona sama w starym tołubku i białej muślinowej<sup>34</sup> chustce na szyi! Do sieni wpadła i z energicznymi gestami przywoływała dziewczkę kuchenną, półgłosem rozkazując jej wnieść do izby czeladnej niecki z bielizną. Dziewka bosa, w grubej koszuli i krótkiej spódnicy, z czerwonymi, po łokcie obnażonymi i twarogiem poplamionymi rękami, wypadła z kuchni, porwała niecki i biegła z nimi przez sieni właśnie w chwili, kiedy Różyc wysiadłszy z karetki w progu domu stanął. Za nim, na ganku, widać było zieloną, złotym galonem oszytą czapkę i trochę hardą, a trochę drwiącą twarz młodego lokaja. Dziewczyna z nieckami jak wryta stanęła, szeroko oczy i usta otwierając, i żadne mrugania ani gesty gospodyni domu zruszyć jej z miejsca nie mogły. Ale Różyc zdawał się wcale nie spostrzegać kłopotu, którego był przyczyną, i twarzą ku wieszadłom zwrócony, bardzo powoli, z pomocą lokaja paltot<sup>35</sup> zdejmował. Potem zwrócił się ku gospodyni, która milcząc ze zmieszania rękę mu na powitanie podawała. Zrazu mniemać by można, że z niejaką przykrością przyjdzie temu wykwintnemu panu ścisnąć tę opaloną, widoczne ślady bliskich stosunków z kuchnią i praczkarnią noszącą rękę kobiecą. Przed chwilą właśnie od dotykania worów z wełną przyłgnęło do niej trochę białawego pyłu, a przy zakręcaniu wielkiego klucza w zamku spichrza gwóźdź jakiś ją zadrasnął i pozostawił długą, czerwoną kresę. Jednak Różyc, nisko pochylony, złożył na tej ręce pocałunek nie ceremonialny, ale długi i przyjacielski. Bardzo ładne i jeszcze różowe usta Kirlowej zarysowały pośród zwiędłej twarzy uśmiech serdeczny. Otworzyła drzwi bawialnego pokoju.

— Proszę wejść, kuzynku, bardzo proszę; tak cieszę się, że cię widzę... tak dawno u nas nie byłeś!

Widać było, że cieszyła się istotnie, ale zaledwie przestąpiła próg pokoju, rumieniec znowu załzał jej twarz i czoło. Na kanapce przed rozłożoną książką siedział nadąsany, jak piwonია czerwony Boles z nogą do nogi kanapy przywiązana. Ten okropny chłopiec wyskakując przez okno rozlał atrament i w kilku miejscach poplamiał nim pomalowaną na czerwono podłogę; w dodatku tuż przy jej tołubku znalazła się znowu Bronia, ta czarna, rozczochrana Bronia ze swymi utrapionymi tasiemkami od trzewików, które ciągnęły się po ziemi. Mniejsza już o te tasiemki, ale chłopca odwiązać trzeba, choćby dlatego, że siedzi na jedynym miejscu, na którym z gościem swym zasiąść ona może!

Pobiegła ku kanapie, przysiadła na ziemi i drżącymi trochę rękami rozwiązywała sznurek, który sama z przebiegłością więziennego dozorczy w mnóstwo węzłów była splątała. Różyc i tego jej kłopotu zdawał się wcale nie spostrzegać. Nachylił się do Broni pytając, czy zdrowa i dlaczego sobie czarnych oczu lepiej nie umyła, a potem nawet wziął dziecko na ręce i w oba miodem usmarowane policzki je ucałowawszy, z wolna znowu na ziemi postawił. Podniesienie tego małego ciężaru sprawiło mu znać zmęczenie, bo ręką powiódł po drgającym czole i głęboko odetchnął. Binokle<sup>36</sup> opadły mu na piersi. Uśmiechał się do dziecka, ale wyraz oczu jego był smutny. Na koniec, uwolniony z więzów chłopiec, czerwony i zawstydzony, w kształcie ukłonu szasnął przed gościem nogami, z pokoju wypadł i drzwi za sobą ze stukiem zatrzęsnał. Różyc trzymając ciemną rączkę dziewczynki zwrócił się do Kirlowej:

— Ta faworytka<sup>37</sup> moja wyrośnie na niepospolicie piękną kobietę; zobaczysz to, kuzynko. Już ja się na tym znam!

— Zawsze jesteś łaskaw dla małego rozczochrańca tego, kuzynie — ze swym pojętnym uśmiechem odpowiedziała Kirlowa, ale oczy jej miały ciągle wyraz roztargniony i postawa była wahająca się i zmieszana. W małej bawialni swej spostrzegła nieporządku,

Dziecko, Gość

Córka, Kobieta, Mężczyzna

Dom, Gospodyni, Gość

<sup>33</sup>szamerowany — obszyty ozdobnym sznurem. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>muślin — półjedwabna tkanina. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>paltot (przestarz.) — okrycie wierzchnie; palto. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>binokle (daw.) — okulary [przypis edytorski]

<sup>37</sup>faworyt — ulubieniec. [przypis edytorski]



które ją zawstydzaly. Kwieciste perkalowe pokrycie skromnych sprzętów swawolni<sup>38</sup> jej synowie poplamili piaskiem i atramentem, pył okrywał stojącą pomiędzy oknami mahoniową<sup>39</sup> komodę, i była to już wina Rózi, do której codziennie sprzątanie mieszkania należało. Z pośpiechem zamykała drzwi, przez które widać było sypialny pokój z dwoma usłanymi łózkami i toaletą mahoniową, wielkim lustrem i rzeźbami przyozdobioną. Łóżka były czyste i nawet ozdobnie usłane, a staroświecka wyprawna jej toaleta stanowiła sprzęt dość osobliwy i kosztowny. Ale Kiriłowa pamiętała dobrze o tym, że sypialnia, nawet najozdobniejsza, nie powinna ukazywać się oczom gości. Cóż, kiedy w tym domu były po stronie mieszkalnej tylko cztery pokoje: bawialny, sypialny, dziecinny i mała jadalnia, w której teraz sypiali chłopcy i kilka kur siedziało na jajach. Nie sposób było w takiej ciasnocie zachować wszystkie przepisy przyzwoitego urządzenia domu. Właśnie w chwili kiedy drzwiami otwierającymi się z jednej tylko strony widok sypialnego pokoju przed gościem zasłaniała, Rózyć prawie pieszczotliwym ruchem rękę jej zdjął ze starej, żelaznej klamki i zatrzymując ją w swych chudych, ale jak atlas białych i gładkich rękach, z uśmiechem zaczął:

— Widzę, kuzynko, że przyjazdem swoim sprawiam ci zawsze kłopot, i to mnie martwi... Będę w tym wypadku, o! tylko w tym wypadku, lepszy od ciebie, bo zupełnie otwarty, i poproszę, abys mnie szczerzej uważała za krewnego swego, przed którym nie czuje się potrzeby ani ukrywać czegokolwiek, ani czegokolwiek się wstydzic... Dobrze, kuzyneczko? Proszę powiedzieć, że tak nadal będzie. Dobrze?...

Rękę jej ciągle w dłoniach swych trzymając mówił to z tak serdecznym połączeniem żartu i czułości, że Kiriłowa, uradowana i ujęta, znowu po brzegi włosów zarumieniona, rękę jego mocno ścisłała.

— Dziękuję ci, Teosiu — zaczęła — bardzo dobry jesteś... ale ja, widzisz, mam dawne przyzwyczajenia moje, których nigdy pozbyć się nie mogę...

— Niechże ci więc te przyzwyczajenia brużdżą w stosunkach z innymi, ale nie ze mną — żywij się jak zwykle zawołał Rózyć. — Zresztą — dodał — powinnaś wiedzieć, że tyle już widziałem i zaznałem wszelkiego rodzaju zbytków, że mnie największe bogactwa zadziwić nie mogą. Gdybyś była taka, jakimi zwykle bywają kobiety bogate, mniej bym się czuł do ciebie pociągnięty...

Zupełnie już ośmielona, z figlarnym błyskiem oczu, który zdradzał, że kiedyś, w pierwszej może młodości, zalotność zupełnie obca jej nie była, zauważyła:

— Lubisz rozmaitość, kuzynku, i temu to widać względny tve zawdzięczam!

Siadając obok niej na kanapie, z uśmiechem odpowiedział:

— Jestem, moja droga kuzynko, wielkim nicdobrego, który choruje od objedzenia się marcepanami<sup>40</sup> i z uszanowaniem spogląda na chleb razowy...

— O! — śmiejąc się zawołała — bardzo trafne nazwanie dla siebie wymyśliłeś! Trzeba rzeczywiście być wielkim nicdobrego, aby tak ślicznie urządzać się ze wszystkim...

— Otóż to — potwierdził — otóż tak obchodź się ze mną zawsze! Jesteś jedyną w świecie osobą, która mi w oczy gorzkie prawdy mówi. Z początku mnie tym zdziwiłaś, a potem zachwycałaś. Chciałbym, abyś mnie więcej jeszcze łajała<sup>41</sup>. To coś na kształt uczucia owych dawnych pokutników, którym się zdawało, że za każdym uderzeniem dyscypliny jeden grzech spadał im z pleców...

— Gdyby wszystkie twoje grzechy z pleców ci zrzucić trzeba by ręki silniejszej niż moja — zaśmiała się jeszcze.

Śmiech jej przecież, z początku swobodny i trochę rubaszny<sup>42</sup>, topniał w żalu, który nappełnił jej oczy. Wzięła rękę krewnego i patrząc mu w twarz zapytała:

— Cóż? Jakże? Czy nie chorowałeś bardzo w tych czasach? Może już obejrzałeś swoje majątki? A z tym okropnym przyzwyczajeniem<sup>43</sup>... wiesz! co słycać? Może choć trochę starasz się przewycięzać?...

Rózyć uśmiechał się niedbale, ale zarazem i przyjaźnie.

Grzech, Spowiedź

Jedzenie

Choroba, Dekadent, Nuda

<sup>38</sup>swawolny — niesforny, rozbrykany. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>mahoniowy — z ciemnoczerwonego drewna mahoniowca a. w kolorze mahoni. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>marcepan — słodka masa z migdałów i cukru, symbol luksusu. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>łajać — strofować, ganić. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>rubaszny — swobodny, prosty. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>okropne przyzwyczajenie — chodzi tu o uzależnienie od narkotyku. [przypis edytorski]

— Tyle mi naraz pytań zadałaś, moja droga spowiedniczko — rzekł — że nie wiem, na co wpieryw odpowiadać. Nie chorowałem gorzej niż zwykle, ponieważ jedyną chorobą moją jest nieopisana apatia, mam się trochę lepiej, bo znalazłem coś, co mnie w ostatnich czasach trochę podniecać zaczęło. Majątek swoich nie tylko jeszcze nie obejrzałem, ale mnie sama myśl o tych oględzinach w rozpacz wprawia. Wiesz dobrze dlaczego. Lenistwo nieprzewyciężone, zupełne do podobnych rzeczy i ludzi nieprzyzwyczajenie, na koniec i może najbardziej wieczne i nieodparte pytanie: po co?

— Na koniec i najbardziej — z żywością przerwała — to twoje dziwne, okropne, z paskudnego tego świata, w którym żyjesz, przywiezione przyzwyczajenie...

Zaśmiał się głośno.

Kirłowa brwi zmarszczyła, energicznie jednak ściśniętą ręką o dłoń drugiej uderzając zawołała:

— Śmieję się, ile chcesz, a ja zawsze powiem, że to jest jakaś niesłychana i niewidziana okropność... Już nasi chłopcy lepsi, co się po prostu wódką upijają...

— Niesłychana i niewidziana rzecz dla ciebie, moja kuzynko, i dla was wszystkich w odludnych kątach żyjących, ale na szerokim świecie rozpowszechnia się to bardzo, staje się prawie epidemicznym...

Bystro zmęczonymi oczami na niego popatrzała:

— Czy nie mogłeś uniknąć tej epidemii? Skąd ją wziąłeś? Nigdyś mi jeszcze o tym nie mówił.

— Bardzo prosto — odpowiedział. — Pojedykowałem się i byłem raniony w taki sposób, że cierpiałem okropnie... Z początku zadawano mi znaczne dozy narkotyku tego dla zmniejszenia bólów, a potem przywykłem... Jedyne to już dla mnie wyjście, przez które uciekam od ciężkiej nudy, od upadku sił i może jeszcze od... od czegoś podobnego do rozpaczki!

Przykrył binoklami oczy, w których przebiegły gorączkowe błyski. Ona słuchała go ze zdziwieniem i ciszej jak wprzódy wymówiła:

— Pojedykowałeś się! Jezus, Maria! I to więc prawda, że pojedykowałeś się! Z kim? O co?

Z ostrym, nerwowym śmiechem odrzucił plecy na tylną poręcz kanapy. Po drgającym czole i dokoła śmiejących się ust przebiegła mu błyskawica cynizmu<sup>44</sup>, gdy odpowiedział:

— Z kim? Mniejsza o to! O co? Wiesz? O ścierkę!

Kirłowa obie dłonie do głowy podniosła.

— A niechże diabli wezmą ten wasz wielki świat, na którym rosną takie szkaradztwa i takie trucizny! Wolę już ja być głupią parafianką<sup>45</sup>, gęsią, owcą, a takiego wielkiego świata nie znać!

— I masz słuszność — krótko rzekł Różyc.

Słowa te z prostotą wymówione ulagodziły ją w gnieniu oka. Z powagą jednak mówić zaczęła:

— Ponieważ, kuzynie, zwierzyłeś się przede mną ze wszystkim, uważałabym się za podłą, gdybym ci pobrażała i przytakiwała...

Urwała i zmieszała się trochę, bo uczuła nagle, że w mowę jej wplątywać się zaczęły wyrażenia grube i które dla siebie za niewłaściwe uważała. Tych wyrażen i pewnych szorstkich dźwięków głosu nabrała w ciągłej styczności ze służbą, z parobkami, z robotnikami, a tak przy tym była żywa, że uniknąć ich nie mogła wtedy nawet, kiedy tego chciała najbardziej.

— Jak wprzódy w swoim domu, tak teraz w swojej mowie coś nieeleganckiego spozstrzegłaś, prawda? — zapytał przybyły.

Zarumieniła się znowu trochę, ale wnet od siebie myśl odwracając, z zamyśleniem wymówiła:

— Dziwna rzecz! Jesteś jednak i dobry, i rozumny... To tak zupełnie wygląda, jakby w jednym człowieku było dwóch ludzi...

Różyc w rękę ją pocałował.

Bogactwo, Głupota,  
Rozum, Szczęście,  
Sobowtór

<sup>44</sup>cynizm — w znaczeniu potocznym: lekceważenie obowiązujących zasad moralnych i obyczajowych. [przypis redakcyjny]

<sup>45</sup>parafianka — tu: kobieta z prowincji. [przypis edytorski]

— Powiedziałaś jak filozof. Widzisz, to ta dwoistość jest kluczem do odgadywania wielu na świecie zagadek...

Splotła ręce na kolanach i kołysała głową w obie strony.

— Wiesz co, kuzynie? — zaczęła — zdaje mi się, że byłbyś daleko szczęśliwszy, gdybyś się takim bogatym nie urodził.

— Albo — przerwał — gdybym się był urodził... bardzo głupi.

— Jak to? — zapytała.

— Zgadnij! — zażartował i z ciekawością na nią patrzył.

Przez chwilę myślała.

— Cóż to tak trudnego do odgadnięcia! Gdybyś był głupcem, nie dbałbyś o nic i do końca hulałbyś sobie wesoło, a ponieważ, choć późno, do rozumu przyszedłeś, zrozumiałeś, coś zmarnotrawił i stracił!

Śmiał się.

— Nie masz pojęcia, kuzynko, jak lubię z tobą rozmawiać. Zupełnie rozumne rzeczy wypowiadasz w taki sposób...

Zamyślili się oboje. Kobieta znowu roztargniona stawać się zaczęła. Dość długa już rozmowa o przedmiotach obcych codziennym jej zajęciom zmęczyła ją nieco. Przypomniała też sobie swoje dzisiejsze roboty i interesy, myślała: czy też chleb posadzono już do pieca i czy kupcy na wełnę nie zniecierpliwili się czasem i nie odjechali? Wstała z kanapy, a zupełnie jednocześnie z nią podniosła się z ziemi siedząca dotąd u jej kolan mała Bronia.

— Każę zaraz podać herbatę...

Różyc z żywym poruszeniem upewnił, że herbaty nigdy prawie nie pija. Popatrzyła na niego trochę przenikliwie, a trochę ze zmieszaniem. Po chwili jednak śmiało rzekła:

— Mówisz nieprawdę. Herbatę lubisz i pijasz jej wiele... wiem o tym od męża. Ale raz już spróbowałaś naszej i wiesz, że nie jest tak wyborna, jak ta, do której przywykłeś...

Różyca prawdomówność jej widocznie bawiła i ujmowała.

— Moja wina! — zawołał. — Złapałaś mnie na kłamstwie. Wszelkiej rzeczy niesmacznej lękam się jak ognia...

— Trzeba było powiedzieć tak od razu. Po co kłamać? I bez tego już pewno nakłamałeś w życiu jak ostatni faryzeusz<sup>46</sup>. Przyniosę ci więc konfitur, bo o konfiturach moich nie będziesz mógł powiedzieć, że są niesmaczne. Nauczyłam się kiedyś przyrządzać je od Marty Korczyńskiej... Niewiele ich zwykle smażę, ale lepszych pewno i w swoim Wiedniu nie jadłeś!

Prędko wyszła z pokoju, a razem z nią, tuż przy jej tołubku, podreptała Bronia, w ręce klaszcząc i wołając:

— Konfiturki będą! Konfiturki! I ja, mamó, chcę konfiturzek!

Z całej, dość osobliwej rozmowy dwojga krewnych dla tej małej, rozczochranej, czarnookiej istotki ten jeden wyraz posiadał sens zrozumiały.

W gruncie rzeczy oprócz szczerzej chęci uczęstowania krewnego Kirlowa pałała żądzą zajrzenia na drugą stronę domu. Musiała tam coś w jej nieobecności zepsuć się czy niezupełnie udać, bo do bawialnego pokoju doszedł po chwili podniesiony nieco głos, którym przemawiała do służących. Potem jeszcze zamieniła już w sieni kilka słów z kupcami i na koniec do bawialnego pokoju weszła niosąc na tacy kilka pełnych konfitur spodków. Tuż obok niej, potykając się co chwilę o rozwiązane tasiemki trzewików, przydreptała Bronia. Za nią Różia wniosła talerz pięknych malin i miarki cukier w staroświeckim, kunsztownie wyrobionym kubku. Takie kosztowne i piękne przedmioty, jak mahoniowa komoda pod ścianą, dwa olejne portrety na ścianie, toaleta<sup>47</sup> z wielkim lustrem i rzeźbami, srebrny, osobliwego kształtu kubek, dziwnie odbijały na skromnym aż do ubóstwa tle tego domu, przypominając zarazem, że gospodyni jego pochodziła ze starego i niegdyś bogatego domu.

Postawiwszy na stole maliny i cukier Różia, poważnie prostując swą jak u matki zgrabną i już wysmukłą kibić z jasnymi, krótko uciętymi włosami, które przy każdym

<sup>46</sup>faryzeusz — członek żydowskiego stronnictwa polityczno-religijnego; przen. człowiek obłudny. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>toaleta — mebel z lustrem i szufladami, służący najczęściej kobietom. [przypis edytorski]

jej kroku w górę nieco podlatywały, wyszła z pokoju. Matka szepnęła jej coś o bieliźnie, kupcach i Stasiu.

Różyc prędko i z pewną gwałtownością w ruchu ręki podnoszącej do ust łyżeczkę, jedząc konfitury mówić zaczął:

— Wyborne, istotnie wyborne! Przepadam za słodyczami i paru godzin obejść się bez nich nie mogę! Więc nauczyłaś się smażyć konfitury od panny Marty Korczyńskiej... od tej oryginalnej starej panny... Bardzo to jest szanowna osoba, skoro takie umiejętności posiada... Ale, *à propos*, dawno widziałaś pannę Justynę?

Kirlowa, spodek, na który położyła trochę konfitur, wkładając w ciemną rączkę Broni, żywo odpowiedziała:

— Zdaje się, że nikt jej tak niedawno, jak ty, kuzynku, widzieć nie mógł. Przyjechałeś tu przecież z Korczyzna.

— Skądże wiesz?...

— Słyszałam, jak o tym w kuchni mówił twój lokaj, i przyznam ci się, że zła jestem na ciebie za to ciągle podjeżdżanie do Korczyzna...

— Naprzód nie ciągle, bo byłem dotąd zaledwie kilka razy, a potem, czegoż zła jesteś?

— Wiesz o tym dobrze — sarknęła.

— Łaj mnie więc — odpowiedział — pozwalam i nawet proszę. Ale cóż ja temu winien jestem, że panna Justyna bardzo mi się podoba?

— Otóż to! — zawołała. — Dla ciebie i tobie podobnych jedna jest tylko ważna rzecz na świecie: podoba się albo się nie podoba. Zresztą nic.

— Masz słuszność — odrzekł.

— Ale na koniec — z coraz większą irytacją wołała — z czego ona, na nieszczęście swoje, tak bardzo ci się podobała? Przystojna jest, to prawda, ale tysiąc piękniejszych widziałeś pewno na świecie. Kokietką<sup>48</sup> nie jest...

— Otóż to — potwierdził Różyc.

— Edukowali ją wprawdzie krewni, ale znowu ta edukacja nie jest tak bardzo świetna...

— Otóż to — powtórzył.

— Szczególniej od tej swojej historii z Zygmuntem Korczyńskim zrobiła się bardzo poważna, nie stroi się, nie zaleca do mężczyzn, nie szczebiocze...

— Otóż to — raz jeszcze wymówił.

— Więc cóż? Wy tam przecież na świecie do wcale innych kobiet przywykliście i dla wcale innych głowy tracie!

Przestał jeść konfitury, których prędko zjadł bardzo wiele, i o poręcz kanapy plecy opierając, z na wpół żartobliwą, a na wpół szczerą powagą mówić zaczął:

— Przede wszystkim masz wiedzieć, że takie kryształowe, jak ty, osoby<sup>49</sup> wcale się na takich rzeczach nie znają. My tylko, wiesz? nicponie, wiemy dobrze, dlaczego do tej lub tej kobiety pociąg czujemy... Rozumiesz? Pociąg, czyli instynkt, który daje nam wiedzieć, że z tą właśnie kobietą wychylić możemy w pełni tego słowa znaczeniu kielich rozkoszy... Otóż i rumienisz się teraz jak pensjonarka<sup>50</sup>... Ach! ach! cóż to za boska rzecz taki rumieniec na twarzy matki pięciorga dzieci!

Rumieniła się istotnie, po swojemu, dziewiczo płomiennym i świeżym rumieńcem, ale przewyciężając zawstydzenie, poważnie rzekła:

— Nic nie szkodzi. Mów wszystko. Chcę wiedzieć, co myślisz o Justynie...

— Zatem — mówił dalej — na pierwszym miejscu stoi tu pociąg, czy jaśniej dla ciebie wyrażając się, sympatia. Do panny Justyny uczulem od razu sympatię... wyznaję nawet, że bardzo, bardzo żywą... Masz słuszność, że wiele, wiele piękniejszych kobiet znałem na świecie i nawet... zdrowie i majątek na całopalenie<sup>51</sup> przed nimi składałem... Ale w tym kontraście czarnych włosów i szarych oczu, jaki się znajduje u panny Justyny, w jej kibici,

<sup>48</sup>kokietka (przestarz.) — kobieta zalotna. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>osoba kryształowa — osoba bez skazy, z zasadami. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>pensjonarka — uczennica pensji dla dziewcząt; osoba niedoświadczona, niewinna. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>całopalenie — ofiara całopalna, polegająca na spaleniu całego zwierzęcia poświęconego na ofiarę; tu: symbol poświęcenia. [przypis edytorski]

ruchach etc, etc. jest coś... coś takiego, słowem... ale *passons*<sup>52</sup>, ty tego nie zrozumiesz... ta dziewczyna ma temperament, upewniam cię, ma nawet wiele temperamentu...

— *Passons!* — powtórzyła Kirlowa. — Cóż dalej?

— Dalej jest to właśnie, co przed chwilą wyliczyłaś. Kokietek, szczebiotek, histeryczek, prawdziwych i fałszywych księżniczek miałem dosyć, zanadto; *toujours des perdrix*<sup>53</sup> nie było nigdy dewizą moją. Dla zmiany, widać, zacząłem przepadać za zdrowiem ciała i duszy, czego najlepszym dowodem jest ta admiracja<sup>54</sup> i to rzetelne przywiązanie, które dla ciebie, kuzynko, powziąłem.

Parę razy zdjął swe binokle i znowu nimi oczy zasłonił. Znowu też machinalnie zaczął jeść konfitury. Nagle, przerywając sobie jedzenie, zaczął:

— Dziś, na przykład, siedziałem obok niej przy obiedzie. Dopóki dawałem jej to i owo do zrozumienia, okazywała się chmurna i odporna, prawie nie odzywała się, nie patrzyła na mnie. Zmieniłem taktykę i zacząłem z tonu obiektywnego... ożywiła się natychmiast i rozmawiała bardzo przyjemnie. Opowiadała mi o naturze otaczającej Korczyn, o jakimś parowie nadniemeńskim i wcale pięknym przywiązaniem do niego podaniu ludowym... w taki sposób, że byłem... byłem prawdziwie zajęty. Bardzo, bardzo jest rozsądna i kiedy mówi o takich rzeczach, które ją zajmują, ma takie ogniki w oczach i coś takiego w układzie ust... Tylko... Szturmem jej wziąć nie można... Dyplomacji cnota potrzebuje... i jest to jedyną jej przywarą, a zarazem i najsilniejszą ponętą...

Kirlowa była tak zamyślona, że ostatnich słów krewnego zdawała się nie słyszeć. Nagle podniosła głowę i tonem takim, jakby znakomitego odkrycia dokonywała, rzekła:

— Kuzynie! Jeżeli Justyna tak bardzo ci się podoba, ożeń się z nią...

Różyc rękę z łyżeczką na stół opuścił, binokle zwykłym sobie prędkim ruchem w dół pociągnął, w półzdumionym a w półprzeżętym wzrokiem na krewną popatrzył i śmiechem wybuchnął.

— Wyborny pomysł, kuzynko, wyborny, nieoceniony! — wołał. — Toż bym dopiero niespodziankę urządził światu i samemu sobie! A papa Orzelski? Czy ja bym tę chińską figurkę na kominku u siebie postawił? A francuszczyzna panny Justyny, *entre nous*<sup>55</sup>, dość kulawa? Gdyby się oko w oko spotkała z moją księżną ciocią, chybaby biedna ciotka śmiertelnego ataku spazmów dostała...

Śmiejąc się jeszcze dodał:

— Pomysł twój, kuzynko, świadczy o doskonałej dobroci twego serca i zupełnej zarazem nieznajomości świata... W takich amfibiach<sup>56</sup>, jak panna Justyna, kochać się bardzo można, ale żenić się z nimi — *impossible*<sup>57</sup>...

— Amfibie! — zawołała Kirlowa. — Kobietę do żaby przyrównywać!...

— Naturalnie — przerwał Różyc. — Sama pomyśl: urodzona i nie urodzona, wychowana i nie wychowana, biedna i nie biedna... słowem, nie wiedzieć kto...

Z błyszczącymi od gniewu oczami Kirlowa zapytała:

— Więc po cóż jeździsz do Korczyna?

— Bo mnie ta niespodziewana dla mnie samego sympatia ożywia trochę, podnieca, i doprawdy, zjawiała się ona bardzo w porę, kiedy już zwątpił o wszelkich urokach życia...

— Ale jakież koniec? — uparcie zapytywała kobieta.

— Moja kuzynko — odpowiedział — za mało jestem filozofem, abym myślał o końcu każdej rzeczy... *Adviennne ce que pourra*<sup>58</sup>... I chwila przyjemności do pogardzenia nie jest...

Kirlowa z wielką powagą i stanowczością rzekła:

— Nic z tego nie będzie, mój drogi. Justyna nie da się zbałamucić<sup>59</sup>! Przeszła już ona przez smutne doświadczenie, znam dobrze jej charakter i sposób myślenia...

Słuchał z zajęciem; czoło i brwi mu drgały.

— Znasz ją dobrze? Jesteś pewna tego, co mówisz?

<sup>52</sup>*passons* (fr.) — mniejsza z tym. [przypis redakcyjny]

<sup>53</sup>*toujours des perdrix* (fr.) — „zawsze kuropatwy”; wyrażenie przysł., oznaczające nieustanną pogonią za kwintem i rozkoszą. [przypis redakcyjny]

<sup>54</sup>*admiracja* — podziw, uwielbienie. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*entre nous* (fr.) — między nami (mówiąc). [przypis redakcyjny]

<sup>56</sup>*amfibia* — organizm zdolny poruszać się zarówno w wodzie, jak i na lądzie. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*impossible* (fr.) — niemożliwe. [przypis redakcyjny]

<sup>58</sup>*adviennne ce que pourra* (franc.) — niech się dzieje, co chce. [przypis redakcyjny]

<sup>59</sup>*bałamucić* — uwodzić, kokietować. [przypis edytorski]

— Najpewniejsza.

Zamyślił się, ręką powiódł po czole, źrenice mu zaszyły wyrazem dalekiego jakiegoś marzenia. Kirlowej zdawało się, że westchnął.

— Ale ty, kuzynie, naprawdę zajęty jesteś Justyną! — zawołała.

— O ile jeszcze mogę być czymkolwiek albo kimkolwiek zajęty. Wyznam ci, że sam się dziwię... Ale niepodobne do przewidzenia są kaprysy serca czy tam wyobraźni...

— Więc ożeń się z nią! — nie dbając jakby o wszystko, co przed chwilą mówił, zaczęła znowu.

Ale przerwało jej otworzenie się drzwi od sieni i głos Rózi, który zawołał:

— Mamo, Staś wrócił i ma okropną chrypkę...

Kirlowa, jak sprężyną podjęta, skoczyła i z pokoju wybiegła. Wraz z nią, naturalnie, podobna do myszki wysunęła się Bronia. Różyc sam jeden pozostawszy, z czołem na obie dłonie opuszczonym, słyszał z głębi domu tu dochodzące napomnienia przelęknionej matki i odpowiedzi malca wypowiedane głosem tak od ochrypnięcia ciekim, że podobne były do najpiskliwszych tonów jakiegoś zepsutego flecika. Trzask ognia, stuk siekiery, pluskanie wody, głosy kuchennych dziewczek dochodziły tu przez wąską sien z drugiej połowy domu. Na dworze pogoda stawała się cichsza i jaśniejsza. Wiatr ustawał, chmury rozbiegały się szybko we wszystkie strony nieba; przez gęste, wysokie bzy przedarł się promień zachodzącego słońca i pozłocił kwitnące na oknie skromne fuksje i róże miesięczne. Czy ten wysoki i chudy człowiek w wytwornym ubraniu, z ufryzowanymi<sup>60</sup> włosami nad białym czołem i wiszącymi u piersi binoklami w złotej oprawie wsłuchiwał się w odgłosy tego małego domu i odgadywał z nich to życie, które w nim płynęło wiecznie tym samym, pracowitym i skromnym potokiem? Czy nasuwało mu ono porównania, uwagi, myśli tak dotąd nie znane, jak nie znanym dlań był cały rozległy rząd podobnych istnień? Wydawał się głęboko zamyślony w chwili, gdy Kirlowa do małej bawialni wracając w zakłopotaniu swym zapomniawsza nawet o zamknięciu za sobą drzwi sypialnego pokoju. Nie myślała już także wcale o przedmiocie przerwanej przed kilku minutami rozmowy.

— Syn mi zachorował — ze zmartwieniem rzekła — gardło ma słabe i w przeszłym roku dostał był tak silnego zapalenia, że doktora wzywać musiałam. Lękam się, aby znowu nie było to coś złego, i kazałam Rózi, aby lipowy kwiat przygotowała.

Trwoga i zgryzota<sup>61</sup> czyniły twarz jej daleko starszą, niż była przed kwadransiem. Różyc rękę do niej wyciągnął.

— Biedna ty moja kuzyneczko — rzekł — ile ty mieć musisz pracy, trosk i zmartwień z tym małym mająteczkiem, z dziećmi...

Do głębi ujęta usiadła obok niego na kanapie, policzek oparła na dłoni i o wszystkim, co ją obchodziło, mówić zaczęła. Rada może była, że znalazła w krewnym współczującym jej powiernika. Opowiadała mu, jak przed laty dwunastu, we cztery lata po swoim wyjściu za mąż, spostrzegłszy, że w Olszynie wszystko szło bez żadnego ładu i dozoru i że wcale bliska groziła im ruina, wzięła się sama do gospodarstwa i interesów. Dla kobiety była to rzecz niezwykła, ale nie święci garnki lepią. Uczyla się u sąsiadów i sąsiadek, szczególnie u Korczyńskiego i Marty; z każdym rokiem przybywało jej energii i umiejętności, i jakoś to poszło i idzie, wcale dobrze nawet idzie, tylko z wychowaniem dzieci bieda.

— Pięcioro — mówiła — pomyśl tylko, kuzynie, na tym kawałku ziemi, który około tysiąca rubli dochodu przynosi... Trzebaż to wykarmić, ubrać i czegokolwiek nauczyć!

O edukacji córek już i nie marzyła. Sama je nauczyła, czego mogła, a zresztą niech dobrymi gospodyniami będą! Ale synów kształcić pragnęła i do szkół ich oddała marząc sobie, że jeden z nich gospodarzem na Olszynie zostanie, a drugi w świat z zawodem jakim pójdzie. Ale szkoły drogo kosztują. Czasem sobie włosy z głowy wydziera przemyśliwając, czym i jak za nich zapłaci. Dotąd znajdowała źródła i środki, ale nie jest pewna, czy tak do końca będzie. Lada niepowodzenia, lada klęska w gospodarstwie, a jej najdroższe nadzieje przepadną! Tymczasem robi, co może, i gdyby tylko Bolek większej ochoty do nauki nabrał, a Staś tak często nie chorował... Ot, jaka bieda! jeden zdrowy, ale nie bardzo zdolny, drugi zdolny i chętny, ale słabego zdrowia.

<sup>60</sup>ufryzowany (przestarz.) — ułożony w loki. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>zgryzota — zmartwienie, smutek. [przypis edytorski]

Wszystko to opowiadała z policzkiem na dłoni opartym i gęsto, gęsto w tej chwili drobnymi zmarszczkami okrytym czołem. Końce jej ładnych ust opuszczały się czasem w dół, rzucając na dolną część twarzy dwie głębokie bruzdy.

— Ile ty lat masz, kuzynko? — zapytał wpatrujący się w nią ciągle Różyc.

— Trzydzieści cztery — z niejakim zdziwieniem odpowiedziała.

— Czy wiesz o tym, że kobiety w twoim wieku i tak jak ty urodzone używają jeszcze życia na swoją rękę, błyszczą w świecie, łowią w locie różowe godziny wesołości i szczęścia?...

Nie dbała skinęła ręką.

— Mniejsza o to! Inne ja rzeczy mam na głowie...

I dalej jeszcze opowiadały o swoich biedach i nadziejach, gdyby Różyc jej nie przerwał. Powoli, z przestankami, bo znużenie ogarniać go już zaczynało, mówić jej zaczął o zupełnej swej niezdatności do osobistego zarządzania Wołowszczyzną, o tym, że niepodobna mu w tych stronach osiedlać się stale, że pragnie i potrzebuje koniecznie kogoś do zarządzania majątkami tymi i chciałby, aby tym kimś był mąż jej, Bolesław Kirło. Układ ten — mówił — byłby korzystny dla stron obu. Wołowszczyzna pod zarządem życzliwego krewnego zaczęłaby prosperować<sup>62</sup> i większe dawać dochody; krewny zaś otrzymywałby za swą pracę wynagrodzenie, które by znakomicie podniosło dobrobyt jego rodziny: trzy tysiące rocznej pensji, tantiema<sup>63</sup> od zwiększających się dochodów i inne różne zyski, które teraz leni się przypominać sobie i wyliczać...

— Jeżeli nic przeciwko układowi temu nie masz, droga kuzynko, pomów o nim ze swoim mężem. Niech przygotuje kontrakt, umowę czy tam coś podobnego i przywiezie mi do podpisania. Za parę miesięcy będzie mógł przyjąć rządy majątków od teraźniejszego rządcy, który stał się zupełnie już niemożliwy.

Kirłowa słuchała z uwagą, potem dość długo milczała i myślała. Widać było, że perspektywa przedstawiona jej przez krewnego uśmiechała się do niej prawie rajskim powabem. Odpocząć nieco po kilkunastoletniej ciężkiej pracy, gospodarstwo w Olszynie ulepszyć, synom i młodszym córkom staranne wychowanie zapewnić! Co za złote marzenie! Nic nad to na ziemi nie pragnęła. Ale po długim namyśle wyraz głębokiego smutku twarz jej pokrył. Głową przecząco wstrząsnęła.

— Dziękuję ci — zaczęła z cicha — dziękuję, dziękuję, ale to być nie może... Ja... ja nigdy nie zgodzę się na to...

Widziała, że patrzył na nią ze zdziwieniem, więc ze spuszczonymi powiekami, tak prędko, jakby pilno jej było pozbyć się tego przedmiotu rozmowy, ale zarazem z częstym wahaniem się głosu mówiła:

— Byłoby to dla nas wielkim szczęściem i rozumiem dobrze, że właśnie dlatego propozycję tę zrobiłeś... ale widzisz... dla ciebie nie wynikłoby z tego układu nic dobrego... Jest to ostatni już twój fundusz... trzeba, aby ktoś zajął się nim na dobre, a Bolesław... mój mąż... gdzie tam! ani myśleć o tym nie można!

Nagle pochwyliła jego ręce i podniosła ku niemu wzrok pełen trwogi i prośby.

— Tylko — zawołała — nie myśl o nim nic złego... proszę cię, nie myśl o nim nic złego! Ja wcale nie mówię, że jest on nieuczciwy czy coś podobnego. Wcale nie! Nic przecież złego nikomu nie zrobił, spytaj się wszystkich, a każdy ci powie, że nic złego nie zrobił i że to dobry człowiek, poczciwy...

— Więc dlaczego? — pytał Różyc.

— Dlaczego? Mój drogi kuzynie, każdy człowiek ma swoje wady, wiesz o tym dobrze. I on je ma... Nie są to nawet wady, tylko przyzwyczajenia... Pracować nie lubi, bez towarzystwa i rozrywek żyć nie może. Gdybyś wiedział wszystko: jak go wychowywali i jak pierwszą młodość swoją przeżył, sam byś przyznał, że są to tylko przyzwyczajenia... Ojciec jego, mając ten tylko folwarczek, trzymał się wiecznie pańskich klamek, od komina do komina jeździł i syna z sobą wozził. W szkołach trzy klasy tylko skończył i zaraz za skończonego obywatela uchodzić zaczął. Potem, kiedy ożenił się ze mną i moim posażkiem długi opłacił, ja sama starałam się wyręczać go we wszystkim i kłopoty od niego usuwać... Tak już przywykłam... ale z tymi przyzwyczajeniami jakżeby on mógł tak wielkiej

<sup>62</sup>prosperować — rozwijać się pomyślnie. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>tantiema — procentowy udział w zyskach. [przypis edytorski]

pracy podołać? Podjąłby się może, ale wiem, że nic by dobrego z tego nie wynikło... Nie chcę! Wolę już tak, jak jest! Proszę cię na wszystko, abys jemu o tym projekcie nigdy nie wspominał i sam o nim nie myślał. Proszę...

Różyc wpatrywał się w nią niby w ciekawe zjawisko.

— Moja droga — zaczął — ty kochasz tego człowieka?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Jakże?... — zaczęła. — Poszłam za niego z miłości, nikt mnie nie zmuszał, owszem, rodzice sprzeciwiali się, familia odradzała i paru innym dla niego odmówiłam. Czy ty, kuzynie, wyobrażasz sobie, że my, tak jak wy tam, na waszym wielkim świecie, dwadzieścia razy w życiu kochać i przestawać kochać możemy?

— Dwieście razy! — poprawił.

Ale ona żartobliwej poprawki tej nie słysząc mówiła dalej:

— Nabiera się przecież przyjaźni i przywiązania dla człowieka, z którym choć czas jakiś przeżyło się szczęśliwie. Zresztą, dzieci!... Mój kuzynie, jeżeli ożenisz się kiedy i zostaniesz ojcem, zrozumiesz, jaki to węzeł!

— Z tym wszystkim nie chcesz, abym twemu mężowi powierzył...

— Nie! — żywo zawołała — nie chcę, stanowczo nie chcę, bo on by nie podołał i wynikłaby z tego szkoda dla twoich majątków... wiem o tym!

Różyc wstał. Niejaka zdolność do sympatii i współczucia istnieć jeszcze musiała w tym apatycznym i chorym człowieku, bo wyraz, z jakim patrzył na krewną swą, był bardzo podobny do wyrazu uwielbienia.

— Cóż robić? — rzekł — kiedy tego żadną już miarą nie chcesz... ale musisz przynajmniej pozwolić...

Obie jej ręce w swoich trzymając i w twarz jej patrząc z widoczną nieśmiałością dokończył:

— Abym ponosił kosza wychowywania twoich synów, dopóki... dopóki oni nauk nie skończą albo ja reszty majątku nie stracę.

Przy ostatnich wyrazach próbował uśmiechnąć się żartobliwie, ale nerwowe drgania tak mu wstrząsały czołem, brwiami i ustami, że twarz jego przybrała wyraz bolesny, prawie tragiczny.

— Proszę — dokończył ciszej — proszę...

Stała chwilę ze spuszczoneymi oczami, płomiennie zarumieniona i milcząca. Może ze swymi także przyzwyczajeniami w tej chwili walczyła, dobrodziejstw od nikogo przyjmować nie chcąc. Dwie duże łzy wypłynęły spod jej spuszczonych powiek i na pięknie zarysowanych, przywiedłych policzkach przeciągnęły wilgotne bruzdy. Ale wnet potem podniosła na krewnego spojrzenie pełne głębokiej wdzięczności.

— Dziękuję — rzekła z cicha — i przyjmuję... od ciebie! Zresztą, dla dzieci... wszystko...

Pocałował obie jej ręce, a gdy wyprostował się, twarz jego wydawała się daleko spokojniejsza niż wprzód, choć pociemniała jakoś i bardzo zmęczona.

— Zrobiłaś mi prawdziwą łaskę... Na ciemnej przestrzeni, którą ciągle widzę przed sobą, będę miał choć jeden punkt jaśniejszy... O szczegółach tyjących się tych kochanych chłopców pomówimy innym razem... Teraz muszę już jechać...

Spojrzał na zegarek.

— Już przeszło sześć godzin, jak z domu wyjechałem.

— Boże mój! — westchnęła Kiriłowa — a więcej niż sześć godzin trudno ci obejść się bez...

— Bez czego? Nazwijże choć raz rzecz po imieniu! Po prostu, przez usta ci przejść to nie może, co?

Próbował znowu żartować, ale było coś rozpaczliwego w geście, jakim dłoń po czole przesunął, i wymówił:

— Trudno... niepodobna!

Ona z bólem na niego patrzyła.

— Wiesz co? — rzekła — jedyny dla ciebie ratunek byłby w ożenieniu się z kobietą rozsądną, szlachetną i którą byś kochał...

— Wracasz do swego...

Małżeństwo, Mąż, Miłość,  
Przyjaźń, Żona

Choroba, Kobieta,  
Małżeństwo, Mężczyzna



— I ciągle powracać będę! — zwykłym sobie ruchem ściśniętą rękę o dłoń uderzając zawołała i z wesołym znowu spojrzeniem dodała: — *Ce que femme veut, Dieu le veut*<sup>64</sup>. Francuszczyzna moja pewno tak samo kulawa, jak u Justyny, ale przysłowie sprawdza się często. Zresztą, najlepiej po prostu mówić: gdzie diabeł nie może, tam babę pośle... Zobacysz, że ja cię namówię...

Przy drzwiach jeszcze, ściskając mu ręce, mówiła:

— Jak tylko złapię swobodną godzinę, sama do ciebie przyjadę i znowu o tym pomówimy. I jeszcze coś na myśl mi przyszło. Jeżeli chcesz dla Wołowszczyzny prawdziwie dobrego rządcy, zrób tę propozycję Korczyńskiemu. To, to ale. Doskonały gospodarz, jak wół pracowity i perła uczciwości, mówię ci, że perła... Spróbuj...

Niebdale machnął ręką. Widać było, że śpieszył bardzo z odjazdem i że wszystko na świecie obchodzić go przestawało, ale Kirlowa zbiegła z ganku i przy stopniu karety zgrabnym ruchem uczepiwszy się jego ramienia, szepnęła mu jeszcze na ucho:

— Pomyśl nad tym, co mówiłam ci o Justynie. Kpij z cioci księżny i ze wszystkich światowych głupstw! Łajdactwo cię nie uszczęśliwiło, spróbuj pocziwego życia!...

Jakkolwiek zobojętniały i znużony aż do bezsilności, zaśmiał się połową drgających ust.

— Oto co znaczy prawdziwie rzeczy po imieniu nazywać! Dobrze, przyjedź do Wołowszczyzny, o wszystkim pomówimy.

Zaledwie karetka wytoczyła się za bramę, Kirlowa do domu wpadła, w kuchni i izbie czeladnej kilka rozporządzeń wydała i do tego pokoju pobiegła, w którym znajdowali się jej synowie. Tu trafiła na gwałną scenę. Swawolny Boles i niedomagający Staś zawzięcie bawili się z najmłodszą siostrą, strasząc ją niby tupaniem nóg i hukaniem nad samymi jej uszami; ale więcej niż kiedy rozczochrana i z tołubka swojego rozebrana Bronia znała się dobrze na podobnych żartach i udając tylko, że się lęka, z zanoszącym się śmiechem w różne kąty pokoju uciekała. Naprawdę przelekleły się tylko siedzące w kotuchach<sup>65</sup> kury, które przecież stanowisk swych nie opuszczając, z postawami pełnymi powagi, wniebogłosy gdakały. Uspokojona trochę o syna, boć nie mógł czuć się bardzo chory, skoro bawił się tak wesoło, Kirlowa kupców do bawialnego pokoju wprowadziła i po krótkiej jeszcze z nimi sprzeczce prędko, z niejakim rozmachem pióra umowę napisała, zadatek pieniężny wzięła i chwilę jeszcze bardzo grzecznie o urodzaju i cenach zboża porozmawiawszy, na ganek wyszła.

Na dworze zimny wiatr przez dzień cały szalejący zupełnie ustał, powietrze było chłodne jeszcze, ale ciche i mniej ostre. Daleko, kędyś na krańcu zaniemeńskich pastwisk, słońce zachodziło pogodnie i jaskrawo, ulewą światła napelniając przezroczysty gaj olchowy, zza którego rzadkich pni widać było pstrą trzodę na przeciwległym wybrzeżu rzeki rozsypaną. Z wilgotnej łąki, która spływała ku szarzejącej w pobliżu wiosce, od wód stojących, których istnienie zdradzały jasnozielone ajery i ciemne kołpaki łozy, dochodziły przeciągłe i coraz bliższe ryczenia krów. Ścieżką, która środkiem łąki biegła od dworu do wsi, szła gromadka kobiet, które od plecica warzywnych ogrodów powracały. Był to wijący się pośród zielonej przestrzeni sznur jaskrawych chustek kobiecych, pąsowych<sup>66</sup> czapek dzieciennych i szybko migocących bosych stóp. Sposób, w jaki ta ścieżka wydeptana była, opowiadał o częstych i licznych stosunkach zachodzących pomiędzy tym niewielkim dworem i tym niedługim szeregiem chat. Teraz także z gromadką powracających do wsi kobiet i dzieci rozminęło się kilku chłopów do dworu dążących. Kirlowa na ganku stojąc z daleka ich spostrzegła. Wiedziała, z czym przychodzą, ale w tej chwili nie mogła cierpliwie czekać nadejścia gospodarzy, którzy po trochu byli jej współnikami, bo obrabiali w Olszynce część gruntów, najbardziej od dworu oddaloną, po połowie dzieląc się zbiorami z ich właścicielką. Po prostu, trudno jej było w tej chwili stać na miejscu. Niespokojna czuła się widocznie; ze zmarszczonym czołem i wyteżonym wzrokiem patrzyła w stronę warzywnych ogrodów. Roboty dzienne były już tam ukończone: dlaczegóż więc córka jej nie wracała? Dlaczego ten ładny i taki żywy chłopak tak często tu przebywał, ani na krok dziewczynki tej nie opuszczając? I ojcu jego może się nie podobać, że co dzień prawie dla

<sup>64</sup>*Ce que femme veut, Dieu le veut* (fr.) — czego chce kobieta, tego chce i Bóg. [przypis redakcyjny]

<sup>65</sup>*kotuch* (gwar.) — zagroda na ptaki domowe, kojec. [przypis redakcyjny]

<sup>66</sup>*pąsowy* — czerwony. [przypis edytorski]

Olszynki Korczyn opuszcza. I Marynia... taka młodziutka i tak głębokie, niewymowne szczęście tryska z jej twarzy, gdy spostrzeże czarnego Marsa, który w szerokich poskokach na dziedziniec wpada, pana swego poprzedzając.

— Co ja z tym fantem pocznę? — z widoczną troską szepnęła do siebie kobieta. — Wypowiedzieć mu dom albo niegrzecznie przyjmować go... niepodobna! Bo i za cóż? Pocziwy chłopak i syn najpocziwszego sąsiada! Znają się z sobą od dzieciństwa, więc może to taka przyjaźń... ale dlaczego już nie przychodzą!

Zbiegła z ganku, prędko przeszła dziedziniec i niedaleko małego spichrza za kilku bżowymi krzakami stanęła. Zobaczyła córkę swą siedzącą na niskim progu małej budowy, do której wnętrza parę godzin temu przed padającym deszczem uprowadzała chłopskie dzieci.

Z warkoczem lnianych włosów opadającym na wąski tołubek szesnastoletnia dziewczyna różowy swój policzek na dłoni wspierała i błękitne oczy wznosiła w górę ku twarzy stojącego przed nią towarzysza. W myśliwskim ubraniu swym, wysmukły i zgrabny, z luźną fuzji zza ramienia mu sterczącą, Witold Korczyński rozprawiał o czymś z ożywieniem wielkim i częstymi, żywymi gestami. Nadawało mu to z daleka pozór niepospolitej żywości i wybuchliwości, jakkolwiek w zmęczonej trochę cerze jego twarzy znać było długą już i wytężoną pracę książkową. Znać było w tym młodzieńcu dziecię chwili pełnej udręczeń serc i niepokoju umysłów. Nie rozrósł się on na kształt dębu szeroko i potężnie w ciszy i dostatkach rodzicielskiego domu, ale na ławach szkolnych we wczesnych trudach pamięci i myśli wybujał jak młoda topól<sup>67</sup>, giętka i poddająca się ruchom otaczającego ją powietrza. Czoło miał dziewczęce: białe i gładkie, oczy myśliciela, a zarys ust zdradzający nadmierną wrażliwość i czułość. W ruchach jego głowy była zbyt duża nieco śmiałość i duma; można by czasem rzec, że tuż, tuż, za parę dni lub godzin, wybierze się w podróż naokoło świata albo i na podbój całego świata. Znajdując się tu już od paru godzin, wiele zapewne z towarzyszką swą mówić musiał, przyniósł dla niej książkę, która teraz leżała na jej kolanach; jednak ani ochoty do mówienia nie stracił, ani ona przestała go słuchać z ciekawością w ożywionych rysach i wzniesionych ku niemu oczach. Zaniepokojone serce matki na widok tej młodej pary uspokoić się mogło. On miał pozór nauczyciela, ona uczennicy; wyglądali jeszcze na parę dobrych przyjaciół zgadzających się z sobą we wszystkim i razem układających jakieś plany. Dziewczynka czyniła głową potakujące ruchy oznaczające zrozumienie albo wysoki stopień zapału, co zdawało się uszczęśliwiać i do dalszego mówienia zachęcać młodzieńca. Z oddalenia, w jakim się znajdowała, Kiriłowa słyszała tylko oderwane wyrazy: lud, kraj, gmina, inteligencja, inicjatywa, oświata, dobrobyt itd. Parę razy tylko do uszu jej doszły całe okresy żywcem jakby z mądrej jakiejś książki wyjęte, a prawiące coś o pracach podstawowych i minimalnych<sup>68</sup>, o poprawieniu historycznych błędów itd. Uśmiechnęła się prawdziwie po macierzyńsku, trochę żartobliwie, a trochę dumnie.

— Dobrze — rzekła — kiedy tak, to dobrze! Niech sobie gwarzą o takich pięknych rzeczach!

I miała już odejść ku gankowi, ale jeszcze młoda para wzrok jej do siebie przykuła. Marynia z wolna podniosła się ze swego niskiego siedzenia i z powolnością ruchów zdradzającą głębokie zamyślenie wsunęła rękę swą pod ramię towarzysza. Powoli przeszli ogród warzywny i wzdłuż olchowego gaju kierowali się ku ścieżce do wsi wiodącej. Nieraz już Kiriłowa widziała ich idących w tamtą stronę. Zdawało się, że machinalnie i bezwiednie prawie ciągnęła ich tam wewnętrzna jakaś siła uczucia i myśli. Teraz postacie ich i profile, blisko ku sobie przysunięte, plastycznie odbijały od zielonego tła gaju, po którym przesuwały się powoli. On więcej niż kiedy miał pozór apostoła idee swe wygłaszającego i myśliciela z chmurnymi trochę oczami pod dziecinnym czołem, ona szła z pochyloną nieco głową, z opuszczonymi w dół powiekami i tym zachwyconym uśmiechem na różowych ustach, który towarzyszy budzeniu się młodej myśli i woli. Za nimi

<sup>67</sup>topól — topola. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>prace podstawowe i minimalne... — Witold, jako przedstawiciel młodego pokolenia pozytywistów, zapoznaje Marynię z głównymi założeniami nowego prądu, zalecającego ograniczenie się do „małego” programu reform, zwanego inaczej programem pracy od podstaw i pracy organicznej. Sprowadzał się on przede wszystkim do hasła gospodarczego rozwoju kraju i podniesienia oświaty wśród ludu w ramach ustroju kapitalistycznego. [przypis redakcyjny]

Idealista, Kobieta,  
Mężczyzna, Młodość,  
Nauczyciel, Uczeń

szedł poważnie wielki, czarny wyżeł, a przed nimi zachodzące słońce kładło na drogę szerokie szlaki różowych, ruchomych świateł.

## II

Paru godzin do południa brakowało, gdy Justyna z olśniewającej ulewy słonecznego światła wchodziła do przyciemnionej nieco sieni korczyńskiego domu. W rękach, więcej niż kiedy ogorzałych, trzymała wielką więź polnych roślin, która w połączeniu z jasną barwą jej sukni i ognistymi rumieńcami policzków czyniła z niej upostaciowanie rozkwitłego lata. Na wschody ganku wbiegła żywo, ale potem stanęła i długo popatrzała kędyś daleko za bramę dworu, na pole. Zamyślenie to przecież smutnym być nie musiało, bo znowu zwracając się ku domowi, prawie głośno zanuciła:

Lecą liście z drzew, co wyrosły wolne,  
Na mogile śpiewa jakieś ptaszę polne<sup>69</sup>...

Ale zaledwie weszła do sieni, przerwała nucenie i przyspieszyła kroku, bo w sali jadalnej słyhać było ożywioną rozmowę i nawet jakby sprzeczkę paru głosów. W głębi sali, plecami o bufetową szafę oparta, wielka i trochę przygarbiona, stała Marta, a przed nią młody chłopak i niedorośla panienka mówili jej o czymś oboje razem, o coś na nią nalegali, prosili. Chłopak miał na sobie krótkie i dość zaniedbane ranne ubranie, panienka zaś, wątła i z żółtawą cerą, cała w muślinach, wstążkach, lokach, przypominała bladego, ale ładnego motyla. Oboje bardzo prędko mówili.

— Moja ciociu, czyż ciocia dla nas tego nie zrobi? Kiedy my tak prosimy, tak lękamy się o zdrowie cioci... Doktor powiedział, że cioci koniecznie leczyć się trzeba... że w tym kaszlu jest coś złego... Niech ciocia pozwoli, aby doktor tu przyszedł... my go przyprowadzimy... Czyż ciocia dla nas tego nie zrobi?...

Cieniutkimi ramionami panienka usiłowała objąć kościstą kibić starej panny, a utrefioną swą główkę wysoko podnosiła, aby móc patrzeć w jej twarz, po której przepływały fale uczuć najsprzeczniejszych: gniewu i rozrzewnienia. Gniew przemógł.

— A dajcież mi święty pokój! — rozległ się po sali głos basowy i ochryply. — Oto mnie napadli! Wieczna niedola! Doktor wasz głupi... co on tam takiego w moim kaszlu usłyszał? Niech Emilkę i Terenię leczy, bo one chore, a ja zdrowa, zdrowiuteńka, mury łamać mogę i żadnych doktorów nie potrzebuję. Jeszcze czego! Wieczne głupstwo! Uf!...

Miała zakaszać się, tak jak bywało zwykle, ilekroć mówiła ze wzburzeniem, ale wstrzymała się i tylko krztusiła się głośno. Wtem spostrzegła wchodzącą Justynę i rzuciła się ku niej jak ku zbawieniu.

— Spacerujesz sobie, kochanko, spacerujesz, nie wiesz gdzie przepadasz i nic nie wiesz, co się w domu dzieje. Wieczna bieda! Emilka zachorowała na nerwy, na piersi, na serce, na wszystko... doktora sprowadzili... Benedykt tak złąkł się i tak prędko wieść go kazał, że konie, powiadam ci, całe w pianie przed gankiem stanęły. Pół godziny temu przyjechał i powiedział, jak zawsze, że to nic strasznego... Wielkie rozdrażnienie nerwów i troszkę kataru, bronchitów<sup>70</sup>, jak zawsze, powietrze jej zalecił, ruch, rozrywki, dwie recepty zapisał... Ale ja tam do jej pokoju weszłam z kawą i przekąską dla doktora i trzebaż nieszczęścia, zakaszałam... troszkę tylko, mówię ci, że troszkę... A on popatrzył na mnie i powiada, że to zły kaszel, że mnie leczyć się trzeba... Ja w nogi, a dzieci za mną! „Lecz się, ciotko, i lecz się, pogadaj z doktorem i pogadaj!” A żeby on choć przez trzy dni ust nie otwierał, daj Boże! Chora... chora... wieczne głupstwo! Już jeżeli ja chora, to któż zdrowy? Powiadam ci, że w tej ścianie pięścią dziurę zrobię, jeżeli zechcę!

Kiedy Marta prędko, z rozmachiwaniem ramion i trzęsieniem głowy, nad którą sterczał wysoki grzebień, wszystko to mówiła, Witold i Leonia prędko także i z ożywionymi gestami cicho porozumieli się ze sobą; z sali wybiegli. Justyna powolnym ruchem wzięła rękę Marty, cicho ją pocałowała i długo w oczy jej patrzyła.

<sup>69</sup>Lecą liście z drzew (...) — początek pieśni Wincentego Pola (1807–1872) ze zbioru *Pieśni Janusza*, zatytułowanej *Śpiew z mogiły*. (W oryginalne początek brzmi: „Leci liście z drzewa”) Według niezupełnie pewnych danych muzykę do słów tej pieśni ułożył Fryderyk Chopin. [przypis redakcyjny]

<sup>70</sup>bronchit — ostre zapalenie oskrzeli. [przypis edytorski]

Lato

Choroba, Lekarz, Opieka,  
Zdrowie

— Ja to wszystko rozumiem, ciotko — wymówiła z cicha.

— Już?... rozumiesz? — z trochę zjadliwym śmiechem zadziwiła się Marta, ale wnet spostrzegłszy, że coś niepotrzebnego powiedziała, wybuchnęła: — Cóż ty rozumiesz? Tu najmniejszej rzeczy do rozumienia nie ma! Zdrowa jestem zupełnie i wcale nie potrzebuję, aby mi jak indyjskie gąski do gardła rzucali... A ty zaraz w melancholię wpadasz... „Rozumiem!” Nic nie rozumiesz... Wieczne...

Umilkła, bo wzrok jej upadł na snop roślin, które przyniosła Justyna i na stole położyła.

— A toż skąd? — wskazując bukiet bardzo do różnobarwnej miotły podobny zawołała.

— Niech ciotka zgodnie — uśmiechnęła się Justyna.

Czy zgadywała? Wąskie jej wargi zacisnęły się i pośród zmarszczek prawie zniknęły; górną połowę swej ciężkiej postaci naprzód podała, a rozplamione przed chwilą oczy jej przygasty i w więź roślin wpatrzyły się tak, jakby ktoś wpatrywał się w nagle przed nim powstałe widmo czegoś, co niegdyś było żyjącym, znanym, może drogim.

— Justyna!

Na dnie stłumionego jej głosu czuć było jakieś wewnętrzne warczenie.

— Co, ciotko?

— Gdzie ty byłaś?

Młoda panna spokojnie odpowiedziała:

— W Bohatyrowiczach.

— A któż ci dał... to...?

Ciemnym, pomarszczonym palcem wskazywała bukiet, jeszcze odeń wzroku nie odrywając. Tym razem Justyna głowę nad więzią roślin pochyliła.

— Jan Bohatyrowicz — ciszej odpowiedziała.

Jakby ją to nazwisko w pierś uderzyło, Marta wyprostowała się i ze szczególnym połączeniem śmiechu i tego samego, co wprzód, wewnętrznego warczenia wybuchnęła:

— Cha, cha, cha! No, to już u nich familijne! Wiecznie bukiety wiążą, a co który zwiąże, to miotła. Czysta miotła! Widywałam ja kiedyś takie bukiety często, a ten do tamtych podobny jak dwie krople wody! Ależ pachnie, aż się po całej sali rozeszło! Znałam ja kiedyś i te zapachy... Uf... nie mogę...

I nie mogła już wstrzymać się, zakaszła; pomarszczone jej czoło nabiegło krwistym rumieńcem. Z tym rumieńcem na czole i krztusząc się jeszcze wymówiła znowu:

— Justyna!

— Co, ciotko?

Stała teraz przed młodą panną prosta i ciężka, podobna do słupa umieszczonego na wielkich, w kwieciste pantofle obutych stopach, i wprost jej w twarz ostro patrzała. Po chwili wskazujący palec do wysokości swej twarzy podniosła i poruszyła nim w powietrzu prawie groźnie.

— Cóż ty sobie myślisz, panienko?... — z cicha zaczęła. — Może ty myślisz, że jednym ludziom Pan Bóg daje serca, a drugim kamienie?... Pewno tak myślisz, ha? U ciebie serce, bo ty panienska, a u niego kamień, bo to chłop! Ha? Pobaw się z kamuszkiem, pobaw się, co to szkodzi? Z nudy, z melancholii! Na pociechę po pańskich karmelkach chłopskie miotły, tymczasem, póki Pan Bóg znowu jakiego panicza nie ześle, ha?

W sposób ten mówiłaby może więcej, ale do sali wbiegł lekki, strojny, głośno śmiejący się podłotek i z radosnym błyskaniem oczu przyłgnął cały do niej, jak błądy motyl do ciemnego słupa.

— Otóż i postawimy na swoim! Otóż ciocia będzie musiała z doktorem porozmawiać! Już go Widzio tu prowadził!

W salonie słyszeć się dały kroki dwu mężczyzn, z pokoju pani Emilii ku sali jadalnej zmierzające. Marta, jak wybuchającą miną podrzucona, porwała się z miejsca i kilku susami salę przesadziwszy wpadła we drzwi do dalszych pokojów wiodące. Za nią biegła Leonia, a potem i Witold, który doktora w salonie pozostawiwszy próbował jeszcze ciotkę dogonić i do zamiaru swego namówić. Ale Marta, pochylona, piętami suknię wysoko za sobą podrzucając, z głośnym tętentem stóp przebiegła parę pokojów, w których parę krzeseł na drodze jej stojących przewróciła, aż wpadła na dość długi korytarz, u którego końca znajdowała się spiżarnia. Biegnąc już wydobyła z kieszeni wielki klucz, który dopadłszy drzwi spiżarni drżącą z pośpiechu ręką w zamku obracać zaczęła. Oddychała

Kwiaty, Miłość, Pozycja społeczna

Choroba, Lekarz

przy tym głośno i coś po cichu mruczała. Ale tu dopędziła ją Leonia i, zdyszana także, za suknię ją pochwyciła.

— Ciociu! — zabrzmiał na cały korytarz cienki i prawie płaczący głos podlotka. — Ja cioci śliczne pantofle wyszyję! Ja ciocię co dzień tak wycaluję... tylko proszę...

Marta odwróciła się i wzięła dziewczynkę nad ziemię uniósłszy, namiętymi pocałunkami jej włosy, oczy i usta okryła. Zarazem do wnętrza spiżarni ją wciągnęła, prawie wniosła, za sobą i za nią drzwi z trzaskiem na klucz zamykając. Dopadł do nich teraz i Witold.

— Ciotko! — zawołał. — Proszę iść do doktora!...

Pod ściągniętymi brwiami oczy gniewnie mu już błyskać zaczynały. Ale we wnętrzu spiżarni słychać było wiele naraz odgłosów: śmiech, całusy, brząkanie szklanych naczyń. Widocznie w forticy tej bawiono się wybornie. Z czołem do drzwi przyciśniętym Witold zawołał:

— Czy ciocia nie zrobi tego, o co proszę?

Za drzwiami głos gruby, ale w tej chwili miękki i pokorny, mówić zaczął:

— Kotku ty mój, robaczku złoty, miły! Nie trzeba, jak Boga kocham, mnie nic nie trzeba! Czyż ja mogę komu ambaras jaki robić i sobą ludziom głowy kłopotać?... Nie gniewaj się na mnie, mój mileńki! Może chcesz co przekąsić?... Serek mam doskonały i świeże powidła. Chcesz? Ha? Chodź do nas!

— Niechże ciocia otworzy!

Po chwili wszyscy troje znajdowali się w spiżarni. Ileż chwil, odkąd tylko pamięcią sięgnąć mogli, przepędzili oni w tym miejscu z tą wielką, gderliwą i często szyderską kobietą, która ich tu całowała, na ręku swym nosiła, przysmakami najrozmaitszymi karmiła, czasem tak pasła, że aż potem chorowali, a ona doglądała ich znowu, leczyła, drżąc o nich tak, że aż gorączkowe rumieńce żółte policzki jej paliły, a do snu i dla rozrywki śpiewając im grubym swym głosem te stare pieśni, które z dala od dworu unosiły się nad polami.

Wcale co innego działo się w sypialni pani Emilii. Błękitny ten pokój błękitna lampa u sufitu zwisająca co nocy napełniała światłem do księżycowego bardzo podobnym. Oprócz tej lampy do późna zwykle paliła się tam jeszcze jedna, tuż przy łóżku pani Emilii umieszczona i czytającej Teresie przyświecająca. Codziennie do późna Teresa czytywała głośno powieści, pamiętniki, podróże w trzech językach pisane, bo ta mizerna, podstarzała panna, z twarzą przypominającą uwiędłą różę i chorobliwie erotycznym wyrazem ust i oczu, wcale dobrze znała trzy obce języki. Tej nocy książką, którą czytały, była podróż po Egipcie. Tyle nacytały się razem o wszystkich krajach Europy, że od jakiegoś czasu powędrowały już dalej, do innych części świata. Egipt podobał się pani Emilii do tego stopnia, że obudził w niej uczucie niewysłowionej tęsknoty. Wszystko, co o nim czytała, było tak nowe, uderzające wyobraźnię, ponętne. Czemuż nie urodziła się w Egipcie? Byłaby tam najpewniej szczęśliwsza! Zarzuciła nad głowę szczupłe ramiona, wzdychała, oczy jej zdawały się rozszerzać, powiększać. Przerwała na chwilę czytanie.

— Jak myślisz, Tereniu? Ja bym tam pewno mogła wiele chodzić, ruszać się, żyć, kochać?

— O, tak! — odpowiedziała Teresa. — Jakże tam ludzie wśród takiej natury i takich widoków gorąco kochać muszą!

I jej blade źrenice w daleki punkt utkwione napełniły się także marzeniem. Stanął przed nimi wysmukły fellach<sup>71</sup> z oliwkową cerą, ognistym wzrokiem i mówił takie rzeczy, które usłyszeć ona pragnęła zawsze i których nigdy nie słyszała. Na świecie już świt błękitny zamieniał się w dzień biały, kiedy Teresa długo i gorąco ucałowawszy panią Emilię odeszła do sąsiedniego pokoiku, w którym sypiała. Ale zaledwie długim czuwaniem zmęczona połknęła parę codziennych pigułek i ułożyła się do snu, zaledwie przed usypiającym jej wzrokiem zjawiał się i przemówił do niej ów oliwkowy fellach, zbudziło ją i z łóżka zerwało wołanie pani Emilii. Było ono tak żalosne, że prawie bosa, w narzuconym naprędce szlafroku, wbiegła do sypialni, którą jeszcze księżycowym blaskiem oświecała błękitna lampa. W tym łagodnym blasku pani Emilia wiała się na pościeli w męczarniach

Kobieta, Książka, Marzenie,  
Miłość

Choroba

<sup>71</sup>*fellach* — chłop egipski; od arabskiego *falab*: orać. Nazwa stosowana do osiadłej ludności Egiptu, Arabii, Palestyny. [przypis redakcyjny]

silnego ataku nerwów. Dusiła się, śmiała się i razem płakała, obu dłońmi przyciskała serce, które biło tak, że o parę kroków uderzenia jego słyszeć było można. Oprócz tego wszystkiego kaszlała jeszcze i czuła klucie w piersi. Może to nie był tylko atak nerwowy, ale także skutki przeziębienia i zgryzoty. Przed dwoma bowiem dniami Witold uprosił ją, aby przeszła się z nim po ogrodzie. Wahała się długo, ale usilnym prośbom syna oprzeć się nie mogąc, poszła. W czasie przechadzki użalała się przed nim na swoje smutne życie i zapewniała, że już długo chodzi i że rosa padać zaczyna. Przy tym syn nie okazał jej dość współczucia, na skargi jej odpowiadał milczeniem, i to ją zgryzło, bo raz jeszcze dowiodło, że nikt, nawet własne dziecko, ani zrozumieć, ani kochać jej nie umie. A potem znowu ten Egipt!... Słowem, dawno już nie cierpiała tak silnie jak teraz. Teresa utraciła zrazu przytomność; od toalety do szafy biegając rozbiła flakon z perfumą i fiolkę z lekarstwem, ale co pewna, to że zupełnie zapomniała o sobie i ze współczuciem gorącym, z gorliwością nieopisaną poila i karmiła chorą różnymi zaradczymi środkami, grzała dla niej wodę, ocierała ją, pocieszała. Z przyzwyczajenia już tylko fruwała drobnym i lekkim kroczeniem, ale zrobienie jakiegokolwiek toalety ani nawet obawa przed rannym chłodem na myśl jej nie przyszły, kiedy o wczesnej rannej godzinie biegła budzić Martę i Benedykta. Oboje już nie spali. Marta doglądała froterowania posadzek dokonywanego przez kredensowego chłopca, polewała wazonu u okien i jednocześnie przyrządzała herbatę dla Benedykta, którego osiodłany wierzchowiec stał już pod gankiem. Była to pora żniw, której część znaczną właściciel Korczyzna spędzał zazwyczaj na koniu. Kiedy Teresa, w luźnym i mocno przybrudzonym szlafroku, z trochą własnych włosów rozczochranych nad pomarszczonym czołem, wbiegła do sali jadalnej, na żółtoróżowej jej twarzy malowało się tyle przerażenia i żalu, że Marta i Benedykt domyślili się wszystkiego. I rzecz szczególnie! Pomimo że wypadki podobne dość często powtarzały się w jego domu, pomimo że od lat kilku nic już na pozór nie łączyło go z żoną, Benedykt dowiedziawszy się, o co idzie, kilku skokami znalazł się na ganku, a gdy wydawał rozkazy dotyczące się zaprzęgnięcia koni i przywiezienia lekarza z bliskiego miasteczka, wielkie ręce jego trochę drżały. Wnet potem pobiegł do pokojów żony i wkrótce z nich wybiegł, obu dłońmi głowy swej dotykając. Do Marty, która śpieszyła na górę po zażądane przez chorą ziółka, w przechodzie<sup>72</sup> zagadał:

— Nieszczęście z tymi babami! Biedna kobieta! Męczy się okropnie! A ta znów druga klęczy przy łóżku i fontanną płacze! O nic u żadnej dopytać się nie można!

Z ganku potężnym swym głosem krzyczał na służbę o jak najprędze zaprzęgnięcie koni i leczenie błyskawicą po lekarza i z lekarzem.

Okolo południa jednak pani Emilia uspokoiła się znacznie i była już tylko tak osłabiona, że aby usłyszeć, co mówiła, trzeba było ucho do ust jej przykładac. W białych muślinach i haftach leżała na pościeli z zamkniętymi oczami, z wyrazem tak cichego i łagodnego cierpienia na twarzy, że w każdym na nią patrzącym istotną litość budzić musiała. Toteż Teresa, tuż przy jej łóżku siedząca, wpatrywała się w nią wzrokiem żalonym, a Leonia, która cichutko wsunęła się tu po odjeździe doktora, smutnie z robótką w rękę w kąciaku siedziała. Wtem do cichego pokoju doleciał turkot zajężdżającego przed dom powozu, drzwi uchylily się i dał się słyszeć szept Marty:

— Pan Darzecki przyjechał z młodszymi panienkami, Benedykt prosi, aby Leonia przyszła panienki bawic...

Marta mówiła, jak tylko mogła najciszej, jednak świszczący szept jej doszedł do uszu chorej, która otworzyła oczy, niespokojnie palcami poruszyła i wymówiła:

— Darzeckie... Jak Leonia ubrana?

— Chodź do mamy! — pośpieszenie zaszepiała Teresa.

Panienka na palcach do łóżka matki przybiegła; pani Emilia ogarnęła ją wzrokiem, który, przed chwilą omdlały i zagasyły, teraz nabrał trochę bystrości i blasku.

— Suknia dobra — zaszepiała chora — ale kokarda zmięta i buciki brzydkie.

Oczami dała znać córce, aby pochylila się nad nią, i w czoło ją pocałowała.

— Nie trzeba, aby moja córka była gorzej ubrana od Darzeckich... które stroją się...

W tej chwili na pochylonej ku niej głowie córki spostrzegła coś takiego, co ją tak przeraziło czy podnieciło, że dość prędkim ruchem podniosła się i na łóżku usiadła.

<sup>72</sup>w przechodzie — przechodząc. [przypis edytorski]

— Loki rozfryzowane! — jęknęła.

A potem spiesznie do Teresy mówiła:

— Moja Tereniu, niech Zofia co najprędzej przypnie Leoni świeżą kokardę i włoży jej na nogi warszawskie pantofelki... Ale z włosami? Co tu robić z włosami?

— Zwiążę je wstążką! — zaproponował podłotek.

— Cóż robić? Zwiąż wstążką! — odpowiedziała matka. — Tylko — dodała — żeby wstążka tego samego koloru była co kokarda.

Kiedy Leonia odbiegła, z dała i już głośno panny służącej przywołując, chora ruchem zmęczenia i nadzwyczajnej słabości osunęła się znowu na pościel i ledwie dosłyszalnym głosem poprosiła:

— Moja Tereniu, pilnuj tylko, aby nikt tu nie przychodził, nikt a nikt... Nie mogę teraz znieść najmniejszej fatygi. Poczytaj trochę o Egipcie... tylko niegłośno czytaj...

W błękitnej sypialni Teresa stłumionym głosem czytała francuskie podróże po Egipcie, chora czytania tego słuchała w bezwładnej nieruchomości, po salonie zaś przechadzało się dwóch mężczyzn, których wysokie postacie rozmijały się wciąż z przechadzającymi się także trzema niedorosłymi panienkami. Darzeckie i córka Korczyńskich trzymając się pod ręce chodziły wyprostowane i mierzonymi krokami, ale nad ich sztywnymi postaciami, rogi gorsetów zdradzającymi, małe, utrefione głowy bardzo ruchliwie zwracały się ku sobie w bardzo ożywionej pogadance. W rogu salonu z otwartą książką w ręku siedział Witold, ale nie czytał, tylko bystrym, uważnym i coraz chmurniejszym wzrokiem wpatrywał się w ojca i z kolei w siostrę. Widać też było, że przysłuchiwał się pilnie rozmowom przez obie te osoby prowadzonym. Istotnie, zaciekawiająca była zmiana, która zaszła w ruchach, fizjonomii i sposobie mówienia Korczyńskiego. Mogło się zdawać, że zmalął trochę i wyszczuplał, tak nisko głowę pochylał i porywcze swe i rozmachliwe zazwyczaj gesty powściągał. Sposób, w jaki do szwagra swego przemawiał, powściągliwy był także, jakby staranny, a wyraz oczu i ust zdradzał wyraźną chęć przymilenia się i przypodobania. Tylko może właśnie ten umizg i ta staranność o stanie się przyjemnym gościowi pogłębiły grube fałdy jego czoła i policzków, a długie wąsy opuściły aż na klapy płóciennego surduta, w którym przed chwilą zamierzał udać się w pole. Doskonałe przeciwieństwo z panem domu przedstawiał gość. Wysoki, cienki, tak sztywny, że można by go wziąć za chodzący posąg, wytwornie ubrany, chodził on po salonie krokiem mierzonym, trochę drobniejszym, niż by z natury wypadło, z lekkim poskrzypywaniem błyszczącego obuwia. Ręce trzymał w kieszeniach, a blada, wąska, delikatna i krótkim, siwiejącym zarostem otoczona twarz jego okryta była wyrazem głęboko uczuwalnej i wielostronnej wyższości majątkowej, rodowej, cywilizacyjnej. Mową płynną i monotonna wyrażał on Korczyńskiemu głębokie swe ubolewanie nad tym, że niepokoić go musi upomnieniem się o dług swój, czyli o niewypłacony mu dotąd posąg żony. Korczyński przy pierwszych zaraz słowach jego tej sprawy tyjących się drgnął, jak gdyby mu kto ostrze jakieś za skórę zapuścił, nagle i dziwnie lekko do bocznego stolika poskoczył i z uśmiechem prawie zalotnym wzięte stamtąd cygaro szwagrowi podał:

— Dziękuję, przed obiadem nie palę nigdy — ręk z kieszeni nie wyjmując i przechadzki swej nie przerywając odmówił Darzecki.

Benedykt z wyrazem prośby popatrzył mu w oczy.

— A może?... Wcale dobre... Przywiozłem takich parę pudełek z miasta na wypadek takich gości, jak kochany szwagier... tylko takich gości!

— Dziękuję, nie — powtórzył gość z ledwie spostrzegalnym i pierwszym, odkąd tu przybył, poruszeniem głowy, a zaraz potem mówił dalej: — Właściwie, te kilkanaście tysięcy rubli są bagatelką, o której i mowy pomiędzy nami być nie powinno... Pojmuję dobrze solidarność obywatelską, będącą niejako fundamentem społecznej budowy. Powinniśmy podtrzymywać się wzajem, chociażby z ujmą własną... tak, chociażby z ujmą. Człowiek cywilizowany nie może doświadczyć większej przykrości, jak kiedy mu przychodzi pogwałcić w najmniejszej rzeczy te węzły, te sympatie, te najlepsze chęci, które uczuwa dla swoich bliskich, tak, dla swoich bliskich...

— Procenty płacę regularnie — nieśmiało i cicho przerwał Benedykt.

Mała, siwiejąca głowa, na sztywnym karku osadzona, uczyniła drugie z rzędu, zaledwie dostrzegalne poruszenie, tym razem twierdzące.

— Regularnie, tak, re-gu-lar-nie. Jesteś, kochany szwagrze, człowiekiem honoru i serca i za prawdziwe szczęście uważam sobie, że ci to przyznać mogę...

— Więc może i nadal... — szepnął Benedykt.

Błyszczące obuwie gościa głośniejszą trochę skrzypnęło i była to jedyna oznaka, że czuł się cokolwiek zakłopotany.

— Niepodobna, kochany panie Benedykcie... Gdyby człowiek mógł zawsze być panem okoliczności, bezwarunkowo miałbym sobie za punkt obywatelskiego honoru, tak, ho-no-ru, a także za miłą powinność pokrewieńską i przyjacielską, uczynić ci i nadal, jak dotąd czyniłem, folę, ustępstwo, ułatwienie w twoich interesach... tak jak dotąd czyniłem...

— Za co ci, kochany szwagrze, najpokorniej wdzięczny jestem — przerwał znowu Benedykt, a głos jego był istotnie bardzo pokorny. — Dobroć i względność twoja... — ciągnął — ośmiela mię...

Wtem jak jasne motyle pomiędzy nagie ciernie w rozmowę tę wpadły trzy panienki. Trzymając się pod rękę, drogę dwóm rozmawiającym mężom zabiegły i na paluszkach wstecz przed nimi idąc, chórem srebrzystych głosików zaczęły:

— Papciu, kuzynki mówią, że salon nasz jest bardzo pusty i wcale nieładnie wygląda... I ja jestem tego samego zdania...

— Wujaszek mógłby już, doprawdy, nowe meble sprowadzić i lepsze dywany sprawić... — jednogłośnie przywtórzyły dwie niedorośle córki Darzeckiego.

— U nas na pensji nawet salon daleko jest piękniejszy, a ja bym tak chciała, aby nasz był choć taki, jak tamten...

— Pomędzy oknami powinny być lustra i konsole<sup>73</sup>... — zdecydowały kuzynki.

— Papciu, mój papciu, proszę sprowadzić lustra i konsole, bo doprawdy, mnie aż wstyd, że u nas takie nagie ściany... — żałośnie i prawie ze łzami ojcu w oczy patrząc wołała Leonia.

Benedykt z rodzajem osłupienia na te trzy śliczne istotki patrzył, aż krzyknął prawie:

— No, nie przeszkadzajcie nam rozmawiać! Lalkami wam jeszcze bawić się, a nie salony urządzać...

Panienki trochę rozśmieszzone, a trochę zagniewane, frunęły ku tej stronie salonu, w której siedział Witold. Pierwszy raz, z siedzenia swego nie powstając, wmieszał się on do ich rozmowy.

— Może byś ty, Leoniu, mozaikowej posadzki i fresków na suficie chciała...

Gniewnej ironii, z jaką to wymówił, nie dosłyszawszy, cmoknęła bledziutkimi wargami tak, jakby czegoś smacznego skosztowała.

— Czemuż by nie! — zawołała — to prześliczne... ja to widziałam...

I prędko, z zachwyceniem takim, że aż oczy jej błyszczały, opowiadała kuzynkom o wszystkich pięknościach, które czasem w wielkim mieście widywała. Ale kuzynki daleko od niej więcej o tym przedmiocie mówić mogły; bywały przecież u ciotecznej babki swej, bardzo bogatej hrabiny, która to właśnie skojarzyła małżeństwo pomiędzy ich najstarszą siostrą a swym krewnym, niebogatym hrabią. O nim to w tej chwili, o tym przyszłym zięciu swoim, mówił Darzecki Korczyńskiemu.

— Zrozumiesz to łatwo, kochany szwagrze, że do takiej rodziny wchodząc córka moja musi posiadać wyprawę odpowiednią przysłemu otoczeniu i stanowisku, tak, sta-no-wisku. Tę sumkę właśnie, o którą z przykrością, z rzetelną przykrością upominam się u ciebie, przeznaczamy z żoną na jej wyprawę...

— Tak wielką sumę na wyprawę! — nie mogąc już powściągnąć się, tubalnym swym głosem wykrzyknął Benedykt i ręce szeroko rozpostarłszy jak wryty stanął. Ale zaraz musiał naprzód postąpić ze swym gościem, który ani na sekundę swych drobnych i poskrzypujących kroków nie zwalniając uśmiechnął się i odpowiedział:

— Nie całą, nie całą... ale połowę pewno... Cóż szwagier myśli? Srebra, futra, koronki i inne tam różne kobiece fatalaszki to są rzeczy kosztowne... bardzo kosztowne. Fortepian z Paryża sprowadzić musimy. Żona moja chce i ja się na to zgadzam, aby córka nasza miała fortepian własny, a kiedy już kupować, to coś pięknego, wykwintnego, doskonałego,

<sup>73</sup>konsola — stolik pod lustrem, zwykle przytwierdzony do ściany. [przypis redakcyjny]



tak wy-kwint-ne-go i do-sko-na-le-go! Prawda? Szwagier sam pewno przyzna mi rację, najzupełniejszą rację.

Czy Korczyński wszystkim koniecznym potrzebom przez szwagra wymienionym rację przyznawał — sam on tylko wiedzieć mógł o tym, ale co pewna, to że z pozoru wyglądał na osłupiałego i całkiem pogwałconego człowieka. Milczał, myślał, ze spuszczoną głową długi wąs do połowy prawie w usta wpychał i zębami zawzięcie przygryzał, aż na koniec z cicha wymówił:

— Może byście więc w tym roku na połowie tej sumy poprzestali... Kilka tysięcy mógłbym jeszcze jakimkolwiek sposobem dostać, ale kilkanaście, od razu...

Uderzył się w czoło tak silnie, że po całym salonie rozległo się jakby kłaśnięcie z bicza, a po wąskich ustach Darzeckiego przebiegło drgnienie niesmaku. Jednak tym samym zupełnie co wprzódę głosem zaczął znowu:

— Niepodobna, kochany szwagrze, tak nie-po-do-bna! Oprócz wyprawy córki mamy inne potrzeby i wydatki, a sam przyznasz, niezawodnie to przyznasz, że czasy teraz są ciężkie, bardzo ciężkie...

— Niech diabli wezmą takie czasy! — coraz trudniej w tonie delikatności utrzymać się mogąc wykrzyknął Benedykt, ale zaraz głos zniżając i nader uprzejmie dodał: — Szwagierek przynajmniej na ciężkie czasy wyrzekać nie możesz...

— Kto wie? — ze sfinksowym uśmiechem i melancholijnym spojrzeniem w dal zaczął Darzecki — tak, kto wie...

Znowu w rozmowie dwu mężczyzn ta sama, co wprzódę, zaszła przeszkoda. Trzy panienki drogę im zabiegły i na paluszkach przed nimi idąc, z oczami ku Korczyńskiemu wzniesionymi, chórem zaszczebotały:

— Papciu! Wujaszku, wpadłyśmy na wyborny, doskonały pomysł!

— Śliczny pomysł! — wzbil się nad inne głos Leoni. — Niech papcio sprowadzi cztery posągi, koniecznie cztery: dwa pomiędzy oknami staną, a dwa po rogach salonu!...

— Teraz modnie salony posągami ubierać...

— U nas na pensji są posągi, wprowadźcie gipsowe, ale to nic nie szkodzi... zawsze to bardzo zdobi salon... Mój papciu, mój złoty, proszę do naszego salonu sprowadzić cztery posągi, choć gipsowe...

Z nowego osłupienia budząc się Benedykt krzyknął prawie:

— Zwariowałaś, Leoniu, czy co? Ruszaj mi zaraz z drogi i rozmawiać nie przeszkadzaj!

Znowu z tym samym połączeniem śmiechu i obrazy podlotki frunęły w inną stronę salonu i znowu Witold, którego oczy iskrzyły się pod ściągniętymi brwiami, do siostry przemówił:

— No, poproście jeszcze ojca, żeby ci jaki pałac królewski do Korczyna sprowadził!

Darzecki zaś za odbiegającymi córkami patrząc, z pobłażliwym uśmiechem mówił:

— Wesoła, swobodna, różowa młodość, wiek szczęśliwy, marzeń pełny!...

A potem zaraz do ostatniego wyrazu przerwanej mowy swej powrócił:

— Kto wie? Kto na pewno wiedzieć może, dla kogo los łaskawy jest lub surowy? Nie narzekam, nie narzekam; w porównaniu z innymi w interesach stoję dobrze, tak, bardzo do-brze. Jednak równowaga ich trochę w ostatnich czasach zachwiana została... trochę...

W na wpół spuszczonej oczach Korczyńskiego przeleciał przy tych słowach gościa zjawiający się w nich czasem błysk mądrej i nieco złośliwej filuterności<sup>74</sup>, lecz zgasił go natychmiast gruby cień troski.

— W zeszłym roku potrzebowaliśmy dom nasz powiększyć i trochę przyozdobić... żonie mojej zachciało się małej oranżerii, do której by wychodzić było można prosto z jadalnej sali... córki moje pragnęły inaczej umeblować swoje pokoiki... ja znowu popełniłem szaleństwo, tak, przyznaję to, szaleństwo — powiozłem je wszystkie za granicę... Podróż sześciu osób kosztowała wiele, ale sprawienie im tej przyjemności było prawdziwą potrzebą mego serca, której odmówić sobie nie mogłem. Słowem, od lat kilku, to jest od czasu, kiedy starsze córki moje dorosły, wydawałem trochę za wiele, tak, za wie-le, i dlatego równowaga trochę się zachwiała...

Wzburzeniu, które szeroką pierś jego podnosiło, folgi trochę dając, z całych sił przecież hamując się, Korczyński zauważył:

<sup>74</sup>filuterność — zachowanie prowokujące, zalotne. [przypis edytorski]

— Ależ, kochany szwagrze, zawsze byłem zdania, że to powiększanie domu, te oranżerie i te wojaże były dla was wcale niepotrzebne!...

O jedną czwartą tonu głos podnosząc i z widoczniejszym niż kiedy wyrazem własnej wyższości na twarzy, Darzecki odpowiedział:

— To względne, kochany panie Benedyckie, tak, bardzo względne. Jesteśmy ludźmi cywilizowanymi, a cywilizacja stwarza w nas potrzeby, gusty, przyzwyczajenia, dążenia, tak, dą-że-nia, które są naszym życiem, których wyrzekając się gwałcimy niejako własną naturę, samą naszą duszę. Człowiek ucywilizowany rozkochany jest w pięknie, w harmonii, w rzeczach wykwintnych, wzniosłych; pragnie on także wrażeń, duchowego zasilku, umysłowego wzrostu, których bez wytwornego otoczenia, bez podróży i tym podobnych zbytków życia posiadać nie można. Zresztą, mam córki i nikt mi tego za złe brać nie powinien, że pragnę dla nich losu najświetniejszego, tak naj-świat-niej-sze-go. Na koniec, znasz dobrze, kochany szwagrze, moje stosunki rodzinne. Jedna z ciotek moich wysokie zajmuje miejsce w kołach arystokratycznych... stryjeczny brat mój, powiększywszy znacznie swą fortunę, posiada dom po książęcemu prawie urządzone. Z tych dwóch źródeł płyną liczne moje znajomości i kuzynostwa. Stosunki zaś do wielu rzeczy obowiązują, niejako zmuszają. Jest to moralna presja, której poddajemy się chętnie, bo daje nam w zamian znaczną, bardzo znaczną sumę przyjemności zupełnie wyższych. Eksplikuję się<sup>75</sup> przed tobą, kochany szwagrze, ponieważ z przykrością, z rzetelną przykrością przychodzi mi kłopotać cię o tę sumkę... Ale znam cię, kochany szwagrze, jako człowieka honoru, serca i rozumu, więc nie wątpię, że gdy nad pozycją moją zastanowić się zechcesz, przyznasz mi rację, najzupełniejszą rację!

Z powierzchowności sądząc nie widać było, aby Korczyński przyznawał szwagrowi najzupełniejszą rację; nic jednak o tym nie powiedział. W zamian, zniżonym i prawie pokornym głosem mówić zaczął o tym, że długu tego ani na chwilę uważać nie przestał za najsprawiedliwszy, że procenty regularnie opłacał i nawet przed kilku laty na żądanie szwagra stopę ich podniósł, że za wielkie wyświadczone mu dobrodziejstwo uważa, iż tak długo nie żądano od niego wypłacenia tej sumy. Potem, z kolei, eksplikował się z przyczyn, które tę wypłatę czynią dla niego niezmiernie trudną i prawie rujnąjącą, wyliczał dochody swe i wydatki, ciężary obarczające Korczyn, starania swe o zachowanie i ulepszenie majątku. Mówił długo, a ponieważ nie chciał, aby dzieci słyszały wszystko, co mówił, głos zniżał prawie do szeptu, co mowę jego podobną czyniło do odbywanej spowiedzi. Była to spowiedź widocznie męcząca, bo plecy garbiły mu się coraz więcej i wzrok coraz nieruchomiej tkwił w ziemi, a na sfałdowane czoło występowały krople potu. Na koniec, Darzecki u jednej z kanap otoczonych fotelami zatrzymał swe drobne, poskrzypujące kroki i na jeden z foteli opuścił się w ten sposób, że można go było wziąć za siadający posąg. Benedykt usiadł także i przestając mówić słuchał długich i płynnych wywodów szwagra o różnych źródłach kredytu istniejących, a także takich, które by tylko istnieć mogły; o kapitale, który ludzie nie dość postępowi zniechęcają w niewycinanych lasach, o zyskach, które on sam spodziewa się osiągnąć z powiększonej swej gorzelnii i nowo przez się założonej olejarni, o łączeniu przemysłu z gospodarstwem rolnym; o różnych systemach gospodarskich we Francji, Niemczech, Belgii, Holandii. Skończył na tym, że doradzał szwagrowi albo sprzedanie zaniemeńskiego lasu, albo pożyczanie wiadomej sumy u jednego z kapitalistów miejskich, z którym on sam posiada niejakie stosunki i szwagra zaznajomić gotów, który wprawdzie zażąda procentu wyższego, daleko nawet wyższego nad ten, jaki Benedykt płacił dotąd siostrze, co jest smutną, ale nieuniknioną koniecznością budzącą w nim samym żal, rzetelny żal, ale jeżeli tylko kochany szwagier zastanowić się zechce, nie tylko tego nalegania i tych strat, które poniesie, za złe mu nie poczyta, ale pozycję jego i jej potrzeby wyrozumiawszy przyzna mu niezawodnie rację, naj-zu-peł-niej-szą ra-cję. Korczyński jednemu tylko z tych punktów rację przyznawał: winien był siostrze kilkanaście tysięcy i oddać je, skoro tego stanowczo żądano, było jego bardzo naturalnym i prostym obowiązkiem. O sprzedaży lasu myśleć będzie i z kapitalistą zaznajomi się. Prawdopodobnie drugiego środka użyje raczej niż pierwszego, chociaż jakim sposobem z tej lichwy wylezie, gdy raz w nią wlezie, sam nie wie i nie rozumie. Szwagier utrzymuje, że racjonalniej byłoby las sprzedać; może i jest w tym słuszność, ale

Grób

<sup>75</sup>eksplikować się — tłumaczyć się, uniewinniać. [przypis redakcyjny]

są znowu względy, które...

Umilkł i zamyślił się najmłodszy z trzech niegdyś braci Korczyńskich, tak zamyślił się, że przypuścić było można, iż na chwilę o szwagrze i ciężkim kłopotcie swym całkiem zapomniał. Po chwili twarz swą do samej prawie twarzy Darzeckiego przysuwając, jak tylko mógł najciszej, szepnął:

— Szwagier może pamiętać, że tam jest... to... tamto... mogiła...

— Jaka mogiła? — zadziwił się Darzecki.

— Andrzeja... i to... tamto... tego... tych, którzy z nim razem...

Po chwili dokończył.

— Wszystko to przeszło i wiadoma rzecz, że nawet wspominać o tym nie trzeba. Ale wie szwagier, czasem, kiedy na to... tamto... spojrzę i przypomnę sobie, zdaje mi się, że to kościół...

Teraz Darzecki milczał chwilę, przypomniał sobie także, i oczy, których blade źrenice zmaciły się trochę i zamigotały, wznosił ku sufitowi. Potem z westchnieniem zaczął:

— Sentymentalność... tak, jest to, kochany szwagrze, sentymentalność, której, na nieszczęście, każdy z nas mniej albo więcej ulega, a która już nam tyle złego narobiła...

— Pewno, pewno! Tyle złego! — głośno przerwał Benedykt i z przekonaniem, prawie z zapalem dokończył: — Szwagier ma pod tym względem rację, najzupełniejszą rację!

Umilkli, salon napelniały już tylko cienkie i mieszące się z sobą głosy panienek, które na trzech krzesłach w rząd ustawionych siedząc, z ptaszęcymi ruchami ładnych główek po ptaszęcemu świegotały:

— Najmodniejsze teraz pantofelki z szarego płótna ze skórzanymi deseniami...

— Nie cierpię płóciennych... dla mnie najpiękniejsze z wyłacanej skórki... tylko trzeba koniecznie, aby miały wąskie nosy...

— Ach, wąskie nosy... koniecznie! Koniecznie! U moich są za szerokie, prawda?

I podnosząc nieco małą nóżkę Leonia ze smutkiem na twarzy, ze zmarszczonym trochę czołem ukazywała kuzynkom pantofelek swój na ażurową pończoszkę włożony.

Darzecki powstał i odmawiając śniadania, na które zapraszał go Benedykt, wymawiając się tym, że dziś jeszcze córki swoje zawieźć musi do jednej ze swych ciotek o trzy mile stąd mieszkającej, brata żony żegnał i bratowej najgłębsze swe ubolewanie nad jej chorobą oświadczyć polecał. W przedpokoju mówić zaczął o Zygmuncie i nowym zajęciu, które ten młody człowiek dla siebie znalazł, a które raz jeszcze świadczyło o jego wyższych, niepospolitych zdolnościach. Zabrał się on mianowicie do rozkopywania tak zwanych okopów szwedzkich znajdujących się w bliskości oswieckiego dworu i niezmiernie się do tej roboty zapalił. Znalazł już nawet jakiś od rdzy podziurawiony pałasz i kilka monetek ze szwedzkimi napisami.

— Zadziwiająco zdolny... wielostronnie utalentowany młody człowiek... genialny, tak, powiedzieć można... ge-nial-ny!

Te pochwały synowcowi jego oddawane nie zdawały się bardzo Benedykta uszczęśliwiać. Słuchał ich z trochę posepnym, a trochę żartobliwym wyrazem twarzy.

— Szkoda tylko — zauważył — że do gospodarstwa to już, jak się zdaje, najmniejszego talentu nie posiada.

— Cóż szwagier chce? — z niezwykłym ożywieniem ukochanego siostrzeńca żony bronił Darzecki. — Cywilizacja ma swoje prawa. Jest to chłopak ucywilizowany, tak, wysoko nawet ucy-wi-li-zo-wa-ny. Przy tym artysta! Czy podobna wymagać, aby go te rzeczy... te małe i niziutkie rzeczy interesowały?...

— Kiedyż bo — zarzucił znowu Benedykt — on podobno i nic nie maluje teraz...

— A nie, a nie! Szkoda, tak, nieodżałowana szko-da! Ale inaczej być nie może... Artyście trzeba wrażeń, swobody, ciągłych widoków piękna... Gdzież on to wszystko tu znaleźć może? Przy tym pomiędzy tymi oborami, stajniami, parobkami etc, etc. czuje się on przygnębiony, obniżony, unieszczęśliwiony...

Rozmowa ta o synowcu, zamiast łagodzić, wzmagała jeszcze wzburzenie i rozdrażnienie Benedykta.

— A, na miłosierdzie boskie! — zawołał. — Czy to ziemia jest rajem, żeby od niej wszystkiego dobrego razem wymagać było można! Czegóż ten gagatek więcej od losu swego żąda? Ma majątek, talent, matkę, która za nim świata nie widzi, młodą i śliczną żonę, tak w nim rozkochaną, że aż czasem ludzi śmieszy...

Moda, Próżność, Strój

Artysta, Pozycja społeczna

Żona

Na ganku już stojąc, w płaszczu jakiegoś przedziwnego i zapewne bardzo wytwornego kroju, z lekka na ramiona zarzuconym, Darzecki pochylił się ku uchu szwagra tak, jakby to czynił posąg, i szepnął:

— Nie mów tylko nic o jego żonie! Ładna i dobra kobiecina... koligatka<sup>76</sup> przy tym i niebiedna... ale zdaje się... że Zygmunia już znudziła... Cóż szwagier chce? Natura artystyczna! Nudzi go to, co posiada, pragnie tego, czego nie ma...

Z tymi słowami i przy odgłosach pożegnalnych całusów panienek do powozu wsiadał.

Korczyński zawołał z ganku na stajennego chłopca, aby mu konia siodłano, i szerokimi krokami, wąs na palec matając, do salonu wrócił. Musiał jeszcze przed wyjechaniem w pole z synem się rozmówić. Innym razem może by tę rozmowę na później odłożył, polu i odbywającym się wśród niego robotom pierwszeństwo dając. Ale teraz świeżo nań spadła troską rozjątrzony musiał wypowiedzieć synowi uczute względem niego niezadowolenie.

— Witold! — od drzwi salonu zawołał. — Czemuś to nie był łaskaw porozmawiać trochę z wujem i na ganek go przeprowadzić?

Młody człowiek, który plecami do salonu zwrócony stał przed jednym z okien, powoli zwrócił się ku ojcu, ale przez chwilę nie odpowiadał nic. W delikatnych i ruchliwych rysach jego malował się niepokój.

— Dlaczego obchodzisz się z wujem tak, jak gdyby to był twój koleżka, z którym wolno ci rozmawiać lub nie rozmawiać, grzecznym być albo niegrzecznym? Dziesięciu słów do niego nie przemówiłeś, gdy odjeżdżał, ukloniłeś mu się z daleka i nie wyszedłeś nawet do przedpokoju, aby mu pomóc do włożenia płaszcza? Czy dlatego tak postępujesz, że jest to człowiek, którego ja łaski potrzebuję? Który mnie jednym swoim słowem może teraz z największego kłopotu wybawić? Czemuż nie odpowiadasz?

Jeszcze nie odpowiadał, ale nie przez nieśmiałość; owszem, mnóstwo wyrazów cisnęło mu się na usta, które kilka razy zadrżały, otworzyły się i zamknęły znowu. Głębsze jakieś uczucie nad nieśmiałość wstrzymywało go od mówienia. Powieki miał spuszczone, ale gdy raz na ojca wzrok podniósł, był on pełen żalu i dręczącego wahania.

— Czemuż nie odpowiadasz? Czy oniemiałeś? — krzyknął już Benedykt.

— Nie chciałbym, ojczu, rozgniewać cię i zmartwić.

Benedykt z irytacją wybuchnął:

— Facecja<sup>77</sup>! Już to zrobiliście! Rozgniewałeś mnie i zmartwiłeś, a teraz przynajmniej powiedz: dlaczego tak postępujesz z wujem?

Smutne dotąd oczy Witolda błysnęły; zwyczajnym sobie ruchem ręce w tył założył i podnosząc czoło prędko i dość głośno wymówił:

— Dlatego, mój ojczu, że dla pana Darzeckiego nie mam szacunku, a nigdy nie zniżę się do nadskakiwania człowiekowi, którego nie szanuję.

Zdumienie Benedykta granic nie miało; wpatrzył się w syna osłupiałymi oczami i po chwili dopiero zdolnym był wymówić:

— A toż co? Skąd? Dlaczego?

Ale ani wiedział, ani pomyślał o tym, że natarczywymi pytaniami swymi otwierał ujście potokowi wartkiemu i naciskał grunt przepojony ogniem.

— Dlatego — z kolei wybuchnął Witold — że jest to pyszałek, sybaryta<sup>78</sup>, egoista, nie dbający o nic oprócz własnej pychy i wygody, nie widzący dalej niż do końca swego nosa, który zadziera pod obłoki dlatego, że ma większy od innych majątek, ciotkę hrabinę i stryjecznego brata wzbogaconego nie wiedzieć w jaki sposób, zapewne potem i krzywdą swych bliźnich. Nie tylko ludziom tego rodzaju sam nadskakiwać nie myślę, ale bolało mnie, o! jak mnie bolało, że ty, mój ojczu, nadskakiwałeś jemu i robiłeś się przed nim taki mały, pokorny...

Boleć go to musiało istotnie, bo i teraz ręką powiódł po czole, a wzrokiem już znowu nie rozgniewanym, lecz rozżalonym, twarz ojca mijając, kędyś daleko patrzył. Ale u Benedykta zdziwienie przytłumiło wszystkie uczucia inne, nawet gniew.

— Patrzcie, jaki mi sędzia! — z ironią wymówił. — Jeszcze ci nie pora...

<sup>76</sup>koligatka — osoba spokrewniona z zamożnymi i wpływowymi rodzinami szlacheckimi. [przypis redakcyjny]

<sup>77</sup>facecja — żart. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>sybaryta — osoba lubiąca rozrywki, zbytki. [przypis edytorski]

— Pora, ojcie — popędliwie przerwał młody chłopak. — Zawsze jest pora i wiedzieć, i mówić prawdę. Młody jestem, ale właśnie dlatego czuję się w prawie sędzić tych, których sposób myślenia, życie, wszystko znajduje się w przeciwieństwie absolutnym ze wszystkimi ideałami młodego, lepszego, mojego świata!

O rzeczach takich, jak ideały, lepsze światy itp., Benedykt od tak już dawna nie myślał, nie mówił i nie słyszał, że i teraz ominęły one organy jego słuchu, żadnego na nich nie czyniąc wrażenia. Głęboko w zamian dziwiło go i oburzało to, co syn jego powiedział o Darzeckim i o nim samym. Szwagra przywykł lubić i szanować nie pytając wcale, za co lubi go i szanuje; był wdzięczny mu istotnie za wieloletnie nieupominanie się o wypłacenie długu; na koniec, obejście się Darzeckiego, jego wykwinność, koligacje, sam nawet sposób mówienia imponowały mu nieco bez własnej o tym jego wiedzy. Wszystko to było przyczyną, dla której wobec słów syna czuł przede wszystkim zdziwienie. Był przecież i rozgniewany.

— Raczysz więc mieć mi za złe — zaczął — że byłem uprzejmy dla człowieka, który uszczęśliwia moją siostrę i mnie wyświadczał dotąd ważną przysługę?

— Nie uprzejmy, ojcie — z cicha poprawił Witold — ale nadskakujący, pokorny!

— Głupiś — rzucił Benedykt, którego jednak posępne źrenice zmały się przy słowach syna i na chwilę utkwily w ziemi — alboż ty znasz życie i jego konieczności? Zapewne, może z Darzeckim obchodzi się trochę... trochę inaczej niż z innymi, ależ on prawie los nas wszystkich w rękach swoich trzyma... Zresztą szanuję go istotnie...

— Za co? — bystro w same oczy ojca patrząc zapytał Witold.

Było to pytanie, którego Benedykt sam sobie nie zadał był nigdy i które dlatego właśnie sprawiło mu wielką przykrość.

— Jak to za co? Co za co? Jakie za co? Choćby za to, że jest dobrym mężem i ojcem i interesy swoje dobrze prowadzi!

— Czy jesteś pewny, ojcie, że choć to jedno dobrze czyni? A też oranżerie, wojaże, paryskie fortepiany, stosunki z tym kapitalistą i za-chwia-nie rów-no-wa-gi...

Ostatnie wyrazy młody chłopak wymówił z tak wybornym naśladowaniem układu ust i akcentu mowy Darzeckiego, że Benedykt odwrócił się na chwilę, by ukryć uśmiech mimo woli wybiegający mu na usta. Bardzo jednak poważnie i z powracającym gniewem odrzucił:

— Głupiś? Co ty tam znasz się na tym! Dlaczegoż przynajmniej kuzynek swoich bawić się nie starałeś? One chyba żadnych jeszcze ciężkich grzechów nie popełniły, za które czułbyś się w prawie wysłać je do piekła?

— One same, mój ojcie, są całe jednym grzechem przeciw zdrowemu rozsądkowi i postępowi kobiet popełnionym... — z wybuchającym na nowo zapalem zaczął Witold. — To są, mój ojcie, konsumentki, które z pewnością nic nigdy dla cywilizacji nie wyprodukują. Co ten stary kolek w płocie prawil o cywilizacji, fałszem jest i potwarzą na cywilizację rzucaną. Córki jego nie są ucywilizowane kobiety, ale światowe sroki, które w swoich ptasich główkach dwóch ucywilizowanych myśli nie mają, choć czasem o literaturze i muzyce mówią...

— Witold! — zawołał Benedykt. — Nie pluć mi tak na krewnych!

Ale chłopak tego wykrzyku ojca może nawet nie słyszał. Po czole przepływały mu rumieńce i zwilgotniały oczy.

— Siostra moja na tej samej znajduje się drodze — coraz prędzej i zapalczywiej mówił. — Dawno już, mój ojcie, mówić z tobą chciałem o niej, ale wahałem się... nie śmiałem... Teraz powiem. To mój obowiązek i moje prawo. Jestem jej bratem i kochaliśmy się od dzieciństwa. Kierujecie ją na lalkę, na taką samą światową srokę...

— Witold!

— Tak, mój ojcie, na lalkę i światową srokę, którą jeszcze od ziemi zaledwie odrosła, a już jej w głowie pantofle i posągi! Pantofle i posągi! Oto uczucia i myśli, na których gruncie wzrasta przyszła kobieta i obywatelka...

— Witold!

— Tak, mój ojcie! Marnujecie mi siostrę i to mnie boli, bo nie jest ona ani zła, ani głupia, ale takie niestosowne do ducha czasu wychowanie, takie przykłady zrobią ją najpewniej, jeżeli nie zupełnie złą, to przynajmniej głupią sroką, gęsią, papugą...

— Witold! Milcz!

Tym razem wykrzyk był tak namiętny i głośny, że młody człowiek umilkł.

— Milcz! Milcz! Milcz, błaznie! — coraz namiętniej powtarzał Korczyński i z oczu ciskał błyskawice. Długo nic więcej przemówić nie mógł, aż na koniec zdławionym głosem rzucił:

— Jesteś złym i zrozumiiałym chłopcem, który nic nie szanuje i nikogo nie kocha. Nikogo nie kochasz i wszystkich krytykujesz, krewnych, siostry, nawet ojca... ojca, który jednak ciebie... w tobie... no! Cóż robić?... Niech jeszcze i to...

I prędko odwróciwszy się, szerokim krokiem wyszedł z salonu. Witold pozostał jakby do miejsca przykuty, bardzo blady, z zagryzioną wargą i gorejącym wzrokiem. Dwa wybuchliwe temperamenty, dwie rozdrażnione dusze: ojca i syna, starły się z sobą i scenę tę wykrzesaly. Byli bardzo do siebie podobni, a podobieństwo to stało się jedną z przyczyn gwałtowności starcia, przygotowującego się zresztą od kilku tygodni. Od kilku tygodni, od pierwszego prawie dnia przyjazdu Witolda do domu po dwuletniej w nim niebytności, syn spostrzegał w ojcu i w ojcowskim domu mnóstwo rzeczy, które dawniej wcale go nie raziły, a teraz kłuły w oczy, w serce i w mózg; ojciec zaś uczuwał ze strony syna przymus, przemilczenia, chłód... Teraz gorzka uraza, którą w dumnego chłopca uderzyły krzyki i obelżywe słowa ojcowskie, mieniła się na poblądłej jego twarzy z wyrazem gryzącego żalu. Widział dobrze, że w oczach odwracającego się od niego ojca zamigotały łzy. Uraza jednak przemogła.

— Milczeć! — przez zaciśnięte zęby zawołał. — Dobrze! O, pewno, że będę milczał i na takie ublżenia nie narażę się już nigdy.

Ale w tej samej chwili, innym znowu uczuciem zdjęty, rzucił się ku drzwiom i bez tchu prawie na ganek wypadł. Zobaczył ojca na konia wsiadającego i zbiegłszy ze wschodów ganku, tuż prawie przy koniu stanął:

— Mój ojcze! Może weźmiesz zamiast czapki swój kapelusz z szerokimi brzegami, bo słońce dziś bardzo dopieka...

Nie podnosząc schylonej twarzy, z której długie wasy aż na surdud mu spadały, i na syna nie patrząc, Benedykt krótko ofuknął:

— Idź precz!

I w teje chwili ku bramie dziedzińca pocwałował. Wybornym był jeźdźcem; wysocki, silny, z grzbietem końskim jakby zrośnięty, pomimo ciężkości swej pięknie na koniu wyglądał. Niegdyś, w dzieciennych i pacholęcych swych latach Witold zachwycał się widokiem pędzącego na koniu ojca. Uwielbiał go on wtedy więcej jeszcze niż zwykle i pragnął stać się do niego podobny. Ale dziś daleki był bardzo od poetyzowania tej postaci, która na domowym, lecz zgrabnym wierzchowcu z siłą i mimowiedną fantazją osadzona, miała w sobie istotnie jakąś szlachetną, dzielną, z błękitnych mgieł przeszłości wylaniającą się rycerskość. Ofuknięty znowu, zbladł jeszcze więcej niż wprzód, cofnął się i do krwi prawie przygryzając wargę, wzrok utkwil w ziemię. Z gorzkiego i gniewnego zamyślenia obudził go głos tajemniczo i jakby trwożnie wołający:

— Witold! Witold!

Podniósł wzrok i zobaczył wyglądającą zza węgła domu głowę, na pierwsze wejrzenie dość szczególnie pozór mającą. Była to głowa mężczyzny dwadzieścia dwa lub trzy lata mieć mogącego, wielka, obrosła niezmierną gęstwiną rudawych i mocno rozczochranych włosów, z twarzą wielką, o rysach kształtnych, ale grubych, okrytych cerą tak ogorzałą, że prawie jak krew czerwoną, i u dołu policzków obrosłych również rudawą i rozczochraną gęstwiną włosów. Pośród tej grubej, czerwonej, obrosłej twarzy jaśniał szereg zębów białych jak śnieg a ukazujących się w uśmiechu trochę gapiowatym, a trochę jak u małego dziecka niewinnym i wesołym, i niewinnie, wesoło, przyjaźnie, błękitem i srebrem świeciła para wielkich, podłużnych oczu. Te to właśnie połączenie dziecięcej prawie niewinności i wesołości z grubością rysów, czerwonością cery i obfitością jaskrawych włosów nadawało charakter szczególnie i zaciekawiający tej głowie należącej do potężnie wzdłuż i wszere rozrosłego, ciężkiego, muskularnego, w krótką, szarą siermięgę<sup>79</sup> i wysokie, zrudziałe buty ubranego ciała. Z szerokich pleców tego wielkiego, niewinnie i gapiowato

Chłop, Pozycja społeczna,  
Przyjaźń, Szlachcic

<sup>79</sup>siermięga — odzież wierzchnia, noszona przez chłopów w dawnej Polsce. [przypis edytorski]

zębami i oczami śmiejącego się chłopca sterczały dwie wysokie i suche linie w grube sznury zaopatrzonych wędzideł<sup>80</sup>.

— Julek! A co? — zawołał Witold, którego chmurna twarz rozpodziła się w mgnieniu oka.

Ale wielki chłopiec nie odpowiadał nic, tylko tajemniczymi gestami ręki i głowy przyzywał go ku sobie. Witold paru skokami znalazł się przy nim, a wtedy i on grubym szeptem mówić zaczął:

— Jeżeli Witold chce dziś na kielby<sup>81</sup> jechać, to proszę teraz, bo pod wieczór może deszcz spadnie...

— Dobrze! Dobrze! Ale czegoś ty, Julek, tak szepczesz i chowasz się za ścianę?...

Rudy chłopiec wielką swą głowę wtulił w ramiona i z gapiowatym śmiechem zaszeptał znowu:

— A jakże! Czy ja wiem? Tak jak prawie sześć lat we dworze nie byłem... może tu kto na mnie gniewać się będzie...

— A dlaczegoś czapki na głowie nie masz?

Z tą samą mimiką chłopiec odpowiedział:

— Czy ja wiem? We dworze? Może kto będzie gniewał się na mnie?

— Włóż zaraz czapkę i mów głośno — zadyrygował Witold i widać było, że go znowu coś w serce ukłuło. Ale spojrzawszy na wędy i zwracając się ku dziedzińcowi zawołał:

— Mars! Mars!

Wielki, czarny ponter wyskoczył z kuchni, w pobliżu której stali dwaj młodzi ludzie.

— Chodźmy! — zawołał Witold.

— Chodźmy! — głośno już i raźnym gestem starą czapkę na ogromną czuprynę swą wkładając, powtórzył chłopiec w siermiędze.

Przez furtkę do ogrodu wbiegłszy od starych klonów, długą ścianą stojących nad samym brzegiem wysokiej góry, szybko z niej zstępować zaczęli ku Niemnowi. Mars cwałował przed nimi.

— A gdzież Sargas? — zapytał Witold.

— He, he, he! Łódki pilnuje! — zaśmiał się jego towarzysz.

— W domu u was wszyscy zdrowi?

— A zdrowi, chwała Bogu!

— Już z pięć dni w okolicy waszej nie byłem...

— A jakże! Już my mówili, że Witold może przestanie do nas chodzić, bo może Witoldu ociec zabronił...

— Mnie nikt zabronić nie może przestawać z wami i być przyjacielem waszym — oburzył się Witold, ale tym razem wszelkie przykre uczucie krótko w nim trwać mogło. Dzień był taki pogodny, upalny, Niemen u stóp wysokiej góry toczył się taki błękitny i złoty, a u brzegu stała łódka mała, w której wnet z towarzyszem swoim usiądzie, aby na środek rzeki wypłynąć i koniec wędy w błękitach utopiwszy patrzeć mniej może na pływające po ich powierzchni i obecność małej rybki drżeniem swym zdradzające piórko, jak na ten mały, piękny, nad wszystko miłszy mu kawałek świata. Oddychać będzie pełną piersią świeżością powietrza i wody i gwarzyć całym sercem z tym towarzyszem swym, z którym ileż razy w dziecinnych swych i nieco nawet późniejszych latach zbiegał razem z tej góry i tak jak teraz siadał razem do łódki, przy której w tej chwili na kształt posążka z czarnego marmuru siedział na straży wyprostowany i nieruchomy, czarny, kudłaty, spo-rej wielkości Sargas. Niezmałona, dziecinna wesołość okrywała delikatne, inteligentne, trochę już zmęczone rysy Witolda Korczyńskiego i grubą, czerwoną, rudawymi włosami obrosłą twarz Julka Bohatyrowicza. Gdy wiosłami zgodnie uderzyli oni o wodę, łódka zakolysała się na błękitnej i złotej toni, a dwa czarne psy, wyżeł i kundel, każdy naprzeciw swego pana siedząc, wesołymi także oczami ścigały niskie loty nadwodnych muszek, strzelistych babek<sup>82</sup> i złotym miodem obarczonych pszczoł...

Salon korczyńskiego domu rozbrzmiewał teraz muzyką skrzypiec i fortepianu. Pani

Muzyka

<sup>80</sup>wędzidła — tu w znaczeniu: kij od wędek. [przypis redakcyjny]

<sup>81</sup>kielb — rodzaj słodkowodnej ryby. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>babka — ważka. [przypis redakcyjny]

Emilia po całogodzinym przebywaniu wyobraźnią w Egipcie i zjedzeniu paru łyżek rosołu uczuła się znowu tak cierpiąca i smutna, że zapotrzebowała jakiegokolwiek rozrywki, jakiegokolwiek moralnej podniety. Czerpała je niekiedy w usposobieniach podobnych z muzyki Orzelskiego. Uszczęśliwiony wezwaniem przez Teresę przyniesionym mu, stary z pomocą córki ubrał się co najprędzej i wraz z nią na dół zszedłszy, z rozkoszą wygrywał teraz jedną po drugiej długie i zawile kompozycje. Justyna akompaniowała mu wprawnie, dokładnie i jak od dawna już bywało, obojętnie, prawie machinalnie. Trwało to dobrą godzinę. Orzelski, niezmordowany, zachwycony, rozmarzone oczy topił w rozciągniętej za oknami gęstej zieleni ogrodu, wysubtelniał się, piękniał, unosił się czasem na palcach nóg, jakby miał wnet oderwać się od ziemi. Justyna stawała się przeciwnie coraz bledsza, rysy jej sztywniały, oczy gasły, kilka razy ziewnęła głośno, czego jednak Orzelski, ekstazą porywany, nie spostrzegł. Niezmiernie trudnymi i mistrzowsko wykonanymi pasażami zakończył czwartą czy piątą z rzędu odegraną kompozycję i koniec smyczka do błogo uśmiechniętych ust przykładając, z rozkosznym cmoknięciem wymówił:

— Caca nokturnek<sup>83</sup>! Prawda, Justysiu? Cukierek! A teraz te... może sobie rapsodie zagramy... dobrze?

I już skrzypce pod pulchną brodę podłożywszy, okrągłym ruchem ramienia smyczkiem w powietrzu powiódł i na struny spuścić go miał, a Justyna, cierpliwa, bierna, ze spuszczonej powiekami, palce swe ku właściwemu miejscu klawiatury kierowała, kiedy w progu przedpokoju zjawiała się Marta. Nie zważając wcale, że czyni przerwę w domowym koncercie, oznajmiła ona, że z podaniem obiadu na powrót Benedykta oczekiwać będzie, a tymczasem dla tych, którzy się czują głodni, śniadanie podać kazwała.

Usłyszawszy wyraz śniadanie Orzelski jakby się ze snu obudził i chwilę tylko jeszcze ze smyczkiem na struny opuszczonym osowiałymi oczami za odchodzącą Martą popatrzał. Potem ostrożnie, z pieczołowitością troskliwej piastunki, skrzypce swe w podłużnym pudle składając, z innym nieco jak wprzódy, lecz również błogim uśmiechem zamruczał:

— Śniadanie! O! Dobra rzecz śniadanie! Z rana, przy kawie, tylko troszkę sucharków zjadłem! Żeby to panna Marta tego syrka dała z kminkiem i szyneczki... bo bifszytk u nas robią nie te...

Z tymi słowami, wyprostowany, i okrągły żołądek naprzód podając, uśmiechnięty, szczęśliwy, do sali jadalnej wszedł, a po chwili przy stole już siedział z serwetą na pierśi rozpostartą i nad talerzem szynki, którą z taką samą starannością i uwagą, z jaką na skrzypcach wygrywał pasaża i trele, oblewał i zaprawiał oliwą i musztardą.

Justyna przy fortepianie pozostała. Rzecz szczególna! Trudny i zawile akompaniament do wielkich muzycznych sztuk wygrywając, czyniła to widocznie z musu tylko i konieczności, a myślami gdzie indziej przebywała. Teraz zaś nie tylko fortepianu nie opuściła, ale ze schyloną nieco nad klawiaturą twarzą, z zajęciem, szukać na niej zaczęła akordów, którymi widocznie zawtórzyć chciała nucie jakiejś, we wnętrzu jej zapewne śpiewającej. Zamyślona była, oczy jej w klawiaturę utkwione miały wyraz pytania, które może powtarzało się w jej myśli tak uparcie, jak uparcie wiała się po niej owa daleka nuta, do której szukała wtóru. Znalazła go wkrótce; spod palców jej wyszło kilka przyciszonych akordów, przy których z cicha też zanuciła:

Lecą liście z drzew, co wyrosły wolne,  
Na mogile śpiewa jakieś ptaszę polne...

Rumieńce powoli opływały znowu śniadawe jej policzki, oczy błysnęły.

Nagle z krzesła zerwać się chciała, ale wnet znowu usiadła. Zamyślenie jej, marzenie, tę nutę dalekiej pieśni, którą dziś wraz ze snopem dzikich roślin z pola przyniosła, przerwał jej turkot kół na dziedzińcu. Po chwili usłyszała w przedpokoju głos Kiry, który, rzecz dziwna! nie zażartował wcale z siedzącego naprzeciw otwartych drzwi Orzelskiego, ale owszem, przesłał mu z dala bardzo uprzejme powitanie. Do salonu wszedł z kapeluszem w rękę, ze sztywnym jak puklerz i śnieżnie białym przodem koszuli, szeroko wylaniającym się spośród cienkiego i starannie sporządzonego ubrania. Na widok Justyny nie posunął się ku niej, jak to bywało najczęściej, z żartobliwą galanterią, nie spojrzął

<sup>83</sup>nokturn — rodzaj utworu muzycznego. [przypis edytorski]

Jedzenie

Muzyka



jej w oczy z drwiącą admiracją, ale przeciwnie, zbliżył się z zupełną powagą w postawie i na twarzy i rękę swą kościstą, lecz białą i wypielęgowaną, ruchem serdecznym po jej rękę wyciągnął. Podała mu ją bardzo chłodno, ale on z głębokim prawie ukłonem złożył na niej pełen uszanowania pocałunek. Przy tym bez cienia uśmiechu przemówił:

— Winszuję, z całego serca winszuję i proszę, abyś pani była pewna, że nikt nadmnie goręcej szczęścia życzyć pani i szczerzym jej przyjacielem być nie może...

Mówił to ze wzruszeniem, które małe, świecące jego oczka wilgotnymi uczyniły. Justyna lekceważąco ramionami wzruszyła. Powagę, uszanowanie, powinszowania i oświadczenia brała ona za nową formę drwin wesołego sąsiada.

— Zapewne mam wujence oznajmić przyjazd pana? — obojętnie zapytała.

— Jeżeli łaska, jeżeli łaska! — prawie pokornie poprosił Kirło.

Pani Emilia słuchała była muzyki Orzelskiego nieruchomo na pościeli wyciągnięta, z zamkniętymi powiekami, spod których czasem na blade jej policzki spływała łza. Teresa, bezsennością i krzątaniem się około chorej znużona, siedząc na krześle, co chwilę usypiała i z gwałtownymi ruchami głowy budziła się w trwodze, czy nie drzemała za długo; Leonia zaś w kątku pokoju, przy szczupłym świetle dochodzącym tu zza spuszczonej sztory, zawzięcie wyszywała na kanwie pantofle dla Marty. Od czasu do czasu szeroko poziewała albo z wyrazem znudzenia i niezadowolenia wydymała bledziutkie wargi. Oznajmienie o przybyciu Kirły wywołało w tym dusznym i przyciemnionym pokoju ruch niespodziewany. Pani Emilia dość raźnie i z uśmiechem, który od razu zmęczoną twarz jej odświeżył, usiadła na łóżku i oświadczyła, że czuje się znacznie lepiej, ubierze się i do buduaru swego wyjdzie. Teresa z radości nad polepszeniem się jej zdrowia w ręce ją całowała, chichotała, od łóżka do toalety i na powrót biegła, przynosząc mnóstwo przedmiotów do ubierania się potrzebnych. Przy tym i sama rzucała w lustro spojrzenia to przelotne, to dłuższe.

Kirło samotnie w salonie przesiedział prawie godzinę, którą pani Emilia w asystencji Teresy i panny służącej spędziła przed zwierciadłem swej toalety, otwierając i zamykając pudełka i flakony; a w pracy tej czasem tylko i dla odpoczynku czyniąc krótkie pauzy. Kiedy na koniec wstała od toalety i na spotkanie wchodzącego do buduaru sąsiada postąpiła, chód jej powolny był i trochę jeszcze osłabiony, ale z ubrania i twarzy prawie niepodobna byłoby odgadnąć świeżo przeżytych cierpień. Jednak nie udawała nic: ani choroby, ani polepszenia zdrowia. Zmiany te zachodziły w niej pomimo jej woli i wiedzy, mocą wpływów i wrażeń działających na jej nerwy. Z Kirłą łączył ją stosunek bardzo osobliwy. Był to jej przyjaciel, wielbiciel, powiernik. Myślała zawsze o nim jako o jedynym człowieku, który ją rozumiał i czynił wszystko, co od niego zależało, aby dopomóc jej w dźwiganiu smutnego życia. W głębokich tajnikach swej myśli była też przekonana, że kochał się on w niej od dawna, stale, wiernie... Nie dziw więc, że teraz przybycie jego obudziło w niej tę samą siłę, jaką przed kilku tygodniami znalazła była w sobie, aby przez cały dzień i część nocy przyjmować licznych gości i lekko zbiegać ze wschodów, z których zazwyczaj ją znoszono. Miała mu zawsze mnóstwo rzeczy do powiedzenia o sobie, wiedziała, że zawsze zabawi ją, rozerwie, coś miłego jej szepnie, jakimś wzruszeniem rozgrzeje.

Istotnie też, na samym już wstępie przyjemnie ją rozczulił długim i pełnym współczucia ubolewaniem nad stanem jej zdrowia, a potem rozśmieszył ścigając przez dwa pokoje Teresę, którą dziś koniecznie chciał pocałować. Następnie, gdy wygodnie i miękko ułożyła się już na swym pąsowym szezlongu, z udaną powagą oznajmił, że przywiózł ciekawą, dla panny Teresy szczególnie niezmiernie ciekawą nowinę. Obie kobiety z upragnieniem wpatrzyły się w niego; on zaś z odpowiednią okoliczności mimiką opowiedział, że przybywa z Wołowszczyzny, której dziedzic, Teofil Różyc, zakochany jest po uszy w pannie Teresie, że wychwalał dziś jej figurkę, oczy, skromność, dobroć, że słowem, kto wie, czy pomimo wszystkich różnic majątkowych i innych na serio o niej nie pomyśli. Dziś właśnie ma do Korczyna przyjechać i Kirło pośpieszył z oznajmieniem paniom tej wizyty. Usta pani Emilii drżały powstrzymanym uśmiechem, ale Teresa rumieniła się, to bladeła na przemian; wszystkie nerwy jej twarzy drzeć zaczęły i oczy napęłniły się łzami. Ze śmiechem i razem z płaczem rzuciła się ku pani Emilii, przysiadłszy na ziemi kolana jej ucałowała i z pokoju drobniejszym jeszcze kroczkiem niż zwykle wybiegła. Kiedy salon i przedpokój przebiegała, można by ją było wziąć za istotę nieprzytomną; jednak spotka-

Flirt, Kobieta, Mężczyzna

Kobieta, Miłość, Starość,  
Strój

nego lokajczyka zdyszczonym głosem o Martę zapytała, a dowiedziawszy się, że znajduje się ona w swoim pokoju, jak wicher wschody przebyła i do tego pokoju wpadła.

— Moja pani, moja złota, moja najdroższa, proszę mi na dziś swoich liliowych kokard pożyczyc! — obejmując Martę wyjęczała.

— Pfuj! Zgiń, maro, przepadnij! Toś mnie dopiero przestraszyła! Któż to widział z takim impetem wpadać! — ofuknęła stara panna. — Na co ci te kokardy? Owszem, pożyczę, ale na co ci dziś kokardy?

— Trzeba, trzeba. Podobno mi w nich do twarzy... Pan Orzelski i pan Kirlo mówili, że mnie w nich było do twarzy...

— Cóż to? Czy konkurent jaki przyjeżdża? — dostając z szuflady żądany przedmiot zapytała Marta.

— Może i przyjeżdża! — z figlarnym mruganiem i kręceniem głową odpowiedziała Teresa.

A gdy dwa jedwabne łachmanki znajdowały się już w jej ręku, stanęła przed małym, na ścianie wiszącym lusterkiem i poczęła nimi sobie włosy i stanik przyozdabiać. Oprócz tego układała na głowie zrudziały warkocz i brzeg stanika odchyłała w ten sposób, aby zza niego ukazywała się jak najwięcej szyja, w samej rzeczy niepospolicie ładna. Ta głowa w brzydkim, zrudziałym warkocz i twarz, która kształtem i barwą przypominała uwiędłą różę, osadzona na tej młodej, białej, delikatnej szyi, sprawiała wrażenie prawie bolesne. Marta, znająca dobrze usposobienie swej towarzyszki, a przy tym pogrążona w liczeniu sztuk stołowej bielizny, którą dziś do prania oddać jej było trzeba, najmniejszej uwagi nie zwracała na przystrajającą się i mizdrzącą przed lustrem kobietę. Ale i ona sama przystrajając się i mizdrzyć przestając, splecione swe ręce, małe i chude, na stolik opuściła i zamysliła się. Wyraz nieskończonej, lecz cichej radości i wdzięczności twarz jej oblał i przyozdobił. Wyglądała teraz na słodką, dobrą, Bogu i ludziom wdzięczną istotę. Można by mniemać, że odmawiała w myśli gorącą, dziękczynną modlitwę. I jakże mogło być inaczej? Wczoraj jeszcze marzyła o oliwkowym fellachu, a dziś oznajmiono jej, że kocha ją lub bardzo, bardzo bliskim ukochania jest Europejczyk, młody, wykwiniony, interesujący. O tym, że był także bogaty, nie myślała wcale. Nie za bogactwem tęskniła, lecz za miłością. Miłości jej było trzeba, miłości! Miłości! Rzuciła się ku siedzącej na ziemi Marcie i przysiadłszy przy niej ręce jej, z których brudne serwety wypadły, całować zaczęła.

— Moja droga, moja najmilsza! — szeptała — jeżeli Bóg w dobroci swojej to sprawi, że ja kiedy szczęśliwą będę, nigdy, nigdy o was i o domu waszym nie zapomnę, nigdy wam wdzięczna być nie przestanę za to, że przytuliliście mnie sierotę i ze słabym zdrowiem.

— Czy ty, Tereniu, błękotu dziś najadłaś się, czy co? — burknęła Marta, ale wielką swą rękę pieścizotliwie przesunęła po tulącej się do jej piersi, rozpalonej, wyrazem szczęścia oblanej, a jednak tak biednie, biednie wyglądającej twarzy.

— No, no! Dość już tego! — łagodnie dokończyła. — Wiadomo, że jesteś dobrą dziewczyną, a tylko masz bzika...

Trzydziestokilkoletnia dziewczyna porwała się z ziemi i chichocząc, skocznego walczyka nucając, figlarnie głową kręcąc, najdrobniejszym swym kroczkiem z pokoju wyfrunęła.

W buduarze pani Emilii wnet po wyjściu stamtąd Teresy dwoje ludzi rozśmiało się głośno i wesoło.

— Uwierzyla! — wśród śmiechu zawołał Kirlo.

— Uwierzyla! — ze śmiechem także powtórzyła pani Emilia.

Bawiła ją łatwowierność i naiwność towarzyszki, jednak zaczęła Kirle wyrzucać, że z niej żartował.

— Ona jest dla mnie bardzo dobra... tak czule pielęgnowała mnie dziś, gdy cierpiałam... Jedyna to istota, przez którą kochana jestem...

— Jedyna! — z wyrzutem zaszeptał Kirlo i rączka użalającej się kobiety znalazła się w jego ręku. Delikatne jej policzki opłynął blady rumieniec, powieki spuściła i cicho wymówiła słów kilka o swoim biednym sercu i smutnym, smutnym życiu. Zwieranie się z jednej strony, a wyrażanie najgorętszego współczucia i uwielbienia z drugiej trwało kilka minut, po czym Kirlo budząc się jakby z upojenia, w które go zbliżenie się do sąsiadki wprawiało, z westchnieniem i omglonymi jeszcze oczami wypowiedział, że jednak ma istotnie do oznajmienia jej ciekawą i ważną nowinę. Dla niej nowina wszelka była prawdziwym dobrodziejstwem, więc niecierpliwie dowiadywać się o nią zaczęła. Widać

Flirt

było także, iż wieść, którą oznajmić miał, całkiem odbierała Kirle usposobienie tak do żartów, jak do zalotów. Zupełnie poważnie opowiedział, że wszystko, co Teresie mówił o Różyca, stosuje się w rzeczywistości do Justyny; że ten dziedzic starego nazwiska i wcale pięknego jeszcze majątku bardzo żywo zajęty jest panną Orzelską; że z nasuniętej myśli ożenienia się z nią śmiał się zrazu i żartował, ale teraz zaczyna się nad nią zastanawiać i kto wie? czy nie wyniknie z tego naprawdę ta dziwna niespodzianka, że prędzej lub później oświadczy się o jej rękę.

— W głębi duszy — mówił Kirlo — jest to desperat lamentujący nad ruinami swego zdrowia, majątku i życia. Może być więc, że jak deski ratunku schwyci się ożenienia z osobą, która mu się bardzo podoba. Sam przez się nie uczyniłby tego zapewne nigdy, ale żona moja, której jest wielkim admiratorem, nad skłonieniem go ku krokowi temu pracuje, a wiadoma to już rzecz, że *ske la fam we*<sup>84</sup>...

— *Ce que la femme veut...* — dopomogła pani Emilia.

— Otóż to! A jeszcze taka *fam* jak moja Marynia; bo pani i wyobrazić sobie nie możesz, jaka to energiczna baba! Zawczoraj była w Wołowszczyźnie, długo z nim rozmawiała i przyjechała do domu tak uszczęśliwiona, jakby skarb na drodze znalazła... Dowiedziałem się też od niej, że swoje swatostwo na dobrą już drogę wprowadziła.

Z postawy i sposobu wysławiania się Kirly widać było, że rzecz tę uważał za bardzo ważną dla Korczyńskich, dla siebie, a przede wszystkim dla Justyny, której imię wymawiał teraz z uszanowaniem, może mimowolnym, ale takim, że głowę przy nim nieco pochylał. Pani Emilii taki mezalians zrazu w głowie pomieścić się nie mógł, a potem samo jego przypuszczenie zachwyciło ją i rozrzewniło do stopnia najwyższego. Dla Justyny byłoby to szczęściem wielkim, niespodziewanym, o którym nawet marzyć ona nie mogła, ale ta strona nowiny niewiele ją zajmowała. Główny interes jej zawierał się w wielkości, wzniosłości i gorącości uczucia, które Różyca do tak nadzwyczajnego kroku skłaniać mogło.

— O, Boże! Cóż to za szczęście musi być dla kobiety obudzić taką miłość, miłość, która wszystkie przeszkody łamie i depcze, której się nic oprzeć nie może, która... dla której... przez którą... Dlaczego każdej nie danym jest spotkać na drodze swego życia takiego serca, takiej namiętności, takiego poświęcenia...

Długo na temat ten fantazując nie zauważyła niedorosłej, lekkiej jak motyl panienki, która wszystkiego przez otwarte drzwi sypialni wysłuchawszy kanwę z wyszytą różą na ziemię rzuciła i na paluszkach do dalszych pokojów wybiegła. Po chwili cienki głosik Leononi rozlegał się na wschodach, na których spotkała schodzącą na dół Teresę, i w pokoju panny Marty i Justyny, gdzie usłyszaną nowinę z niezmiernie żywymi gestami i błyszczącymi oczami opowiadała.

W kilka minut potem w tym samym pokoju Teresa leżała na jednym ze znajdujących się tam łóżek, z wykrzywioną na głowie kokardą, splakana i tak do poduszek przytulona, jak chore dziecko tuli się do piersi matki lub piastunki. Skoczne walczyki i dziękczynne modlitwy dalekimi już od niej były. Od czasu do czasu cicho i jękliwie wymawiała:

— Co ja złego jej zrobiłam, że pozwala ona tak żartować ze mnie!

A potem z żalonym westchnieniem:

— Ja ją tak kocham, a ona dla mnie nie ma żadnej sympatii!...

Zaczęła znowu płakać i wśród łkań mówiła jeszcze:

— I jakież to zresztą sens tak żartować ze mnie? Gdybym już była taka stara i straszna... Dwadzieścia dziewięć lat mam, dlaczegoż bym więc uwierzyć nie mogła, że się komuś podobalam!

Po chwilowym uspokojeniu się jęknęła znowu:

— Ja ją tak kocham, tak kocham, a ona żartuje ze mnie! O Boże, jak mnie głowa boli!

Wtem zerwała się i na łóżku usiadła.

— O mój Boże! — krzyknęła — wszakże to ja jej lekarstwa nie dałam! Która godzina, Justynko? Pewno już pora minęła, a ona zagawędziła się i nie wzięła. Ten pan Kirlo taki przyjemny... jak zagawędzi się z nim, pewno o lekarstwie zapomni... Która godzina,

<sup>84</sup>*ske la fam we* — to, czego chce kobieta; tu w pisowni naśladowanej niepoprawną wymowę. [przypis redakcyjny]

Justynko? Trzeba biedaczce dać tej mikstury, bo jeszcze znowu duszenie schwyci... A ja i zapomniałam, o Boże!

Drżącymi rękami, żółtsza niż kiedy i od płaczu zacerwieniona, warkocz i kokardę na głowie poprawiała i machinalnie już osuwała brzeg stanika, aby białą i kształtną szyję lepiej odsłonić. Potem za bolącą głowę chwytając się, na zapomnienie się swoje wyrzekając, nad chorą, o której zapomniała, użalając się, z pokoju wybiegła. Marta podniosła się wtedy znad stosu bielizny, którą już przeliczyła, i na siedzącą u okna Justynę popatrzała.

— Cóż? — ozwała się. — Winszuję! Może cię świetny los spotka. Ten Różyc, słowo honoru, musi być uczciwym człowiekiem, kiedy naprawdę żenić się myśli z biedną dziewczyną. Cieszę się, życzę, winszuję...

Z rozjaśnionego jej czoła i mniej niż zwykle ostrego spojrzenia widać było, że cieszyła się naprawdę. Jednak ku drzwiom idąc, znowu oburkliwie i z ironią rzuciła:

— Nie melancholizuj tylko i nie kapryś, ale Panu Bogu dziękuj, bo jeżeli cię ten Różyc weźmie, nie będziesz miała nigdy szczęścia zrobić się cholera albo synogarlicą. Cholera, uważasz, to ja, a synogarlica to Teresa...

Z tymi słowami z pokoju wyszła. Justyna u otwartego okna siedząc naprawiała swoją znoszoną suknię. Od dawna robiła to zawsze sama, starając się jak najmniej usługi potrzebować i kogokolwiek sobą zajmować. Ale teraz igła wypadła jej z palców. Lepiej od wszystkich wiedziała ona, że w wieści przez Kirlę przywiezionej wiele było prawdy. W czasie ostatnich odwiedzin Różycy zajmowanie się nią młodego pana zaprawione było tym uszanowaniem i tą badawczością, z jakimi mężczyzna zbliża się do kobiety, względem której tworzy poważne zamiary. Może więc być, że lada dzień złoty owoc z czarodziejskiej jabłoni szczęścia spłynie jej do rąk. Myśląc o tym nie wyglądała jednak na szczęśliwą. Z pobladłą cerą, zmarszczonym czołem i zeszywniałymi rysami wydawała się znowu daleko starsza, niż była. We wzroku jej tkwiło uparte, naprężone, bolesne pytanie. Zadawałaż je sercu swemu, przeszłości swej czy przyszłości? Chwilami widać było, że przez własne myśli czuła się upokorzona: rumieńce po czole jej przepływały i opuszczały się w dół powieki. Może wstydziała się własnych wahań i namysłów. Wypadkiem oczy jej spotkały się z leżącą na stole niewielką książką, której kosztowna okładka połyskiwała dwoma wyzłoconymi literami: Z. K. Wczoraj książkę tę wraz z małym, pachnącym listem przywiózł dla niej posłaniec z Osowiec. Przysunęła ją ku sobie, wyjęła z niej pachnącą, cieniutką kartkę i chmurny wzrok powoli przesunęła po okrywającym ją piśmie:

Przestałaś lubić muzykę, Justyno, ale może jeszcze kochasz poezję. Czy jeszcze cokolwiek lub kogokolwiek kochasz? Cóż stało się z tą, którą niegdyś nazywałem moją iskrą i moim światłem księżycy? Jakże ty piękne, Justyno, miałaś niegdyś zapęły i marzenia! Teraz spotykam istotę zimną i trzeźwą, z pospolitością życia pogodzoną, z prawami świata liczącą się i zapytuję: co stało się z tamtą? Próbuję wskrziesić cię, dawna Justyno moja! Weź do ręki tę książkę, idź do grabowej altany, czytaj i wspominaj! Może we wspomnieniach choć na chwilę dla ciebie z martwych powstanę, może cię one skłonią do przebaczenia, może zapragniesz, aby znowu, jak dawniej, oczy nasze razem na tych kartach spoczywały... Czy pamiętasz, Justyno, czy pamiętasz? Pozwól mi kiedy długo sam na sam z tobą porozmawiać. Wytłumaczę ci zagadkę mego złamanego życia, a wtedy zrozumiesz, że duszom naszym wolno zawsze do siebie należeć. O, nie lękaj się! Ja duszy tylko twojej pragnę, ale o nią, jak o swą dawną własność, nigdy upominać się nie przestanę. Gdybyś wiedziała, jak głęboko i bez ratunku jestem nieszczęśliwy!

Zygmunt

Czy pamiętała? Mocna, prawie trująca woń wspomnień biła jej do głowy z tej małej książki, którą dawniej tyle razy trzymali oboje, jakby jej ciężar wspólnych ich sił wymagał, z głowami ku sobie pochylonymi, z oczami utkwionymi w te francuskie wiersze, tam, u końca ogrodu, w grabowej altanie. Czy pamiętała? Każdy wiersz, każdy niemal wyraz tej książki był dla niej niby zmartwychwstającym słowikiem. Oczy jej zachodziły łzami i pierś podnosiła się wysoko, gdy zobaczyła dwa wiersze, silnie niebieskim ołówkiem podkreślone:

Kobieta, Małżeństwo

Kochanek romantyczny

Książka, Wspomnienia

*Je viens de m'incliner, madame, devant vous,  
Mon orgueil tout entier est encore à genoux*<sup>85</sup>

Dwie jej lzy upadły na dwa te wiersze. Wyobraźnia ujrzała go klęczącego przed nią i z dumą u jej stóp złożoną pokornie jej tłumaczącego zagadkę swego życia i ich rozłączenia. Przerzuciła kilka kartek i czytała znowu:

Tym razem wiersze te uderzyły w nią czymś innym niż wspomnienie. Oczy jej oschły, podniosła głowę, myślała. Nie, nie! Kochać nie jest to wątpić o sobie i o drugich ani czuć się gardzoną, zdradzaną... Nie jest to przede wszystkim plamić się i krzywdzić! Kochać to ufać i w dwa serca na raz spoglądać jak w czyste zwierciadła, razem iść drogą długą i czystą, a u jej końca móc dwa swe imiona wypisać złotem przywiązania niezłomnego i zwycięzonych wspólnie postrachów życia...

— Jan i Cecylia!

Dwa te imiona Justyna prawie głośno wymówiła, książkę Musseta<sup>86</sup> porywczym prawie ruchem zamknęła i powstała. Wszystko na świecie mówić umie. Wymowę swą posiadają także zapachy. Wielka więź polnych roślin, która w prostym naczyniu z polewanej gliny stała na stole, zapachem swym napelniała pokój. Justyna rozgarniać zaczęła splecione ze sobą lodygi i kwiaty. Z rana Benedykt Korczyński, chorobą żony przelekniony i stroskany, wysłał ją w pole z zapytaniem do rządcy o ilość zebranych na dzisiaj żeńców. Wrócić mogła w kwadrans, wróciła po paru godzinach. Spędziła je na zielonych miedzach rośliny te zrywając. Zawsze je lubiła, ale nie знаła nazw ich ani dziejów. Teraz każdą z nich nazwać mogła po imieniu, powiedzieć, kiedy rozkwita i w jakich dniach późnego lata lub jesieni znika z ziemi, którą stroiła. Czy podobna, aby ten słuszny, zgrabny chłopak z błękitnymi jak turkusy oczami, który, gdy nadchodziła, wiązał w snopy żółte zboże, mógł czegokolwiek ją nauczyć? Jednak nauczył. Długo razem chodząc po miedzach i układając ten bukiet, bardzo do różnobarwnej miotły podobny, nieustannie ze sobą rozmawiali, nie o sobie jednak, tylko o tej naturze, której wtedy wydawali się wolnymi i szczęśliwymi dziećmi. Teraz Justyna pamięta całą tę lekcję wziętą z tak rumianych, a tak przecież niekiedy wzruszonych ust Jana Bohatyrowicza. Ta delikatna lodyżka z mnóstwem trójkątnych i w przedziwne fugi<sup>87</sup> wyrzniętych wisiadełek u szczytu to drzączka, która ręką ludzką poruszona wydaje się żywą, trwożliwą istotą. A to lenek kukawki, szorstki i twardy, z szafirowym kwiatkiem służącym do uścielania gniazda miłemu ptakowi wiosny. To szelestuszka o liściach prawie złotych i przy każdym dotknięciu zdających się coś tajemniczo szeptać, a to w bujny, śnieżny kwiat ustrojona trująca gałąź psianki. Ten liść szkarłatny jest wędniejąca lebioda, która na trawy zielone rzuca krwiste plamy, a ta wijąca się gałązka drobnym, różowym kwiatem osypana to szczęście. Nazywa się ona szczęściem dlatego, że wróży dziewczętom. We włosy wpleciona, jeżeli rozkwitnie, ukochany kocha wzajemnie. A wzajemność w kochaniu czyż nie jest szczęściem?

Z zamyślonym na ustach uśmiechem Justyna wyjęła z wielkiego bukietu gałązkę szczęścia i wplotła ją w czarny swój warkocz. Potem stanęła przed otwartym oknem z cieniutką i uperfumowaną kartką papieru, którą ze stołu wzięła. Przez chwilę szemrała ona w jej rękę, jakby była złotawą gałązką szelestuszki, aż powoli, z namysłem — któż odgadnie? może z walką — Justyna rozdarła ją na kilkanaście drobniotkich płatków, które rozsypały się za oknem i w morzu słonecznego światła zniknęły. Jak giętka roślina polna w jej warkoczu, tak na jej ustach wiła się cicha nuta:

Lecą liście z drzew, co wyrosły wolne,  
Na mogile śpiewa jakieś ptaszę polne...

<sup>85</sup>*Je viens de m'incliner (...)* (fr.) — klaniam się kornie, pani, przed tobą, cała moja дума jest jeszcze na kolanach. [przypis redakcyjny]

<sup>86</sup>Musset Alfred (1810–1857) — fr. poeta i dramaturg z epoki romantyzmu. Jego liryki miłosne i poematy cechuje pesymizm, niewiara w człowieka i gorzka ironia. Pełne realistycznych obserwacji utwory sceniczne Musseta (wykpiwające wady i śmieszności burżuazji francuskiej) cieszą się do dziś niesłabnącym powodzeniem. [przypis redakcyjny]

<sup>87</sup>*fuga* (starop.) — szpara, szczelina, wcięcie. [przypis redakcyjny]

### III

W porze żniw na tej rozległej równinie ziemia wydawała się złotym fundamentem dźwigającym błękitną kopułę i okrytym ruchliwym mrowiem drobnych istot. Właściwa barwa ziemi ukazywała się tylko tu i ówdzie na drogach porośniętych rzadką trawą i na wcześniej zaoranych małych szmatach pola. Zresztą, wszędzie, od wzgórz obrosłych drzewami do wysokiej ściany nadniemeńskiej, dojrzałe zboża płynęły gorącą żółtą lawą, która miejscami wyginała się w zagłębienia, okryte również gorąco żółtym ścierniskiem<sup>88</sup>. W tych to zagłębieniach, rozszerzając je coraz i okrywając wypukłościami zżętych snopów, mrowiły się drobne, ku ziemi schylone istoty. Na linii poziomej spostrzegane, wydawały się one drobnymi, bo rozsypane wśród wielkiej przestrzeni pełzały przy samej ziemi. Ale widziane z góry, spod obłoków, wydawać by się musiały niezawodnie tłumem rzeźbiarzy urabiającym w przeróżne wzory złoty fundament świata. One też to były, które go uczyniły złotym; ich to ręce w mgliste dnie jesieni i wiosny miesiły ten wosk cudowny, aż przy letnich skwarach spotniał on tą złotą lawą, która sokiem życia przeleje się w żyły ludzkości. Ulewą żaru błękitna kopuła oblewała ich zgięte plecy, a gorący ten oddech nieba, skraplając się na ich twarzach, spadał na ziemię deszczem potu. Z poziomu spostrzegane, były to malutkie, przyziemne robaki. Z góry widziane — jubilerowie obracający w swym ręku najdroższy metal ludzkości, artyści urabiający postać świata, pośrednicy otwierający łono ziemi dla zapładniających uścisków słońca.

Na rozległej przestrzeni pola, którą wąska droga z bohatorywicką okolicą rozdziela, żniwiarze wydawali się rojem istot nie tylko ruchliwych, ale i różnobarwnych. Wyglądało to tak, jakby malarz jakiś gorąco żółte tło bez ładu i symetrii osypał kroplami różnych farb. Biała i różowa przemagały wszystkie inne. Były to koszule mężczyzn i kaftany kobiet. Białosc pierwszych była śnieżna, różowość drugich — gorąca. Przez parę tygodni poprzedzających porę żniw w Bohatorywiczach panował wielki ruch prania i szycia. Do kilkunastu najmożniejszych dni w roku przygotowywano się tam jak do wielkiego święta. Cała ludność okolicy jednocześnie wylec miała w pole, dla każdego więc było to wystąpienie publiczne, o którego przystojność, a nawet i niejaką wykwintność niezmiernie dbano. Kobiety dłużej niż zwykle przesiadywały nad brzegiem rzeki, stukami pralników napełniając powietrze, a pranie to jeszcze poprawiały w domu dopóty, dopóki koszulom mężów i braci nie nadały prawie olśniewającej białosci. Otwierały one skrzynie i wydobywały z nich najnowsze i z najlepszym smakiem, na domowych krosnach z lnu i wełny wytkane spódnice. Szyły też nowe kaftany i bardzo biedna była już ta, która, jak żona Ładysia z chatki pod dębem stojącej, nie miała wtedy na palcu mosiężnego napastrka, a w ręku kilku łokci liliowego, błękitnego lub różowego perkalu. Bardzo też biedny był ten, który, jak ów Ładys z chłopska mówiący a bujną, złocistą czuprynę w górę zaczesujący nad szerokim czołem, nie mógł na tę porę przywdziać nowego obuwia, cholewami kolan sięgającego, i czarnych spodni, których szelki ciemnymi liniami przerzynały na krzyż olśniewającą białosc koszuli. Ale młody Michał, pierwszy elegant okolicy, który nosił spiczasto przyszyzoną brodę i w górę zakręcone wąsy, od stóp do głowy ubrał się w dymkę koloru kanarkowego i w zgrabnej czapce, w nowych butach, z fantazją stał na pustym wozie, galopem prawie przez parę koni ciągniętym od jednego z domostw ku polu. Zwolnił nieco bieg koni krzyżując się z innym wozem spiętrzoną górą snopów, na szczycie której siedział Jan Bohatorywicz, w podobnie nowej czapce, z szelkami skrzyżowanymi na śnieżnej koszuli, z lejcami w rękach.

— Matka pomagać przyszła? — gromko zapytał kanarkowy lew okolicy.

— A jakże! — odkrzyknął wiozący snopy.

— Szczęśliwemu i aniołowie ku pomocy stają! Do mnie nikt nie przyszedł! Niechby choć panna Antonina troszkę pomogła?

— A to dla jakiej przyczyny? — z trochę obraży w głosie wykrzyknął Jan.

— Psie kawalerskie życie! Jak kobiet w domu nie ma, człowiek bez rąk prawie! Ale ja sobie trzy najemnice wziął; żną, aż szumi, i basta!

— Hej! Z drogi — za wozem Jana rozległ się głos basowy i trochę gniewny. — Stanęli na drodze i językami mielą! Z drogi, hrabiowie!

<sup>88</sup>ściernisko — pole, na którym po żniwach pozostały lodygi zbóż. [przypis edytorski]

Był to nadjeżdżający syn Fabiana, tęgi, rudawy, jak zwykle chmurny Adam. Za nim nadjeżdżało jeszcze kilka wozów, z których, przy jednym, ciągniętym przez mizernego konika, ciężkim krokiem szedł bosy i cały w płótno ubrany Ładyś; na drugim, pustym, z grubą kasztanową kosą na plecach, w różowym kaftanie, z rozognioną twarzą, stała dziewczyna wysoka, prosta, silna.

— Dzień dobry pannie Domuntównie! — z galanterią czapki uchylając zawołał rozmijający się z nią Michał.

W odpowiedź dziewczyna brwi sobolowe ściągnęła i pogardliwym nieco śmiechem wybuchnęła:

— O Jezu! Wszak to pan Michał! A ja myślałam, że to wilga na wozie siedzi!

I ze zrzęczością, której niejeden mężczyzna mógłby jej pozazdrościć, parą tęgich koni kierując, starała się przegonić wóz Jana, który przecież różnym klusem w bramę zagrody Anzelma wjechał i środkiem ogrodu, drogą białą od dzięcieliny, ku domowi pod sapieżanką<sup>89</sup> stojącemu dążył.

Kiedy na drodze rozlegał się turkot kół, gwar urywanych i głośnych rozmów, a czasem nawet zapanowywał ścisk wymijających się albo usiłujących wzajem przegonić się wozów, nad polem mrowiącym się gromadkami żniwiarzy, wraz z upałem i blaskiem słońca, stała wielka cisza. Gromadki żniwiarzy, nieprawidłowo wśród szerokiej przestrzeni rozrzucone, nierównej wielkości, z wolna, lecz nieustannie posuwały się naprzód, w różnych kierunkach. Jedne z nich postępowały od okolicy ku wzgórzom, inne — od wzgórza ku korczyńskiemu dworowi; inne jeszcze poruszały się naprzeciw piaszczystej rozpadliny stanowiącej wejście do wielkiego parowu Jana i Cecylii. Czasem tylko wzbijał się nad nimi krótki wybuch śmiechu lub powietrzem przeleciało głośno wykrzyknięte imię, stado wróbla podjęło się z krzykiem, tu, tam, ówdzie szybko mignęły stalowe błyskawice sierpów. Zresztą, opróżnione wozy, jedno i dwukonne, zbacając z drogi i bez szelestu prawie tocząc się po ściernisku, stały w zagłębieniach otoczonych dokoła złotym lasem nietkniętego jeszcze zboża; owady ćwierkały, czasem przelekniony ptak trwożnie zaświgał, a wszędzie, szeroko, jak okiem zajrzeć i uchem zasłyszeć, płynął po polu suchy, nieprzerwany szelest przecinanych i na ziemię kładących się kłosów.

Paru godzin do zachodu słońca brakowało, kiedy Jan, po raz dziś może dziesiąty, wóz swój na ściernisko zawrócił i wjechał w szerokie i długie zagłębienie, w którym pracowała jedna z najliczniejszych gromad mężczyzn i kobiet. Była ona tak liczna, bo składała ją rodzin kilka. Chuda i chorowita<sup>90</sup> wyglądająca żona Fabiana, w sztywnej chustce osłaniającej głowę i część mizernej jej twarzy, prędko jednak i wprawnie zęła obok swej córki, pulchnej i przysadzistej Elżusi, z dała świecącej jaskrawą różowością swego kaftana i mnóstwem polnych maków sterczących nad jej czołem, tak prawie jak one pąsowym. Za nimi dwaj niedorośli chłopcy żęli także, a jeden wielki, pleczysty, rudych chłopak, z czerwoną twarzą i rzędem białych zębów w wiecznym, gapiowatym uśmiechu ukazywanych, wiązał snopy, układał je w dziesiątki i pomagał do naładowywania nimi wozu nieco młodszemu, lecz również pleczystemu<sup>91</sup> i silnemu bratu. Wszystko to czynił powoli, z leniwymi ruchami, jakby sennie. Za nim, jak nierozłączny cień jego, siedział lub chodził czarny, kudłaty kundel. Pan i pies jednostajnie często garbili się, wyciągali, poziewali. Czasem pies podnosił głowę i wtedy patrzali sobie w oczy. Pan śmiał się do psa wszystkie zęby ukazując.

— A co, Sargas? Na Niemen może pójdzim? Na Niemen lepiej, he, he, he!

Pies wyciągał się i głowę w stronę rzeki zwracał.

— Nie można, Sargas, nijak nie można! Nie puszczają nas na Niemen, he, he, he!

— Julek! — zabrzmiał głos zawsze czegoś rozgniewanego Adama — zasnął stojąc czy co? Snopy dawaj! Hrabia!

— Julek! — po kilku minutach donośnie wołała Elżusia — położyłeś się już czy co? Bardzo słusznie! Leż sobie, a żyto niech gnije na ziemi!

Wielki chłopiec, który istotnie jak długi rozciągnął się był na ścierni<sup>92</sup> i leniwą rękę zatopił w kudłach Sargasa, wstał, wyciągnął się i począł znowu snopy wiązać.

<sup>89</sup>sapieżanka — rodzaj gruszy. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>chorowito — dziś: chorowicie. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>pleczysty — mający silne plecy; dobrze zbudowany. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>ścierni — pozostałe po żęciu lodygi zbóż. [przypis edytorski]

Praca

Pies

Dalej, co kilka i kilkanaście zagonów, różowiły i błękitniały kaftany kobiet i dziewcząt, iskrzyły się na głowach kwieciste chustki, czerwone i żółte kwiaty; pod jedną ścianą stojącego jeszcze zboża widać było kilka żwawo zwijających się najemnic Domuntówny i ją samą, to żnącą, to góry snopków uwożącą ku domowi, a na przeciwnym krańcu wydrążonego w zbożu zagłębienia, z dala od wszystkich, wlokła się smutnie uboga, samotna para ludzi. Mężczyzna był tam bosy i cały odziany w grube, szarawe płótno; kobieta w ciemnej, starej odzieży starą chustkę miała na głowie. Na ich zagonie stał wóz zaprzężony jednym mizernym konikiem i owinięte w płachty leżało kilkomiesięczne dziecko. Nikt im nie pomagał, nikt nawet z tych, którym obok nich z sierpem lub snopem przechodzić wypadło, z nimi nie rozmawiał. Był to najuboższy z Bohatyrowiczów, mieszkaniec chatki bez komina i ogrodu, stojącej pod dębem, i jego żona-chłopka.

Wszyscy ci ludzie znajdowali się tak blisko siebie nie dlatego, aby zagony, na których pracowali, były jedyną ich własnością, ale dlatego, że własności pojedyncze mieszały się na tej szerokiej równinie w chaos samym tylko właścicielom znany, a dla wszelkiego obcego oka i pojmowania do rozwikłania niepodobny. Żaden z nich gruntu swego nie posiadał w jednej ściśle odgraniczonej całości ani w bezpośrednim z domem swym sąsiedztwie. Rzekłbyś, paciorki do mnóstwa osób należące i na traf w najróżniejsze kierunki rozsypane, a w przeciągu czasu na drobne ułamki rozbite i rozpierchnięte. Każdy z nich wiedział, gdzie szukać swoich ułamków, i od jednego do drugiego przechodził z pługiem, siewbą, kosą i sierpem. W tym miejscu ułamek Jana i Anzelma znajdował się tuż obok tego, na którym pracowała rodzina Fabiana. Dwie tylko żniwiarki znajdowały się na nim: młodzianka, wiotka dziewczyna, której delikatnej twarzy nawet ciężki, całodzienny mozół zacerwieńić nie mógł, okrywając ją tylko słabym rumieńcem i lśniącą wilgocią potu, i tęga, muskularna, prosta jak świeca kobieta na pięćdziesiąt lat wyglądająca. O lat pięćdziesiąt można ją było posadzić tylko z powodu zmarszczek, gęsto jej czoło okrywających i ciemnej skóry, która jej drobne, chudawe rysy okrywała. Ale z ruchów sprężystych i trochę nawet nerwowych, z blasku małych, ciemnych oczu, z białości zębów, co chwilę ukazujących się zza przywiedłych warg, wydawała się prawie zupełnie młoda. Żęła prędko, z zapalem, wybornie, zabierając na raz wielkie garście żyta i tnąc je równo, nisko przy ziemi. Jednak ile razy prostowała się i nieco w tył odgięta ściętą garść do innych, już na ziemi leżących przyłączała, tyle razy do kogoś zagadywała, z żartem zawsze, ze śmiechem, z filuternymi spojrzeniami i zamaszystymi ruchami ramion, od których sierp jej rzucał w powietrze błyskawice wesołe i częste. W białej koszuli, osłoniętej nieco skrzyżowaną na piersi chustką, w krótkiej spódnicy w czerwone i granatowe pasy, w małym czepku z białego perkalu na siwiejących włosach, wydawała się najweselszą, najżwawszą i najrozmowniejszą ze wszystkich żniwiarek, choć była pomiędzy nimi najstarsza. Kobiety i dziewczęta odcinały się jej, czasem z chwilowym gniewem, gdy jednej dogadywała, że żnie powoli, i na wyścigi z sobą wyzywała; drugiej kawalerem jakimś, który ożenił się już, w oczy kłuć; trzeciej o weselu zaraz po żniwach nastąpić mającym przypominała. Chłopcy śmieli się z niej, o zdrowie trzeciego jej męża i o to, wiele jeszcze razy za męża wyjść myśli, zapytywali. Teraz przed kilku minutami przerwała znowu pracę swoją i stojąc przed kimś na snopach siedzącym głośno prawiała:

— Bo to, widzi panienska, po czym poznać głupiego? Po śmiechu jego. Kpinkują sobie ze mnie, że trzeciego męża mam. Owszem! Ja temu nie winna, że mnie Pan Bóg towarzyszyków życia odbierał, a takie już moje przyrodzenie, że nijak bez kochania i bez przyjaciela dożgonnego żyć nie mogę. Kiedy Jerzego, ojca Janka, ten przypadek spotkał...

Tu ręką w stronę zaniemeńskiego lasu rzuciła.

— Niezupełnie we dwa lata za Jaśmonta wyszłam. Ludzie różnie gadali. Pusta baba, tak prędko towarzysza swego zapomniała! Owszem. Bo to wy jedno wiecie, a ja drugie. Co umarłym z tego, kiedy żyjącym w zasępie<sup>93</sup> życie ubiega? Niech tamtemu Bóg najwyższy królestwo niebieskie dać raczy, a my sobie z tym wieczne kochanie przed ołtarzem zaprzysięgniem. Jedno zachodzi, drugie wschodzi, a ze smętku, jak z kozła, ani wełny, ani mleka!

Zaśmiała się tak, że aż głowę na bok odkręcała, i wnet prawiała dalej:

<sup>93</sup>zasęp — smutek. [przypis edytorski]



— Panienska śmieje się. Owszem. A jak Boga Kocham, ja prawdę mówię. Bo to u mnie dwie rzeczy największy walor mają: Kochanie i dozgonny przyjaciel. Takie już przyrodzenie mam. Jaśmonta, Antolki ojca, w dziesięć lat po ślubie odebrał mi Pan Bóg najwyższy. Tak samo jak po tamtym, Jerzym, desperowałam<sup>94</sup>, ale kiedy rok ubiegł, zdarzył mi się Starzyński ze Starzyn. Ludziom znów na języki padłam. Owszem. Wy wiecie jedno, a ja drugie. Noc po dniu następuje, a dzień po nocy. Śmiech od płaczu smaczniejszy. Bieda mnie tylko była z dzieckiem. Ze Starzyńskim my jedne do drugiego chylili się jak dwa gołębie, ale wdowcem on był, gromadę wielką w chacie miał, z przyczyny córki mnie nie chciał brać. „Bo to gdzie ja tam będę — powiada — do siedmiorga swoich jeszcze jedno cudze przyprowadzał!” Boże najwyższy! Nie już mnie tak bez Kochania i przyjaciela dozgonnego na całe życie przepadać! Wzięłam Antolkę i do Janka ją przywiodłam: „Masz tobie, synku, siostrę. Hoduj ty ją, a ona tobie do pomocy stanie”. Jemu było wtedy lat dwadzieścia, a jej sześć. Anzelm był strasznie gniewny. „Dla jakiej to przyczyny — mówi — sama dziecka swego hodować<sup>95</sup> nie możesz? Zachciało się babie trzeci korowaj<sup>96</sup> piec! Chłopca i bez tego brud zjada, że go dopatrzeć nie ma komu!” Ale Janek jak przystał do niego: „Wezmę, stryjku, siostrę, i wezmę. Co ma u ojczyzna w poniewierce ostawać, niech lepiej u nas rośnie, a jak troszkę podrośnie, to i nas dopatrywać będzie”. Antolka! Może nieprawda, że on tak mówił? Ot, jaki on! Bo to drugi odepchnąłby, a on przygarnął, na rękach ją nosił, karmił, odziewał i do mnie jeszcze przez okazję raz wraz nakazywał: „Mamie powiedzcie, że Antolka zdrowa i dobrze sobie rośnie!” Ot, jaki on! Antolka, może nieprawdę ja mówię?

Do błyszczących, wesołych jej oczu nabiegły łzy. Rozczuliła się tak, że aż usta do płaczu skrzywiła i fartuchem całą twarz otarła. Wysmukła Antolka jak wiotka trzcina odgięła się znad ziemi i obie ręce, z których w jednej sierp błyszczał, ruchem zmęczenia nad głowę wyciągając odpowiedziała:

— Lepszego jak on to już prawie na całym świecie nie ma. Żadnego ja smętku przy nim nie doznała. *Horujem*<sup>97</sup> razem i hulamy razem, a częściej on co ciężkiego zrobi jak ja...

Zgięła się znowu ku ziemi i stara, gadatliwa kobieta także ku żytu zwrócić się miała, gdy żona Fabiana, żać nie przestając, jęklwym i śpiewającym głosem swym przemówiła:

— A koniec taki, że pani Starzyńska masz dwoje dzieci i żadnego sama nie wychodowałaś...

W mgnieniu oka spracowana i sucha ręka Starzyńskiej oparła się na jej kłębie. Cieńszym trochę niż wprzód głosem odkrzyknęła:

— Nie wychodowała, a najśliczniejsze ze wszystkich mam... Owszem!

I zaniósł się od śmiechu.

— Jak ku-kaw-ka<sup>98</sup>! — z ironią zaśpiewała znowu Fabianowa.

W tej chwili wóz ciągnięty przez kasztanka i gniadą cicho wtoczył się na ściernisko.

— O Jezu! — zanim jeszcze konie stanęły, z woza zeskakując krzyknął Jan i paru skokami znalazł się przy kobiecie na snopach siedzącej, którą usuwając się odsłoniła przed nim matka, a której suknia słomianej barwy złocisto na słońcu jaśniała. Więcej niż wesołością, bo serdeczną radością jaśniała twarz Justyny, kiedy z niskiego siedzenia swego oczy na przybyłego wzniosła i żywym, pośpiesznym ruchem rękę ku niemu na powitanie wyciągnęła. On tę rękę w obie dłonie pochwycił i nisko schylony, na chwilę do niej ustami przylgnął.

— Troszkę spodziewałem się, że pani dziś do nas przyjdzie, bo mówiła, że chce na naszą robotę z bliskości popatrzeć; ale wszystko jedno, jak zobaczyłem, że pani tu siedzi, jakby mnie słońce przed oczami zaświeciło...

— Przecież dziś słońce nie tylko świeci, ale aż prawie oślepią — z łuną rumieńca przepływającą po czole jej i policzkach zaśmiała się Justyna.

Można by myśleć, że twarz Jana od jej śmiechu sposepniała.

— Pani żartuje — opuszczając ręce rzekł ciszej.

<sup>94</sup>*desperować* — rozpaczać. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*hodować* — wychowywać. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>*korowaj* — białoruska nazwa placka weselnego. [przypis redakcyjny]

<sup>97</sup>*horować* (gwar.) — harować, ciężko pracować. [przypis redakcyjny]

<sup>98</sup>*kukawka* (gwar.) — kukulka. [przypis redakcyjny]

— Bo to on prawdę mówi — wmieszała się stara podnosząc się znów znad zboża i obok syna stając. — Tydzień już dziś, jak do niego przyszedłam, i ciągle patrzę, jaki to zasęp na niego padł. Taki pochmurny zrobił się, że podczas przez całą godzinę gęby ani razu nie otworzy. Wszystko robi, co trzeba, owszem, ale smętnie... ani pożartuje, ani zaśpiewa, a jak spytam się: „Co tobie takiego, Janku?” — to mówi: „Bo to mnie, mamó, ciemno robi się w oczach...”

— Co tam o tym gadać, mamó! — z niezadowolaniem przerwał Jan — chodźmy lepiej do roboty.

Łokciem czyniąc ruch taki, jakby odtrącić go chciała, z nogi na nogę przestępując, głową kręcąc, filuternie oczami błyskając, tajemniczo szeptać zaczęła:

— Owszem. Ja wiem, skąd ten zasęp na niego przyszedł i dla jakiej przyczyny ciemno mu robi się przed oczami. Bo to trzydzieści lat ma i bez kochania żyje. Żenić się czas...

— Co tam o takich rzeczach gadać! — z żywością tym razem i gniewnym błyskiem oczu przerwał Jan.

— Owszem, czemu nie gadać? — żywo poruszając rękami i głową zagadała stara. — Bo to, widzi panienska, z Jadwiśką Domuntówną tak jak prawie od dzieciństwa lubili się... stryj tego tylko czeka, żeby pobłogosławić... i jej dziadunio pobłogosławi...

— Chodźmy do roboty, mamó! — wykrzyknął prawie chłopak.

— Owszem, dziewczyna jak raz dla niego para... pracowita, poczciwa, śliczna... i aktorka... Bo to całe gospodarstwo na nią po dziaduniu spadnie, a mówią, że może i z pięć tysięcy rubli warte...

Daremnie tym razem odtrącała go łokciem: silnie, żelazną niby obręczą syn ramię jej ścisnęła.

— Bo to — próbowała mówić jeszcze — był taki czas, że pomiędzy nimi zaczynało się już kochanie...

Ale teraz twarz Jana od brzegu włosów aż po ogorzałą szyję krwią nabiegła i z turkusowych jego oczu sypały się błyskawice.

— Niech mama lepiej żać idzie, co głupstwa ma wygadywać! — krzyknął i ku na wpół zżętemu zagonowi ją pociągnął, sam także ku wozowi odchodząc.

Wesoła baba wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Bo to wstydlivy zrobił się! O kochaniu i żenieniu się ani przypomnieć nie pozwala. Wszystko jedno, w czasie ożenisz się!

— A jak nie ożenię się?... Otóż pewnie nigdy nie ożenię się! — czapkę na ściernisko rzucając i snop z ziemi podnosząc zawołał. — Jeszcze tego nie było, żeby mnie kto do czego przymusił!

Hardo głowę podnosił, usta wydał i gdy silnymi, namiętymi ruchami snopy na wóz rzucać zaczął, łatwo było uwierzyć w to, że dumę i wolę swą miał. Nietrudno byłoby także wyczytać z jego twarzy ten zasęp i tę smętność, o których opowiadała jego matka. Pod okrywającą je czerwoną ogorzałością policzki jego schudły i wydłużyły się nieco, a gdy uspokojonymi już i prawie rytmicznymi ruchami snopy na wóz rzucając zamyslił się, na czoło jego znacznie bledsze od policzków wybiegła gruba, poprzeczna zmarszczka.

Po chwilowych rozmowach znowu na łanie zapanowała praca milcząca i gorliwa. Lekkie przedwieczorne wiatry muskać poczęły wierzchołki niezżętych jeszcze zbóż i urywanymi akordami szmeru wtórować temu suchemu, monotonnemu, nieustannemu szelestowi, jaki wydawały łamiące się pod sierpami kłosa i z ziemi podnoszone snopy. W tym szeleście i w tych szmerach postacię żniwiarek, różnobarwne, milczące, wysokie i niskie, grube i wysmukłe, prostowały się co chwilę i w tył nieco odgięte podnosiły w rękach garście długich, kłosistych łodyg, które na rozciągniętym powróśle<sup>99</sup> złożony, znowu ku ziemi przypadały. Czasem ta lub owa szybkim ruchem rękaw odzieży po spotniałym czole przesunęła lub odetchnęła głośno. Do stóp im wraz z kłosami upadały różowe kłaskole<sup>100</sup>, pąsowe maki i szafirowe bławatki; za nimi niskie, liliowe grochy, drobne rumianki, kosmate kotki zostawały nietknięte wśród ostrych kolców ścierni; spod ich rąk niekiedy wznosił się i w powietrzu igrał biały puch przekwitłego brodawnika<sup>101</sup>; przed nimi, o kilka

<sup>99</sup>powróśło — pasło słomy, służące do przewiązywania snopków zboża. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>kłaskol — gatunek goździka. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>brodawnik — dmuchawiec. [przypis edytorski]

czasem kroków od pochylonych ich głów, zrywał się ptak spłoszony i przelęknionym lotem przerznawszy powietrze, nie wiedzieć gdzie, może w gęstwinie zbóż jeszcze stojących przepadał.

Na kilku snopach w jednym miejscu złożonych Justyna siedziała w zamyślanej postawie, z twarzą na dłoń spuszczoną. Uważnie, ciekawie przypatrywała się ruchom pracującego przed nią mrowiska ludzi. Ona także od dnia tego, w którym po raz pierwszy weszła do zagrody Anzelma i Jana, od wieczoru tego, w którym wraz z nimi wróciwszy z parowu Jana i Cecylii, pod dachem ich parę wieczornych godzin spędziła, odbywała podróż po kraju nieznanym. Przedtem w bezpośrednim jego sąsiedztwie żyjąc, wiedziała o nim to tylko, że istnieje, i wiedziała to w sposób obojętny, niewyraźny. Teraz przenikała w coraz dalsze jego głębie. Jak imion i dziejów wielu z tych roślin dzikich i pachnących, po które zawsze sięgała chciwie okiem i ręką, tak imion i dziejów wielu z tych ludzi już się nauczyła. Ta podróż po kraju natury, ku któremu zawsze pociąg czuła, i ludzi, których dotąd nie знаła, budziła jej ciekawość i zajmowała umysł. Jak bujne kwiaty, rzeźwą rosą operlone i nieskończoną ilością barw jaśniejące, te poznawane z bliska widoki, prace, dzieje wpadały do tej wielkiej, ciemnej pustki, którą od dawna widywała ona, ilekroć przymknawszy oczy patrzeć usiłowała w siebie i swoje życie. Teraz pełnym, bystrym, na wszystko uważnym okiem patrzyła na to, co działo się przed nią. Czasem napełniało ją wielkie rozradowanie podnoszące się, kto wie skąd? Może z łańców złotych, ze ścierni przetykanej kwiatami, z powietrznych ruchów sprawianych przez skrzydła ptasie i powiewy nadrzecznych wiatrów. Czasem wspaniała, choć prosta malowniczość widoku uderzała w nią falą zachwycenia, w której prostowała ona swą kibić tak, jakby sama, na wzór żniwiarek podnoszących w rękach kłosiste więzie, wnet powstać miała i niecierpliwie czy błagalnie nad głową wyciągnąć puste swe dłonie. Były też chwile, w których nieustający, suchy szelest kłosów wydawał się jej mową ziemi. Nie darmo dawny jej kochanek wspominał o jej dawnych marzeniach i zapalach. Była do nich skłonna i teraz, bo pochylona, z blaskiem w oczach i uśmiechem na wpółotwartych ustach wsłuchując się w szepty ziemi uczyniła ruch taki, jakby zaraz zsunąć się z niskiego siedzenia swego i do jej łona przypaść miała.

Pod rękami coraz gorliwiej pracujących żniwiarek szelest kłosów stawał się coraz głośniejszy, coraz żwawiej rzucane snopy upadając na wozy wydawały głuche, szemrzące stuki... Od ziemi oblanej wonią świeżej słomy i okrytej ścierniskiem wyhaftowanym w drobne kwiaty Justyna podniosła twarz, zbladła nieco, zeszywniała, przez kilka minut postarzała o lat kilka, ze źrenicami przygasłymi, które wilgocią zachodziły. Z dziwnym zmieszaniem, jakby nagle uczuła się w tym miejscu gościem natrętnym, istotą obcą i niepotrzebną, chwastem w kłosa wplątany, uczyniła ruch do powstania. Usiadła jednak znowu i zmieszane, niespokojne spojrzenia rzuciła dokoła siebie. Jedno z tych jej spojrzeń spotkało się ze stojącą w pobliżu, znieruchomiłą postacią Jana. Od kilku minut już robotę swą przerwawszy, u samego woza do połowy snopami napełnionego stojąc, wpatrywał się on w Justynę z takim wytężeniem, że aż głowę podawał naprzód, a na białe czoło wystąpiła mu znowu gruba, poprzeczna fałda. W rękach jego długie widły ukośną linią opuszczały się ku ziemi, badawcza ciekawość znieruchomiła i pogłębiała błękitne jego źrenice. Nagle widły mu z rąk wypadły i namiętym niepokojem zadrgały rysy. W mgnieniu oka znalazł się przy niej, pochylił się, uczynił ruch taki, jakby rękę jej chciał pochwycić, lecz tylko przyciszonym głosem przemówił:

— Co pani takiego? Taka pani raptem zrobiła się smętna? Aż łzy w oczach stanęły... Dla jakiej przyczyny?...

Wyrazy, śpieszne zrazu, prawie gwałtowne, stopniowo miękły mu w ustach, prawie mdląły.

— Może nadmiar śmiały jestem? — dokończył bardzo cicho.

Podniosła na niego oczy napełnione blaskiem i łzami i cicho odpowiedziała:

— Po co ja tu między wami? Wstyd mi! Taki wstyd!... Poszłabym sobie, ale i w domu także nic... nic...

Umilkła, lecz on chciwie jeszcze słuchał chwilę, a potem z tą głęboką bruzdą, która w ostatnich dniach na czole jego zjawiać się zaczęła, wyprostował się i przed nią stanął. Nie wydawał się wcale zdziwiony, tylko w zamyśleniu, ze wzrokiem w ziemię utkwionym końcami palców dotykał czoła. Potem milcząc zrobił parę szerokich kroków, pochylił się

nad matką, szepnął do niej słów kilka, a gdy do Justyny powrócił, sierp trzymał w ręku. Ona podniosła się z niskiego siedzenia swego i przed nim stanęła. Przez kilka sekund patrzali sobie w oczy, jakby wzajem myśli swe odgadnąć usiłowali, potem Jan śmiałym ruchem głowę podniósł i podając Justynie sierp, w którym słońce krzeszło srebrne błyskawice, z cicha wymówił:

— Proszę!

Z pochyloną trochę głową wyciągnęła rękę i z poważnym na ustach uśmiechem polyskujące narzędzie z ręki jego wzięła.

Na całe ściernisko pokryte mrowiskiem istot ludzkich, na cały ten łąn szumiący upadającymi kłosami, rozległ się dźwięczny, donośny, pełną drzeń i uśmiechów radością nabrzmiały głos Jana:

— Mamo! Proszę tutaj! Mamo! Mamo! Proszę!

Żwawa, wesoła kobieta w perkalowym czepku na siwiejących włosach biegła już ku Justynie, rękami machając i językiem trzepiąc:

— Dobrze, panienczko! Dobrze, robaczku! Owszem. Bo to i nie bardzo trudna robota! Kiedy ja stara mogę, to dla jakiejże przyczyny nie mogłaby młoda? Nie świeci, panienczko, garnki lepia... Owszem... proszę tylko nachylić się, popatrzeć, a potem i samej spróbować...

Antolka, Elżusia, dwie inne jeszcze dziewczyny wyprostowały się na zagonach i z uśmiechami, z niedowierzaniem, ale bez zdziwienia, patrzyły na schylającą się ku zbożu pannę, w sukni z takiegoż perkalu, jak ten, z którego uszyte były ich kaftany, ale modnie skrojonej i przybranej, a obcisłością swą rysującej wydatnie kibić wysoką, silną i kształtną. Nagle przysadzista Elżusia zawołała:

— Bardzo słusznie! Panienska żać może tak, jak i my... jeszcze prawie silniejsza od nas... tylko gorset zdjąć trzeba, bo w nim i godziny wytrzymać nie będzie można...

— Bardzo słusznie! — chórem zaśmiało się kilka kobiecych głosów i rzecz dziwna! z kilku par oczu trochę złośliwe i pogardliwe wejrzenia strzeliły na obcisły i wyraźnie rogi gorsetu zdradzający stanik Justyny.

Z ognistym rumieńcem Justyna pochylała się ku ziemi obok matki Jana.

— Jutro niedziela — rzekła z cicha — ale pojutrze przyjdę wcześniej i ubiorę się stosownie, a dziś, tymczasem, proszę mi pozwolić choć trochę... ile będę mogła...

— Owszem, robaczku, dobrze! — zagadła stara — bo to nie słuchaj tego, co te sroki kraczą! Taka sama ty dobra, panienczko, jak i one, tylko w poniedziałek kaftan sobie taki luźnieńki, szerokieńki włożysz i jak zawężmiem się, to we dwie z dziesięć kop użniem Jankowi... Owszem...

Jan teraz znajdował się na wozie, w połowie snopami napelnionym, a że więcej już snopów do zbierania nie było, stojąc na tym kłosisłym, żółtym, sprężystym pod stopami jego uginającym się posłaniu, ze ścierniska zjeżdżał na drogę. W tej samej chwili z drogi na ściernisko wjeżdżała Domuntówna. Przestrzeń paru morgów przedzielała dwoje tych ludzi, których postacie na wozach stojące, jednostajnie wysokie, wyprostowane i silne przypominały ścigających się na arenach klasycznych atletów. Śnieżna białosc jego koszuli na błękitnym tle powietrza odpowiadała gorącej różowości jej kaftana. Jego włosy w słonecznym blasku miały złotawą płowosc zaczynającego dojrzewać żyta; jej bujna roz-targana kosa wydawała się snopem gorąco brunatnej pszenicy. W takim od siebie znajdowali się oddaleniu, że rozmawiać z sobą nie mogli. Jednak dziewczyna w stronę jego wozu, z wolna jeszcze toczącego się po zagonach, patrząc rozpoczęła rozmowę taką, którą prowadzi z sobą od najmłodszych lat swych byli zapewne przywykli, która płynęła górą, nad złotym łąnem i pochylonym nad nim mrowiskiem ludzi, w powietrzu czystym, gorącym, rozchodząc się czystą, rozgłosną nutą pieśni:

O góro! O góro! Zielony lesie!  
O drzewa zielone, liście spadające!  
O serce strwożone, do ciebie pragnące!  
O góro! O góro! Zielony lesie!

Jan Bohatyrowicz, skręcając na drogę brzegiem ścierniska sunącą, męski swój głos połączył ze śpiewem dziewczyny, w której stronę przecież nie patrzył. Jechał powoli i twarz

Kobieta, Praca, Strój

Miłość, Śpiew

obracał ku temu zagonowi, na którym obok białego czepka jego matki pochylała się młoda kobieca głowa, czarnymi warkoczami owinięta. Do niej, dla niej, o niej śpiewał:

Jak drzewo od mrozu pęka lub usycha,  
Tak serce do ciebie śmieje się, to wzdycha,  
O góro! O góro! Zielony lesie!  
Jak kwiatek na słońcu kwitnie lub więdnije,  
Tak serce do ciebie pali się, to mdleje,  
O góro! O góro! Zielony lesie!

Umilkł, a Domuntówna czystym, silnym kobiecym kontraltem sama ciągnęła:

O drzewa zielone, liście spadające,  
O serce strwożone, do ciebie pragnące,  
O góro...

Strwożone może było jej serce, bo głos jej zemdlał i na zatrzymanym wozie stała nieruchoma, na ten sam punkt ładu patrząca, ku któremu Jan z dala jeszcze twarz zwracał i wzrok wyęczał. Z drogi, z daleka już, ale wyraźnie i rozgłośnie znówu na łąn zleciały i po nim płynęły długie, namiętne dźwięki pięknego głosu Jana:

Jak słowik na drzewie zaczyna swe pienie,  
Zasylam do ciebie serdeczne westchnienie,  
O góro! O góro! Zielony lesie!  
O piękna kalino, prześliczna malino,  
Najdroższa z klejnotów ma luba dziewczyno,  
O góro! O góro! Zielony lesie!  
Odchodzę od ciebie, tyś zawsze mi w oczach,  
I w myśli, i w sercu, i we dnie, i w nocy.  
O drzewa zielone, liście spadające,  
O serce strwożone, do ciebie pragnące...  
O góro... o góro...

Wesoła baba, w białym czepku nad Justyną schylona, błyskając oczami gadała:

— Bo to, widzi panienska, on pierwszy śpiewak w okolicy, a ona pierwsza śpiewaczka. I na gitarze dziadunio ją grać nauczył... Zimową porą, jak cała młodzież zejdzie się wieczorem do takiego domu, w którym największa jest świetlica, tańczą sobie, a jak nie tańczą, to Jadwiśka gra na gitarze, a mój Janek śpiewa... Owszem. Niech kochają się robaczki, niech kochają się! Niezadługo pewnie i pobiorą się... bo to słońce pierwej wzejść musi, nim dopiekać pocznie... Tak i kochanie zaczyna się pomaleńku, niby to jest, niby to nie ma, aż dopieczę i do ołtarza doprowadzi! Ha, ha, ha!

W tej chwili Justyna, która pod dyрекcją starej kilkanaście już garści żyta z trudnością i niezręcznie zżęła, ostrzem sierpa drasnęła się w rękę. Może sama przed sobą nie umiałaby zdać jasnej sprawy, dlaczego przy słowach i chichocie matki Jana ostre narzędzie drgnęło w jej silnym i bynajmniej jeszcze niezmęczonym ręku. Draśnięcie było niewielkie i kilka tylko kropel krwi wystąpiło na ogorzałą, lecz delikatną skórę jej ręki; przecież wydało się jej, że ból dolegliwy uczuła, nie w ręku jednak, lecz w piersi. Tak jak tamte wszystkie robiły, wyprostowała się i dużą garść kłosistych łodyg w dłoniach podniosła, aby je za sobą na zagonie złożyć. Ale mimo woli wzniosła ręce wyżej, niż to czyniły tamte, i w tej postawie nieruchoma przez chwilę została. Myślała, że istotnie ta para ludzi młodych, silnych, jak poranek wiosenny świeżych i żadnym, zda się, południowym pyłem życia nie dotkniętych, stworzona była dla siebie. Nadejście południe i piękące kochanie zaprowadzi ich do ołtarza, przed którym staną czyści i szczyrzy, aby potem przez długie lata razem żyć w tym domku pod sapieżanką albo w tamtym pod lipami, który ona jemu bogatym wianem wniesie, razem tę ziemię złotymi plonami okrywać i razem je zbierać, a w zimowe wieczory przy szumie nadniemeńskich wiatrów i bieli śniegiem okrytych rozłogów, przy

blaskach księżycy srebrzących bór odwieczny i brylantami szronów okryte ściany parowu, dźwiękami gitary i dwu swych połączonych głosów napępniać białą świetlicę.

— Bo to panienska skaleczyła się! — zabrzmiał głos gadatliwej baby. — Boże Przenajświętszy! Ale to nic! To z niezwyyczajenia! Ha, ha, ha! Nim panienska za mąż wyjdzie, zagoi się! Ha, ha, ha! Ej! Bo to panienska i sama na paluszek swój nie dmucha, kiedy znowu do roboty bierze się! Owszem! To tak prawie, jak ja. Klepkują<sup>102</sup> ze mnie ludzie, że kochliwa jestem, ale o to mnie bynajmniej! Za toż o lenistwo nigdy na ludzkie języki nie padałam! I w swojej chacie wszystko zrobię, i synkowi na pomoc przybiegnę! Wiele zaś razy sierpem albo nożami do krajania zielska, albo tam czym innym ręce sobie pokroiłam, to by już tego i Bóg Przenajświętszy nie zliczył. A przy kochaniu wszystko dobrze. Tak i panience rączka zagoi się, jak tylko luby pocałuje. A czy jest luby?

— Nie ma — z uśmiechem odpowiedziała Justyna.

— Oj, to źle! Trzeba, żeby był! Ale ja cośś słyszałam, że i był... tylko... niestały! Bo to ludziom gęby nie zatknąć. Gadali! A ja, owszem, dziwowałam się temu panu, że takiej ślicznej panienski nie wziął... i Jankowi za przykład stawiałam: „Nie bądź ty taki, synku! Jadwiśki swojej nie porzucaj!” A on jak ofuknie: „Ja — mówi — nic Jadwiśce nie przyrzekał, a ten pan tej pannie przyrzekał i nie dotrzymał. A kiedy tak, to on jest prawie lajdak i do tego jeszcze głupi, bez oczów, bo panna śliczna i taka po nim teskliwa<sup>103</sup>, że mnie, zdaje się, lój roztopiony do serca kapie, kiedy ją gdzie obaczę!” Ot, jaki on! do mnie przyrodził się... czuły i taki romansowy...

Ciemną, mnóstwem istotnie śladów skaleczeń okrytą ręką oczy sobie otarła, bo zawsze płakała albo przynajmniej na płacz się jej zbierało, ilekroć o rzeczach czułych i romansowych mówiła.

W tej chwili na brzegu ścierniska rozległo się pozdrowienie, męskim głosem wymówione:

— Dopomóż Boże!

— Dziękujemy! — odpowiedziało kilka męskich i kobiecych głosów, a matka Jana wyprostowała się i rękę na kłębie opierając zaśmiała się do przybyłego całym rzędem swoich białych zębów.

— Pan Fabian widać do hrabiów zapisał się, kiedy w taki roboczy czas spaceruje sobie. Owszem. Bo to wygodą w chacie wielką gromadę mieć. Żonka i dzieci wszystko zrobią, a ociec muchy po drogach łapie, ha, ha, ha!

Na brzegu ścierniska rumianością rydza jaśniała twarz Fabiana, szorstkim wąsem zjeżona i parą małych, bystrych oczu połyskująca.

— Ot, i poruszyła baba rozumem jak cielę ogonem! — z wolna postępując naprzód odrzyknął. — U pani Starzyńskiej zawsze gęba wiatrem nabita... Kiedyż to ja od pracy ubiegałem? A że dziś przy robocie nie stoję, to z przyczyny takich interesów, których taka głowa, jak pani Starzyńskiej, pojąć nawet nie zdoła. Teraz zaś idę do moich snopków, co pod laskiem na mnie czekają, i tu zaszedłem dla obaczenia, wiele mego żyta na przyszły tydzień pozostanie.

— Nic, tatku, nie pozostanie! Wszyściutko dziś zeżniem! — zawołała Elżusia.

— Taki koniec, że bez jegomościa obeszło się i jednego naszego kłosa na tym kawałku dziś nie pozostanie! — zaśpiewała matka rodziny.

Rodzina ta, z dwu kobiet i czterech mężczyzn złożona, już i przedtem gorliwie pracowała, ale wraz z nadejściem zwierchnika swego gorliwość tę zdwoiła. Nawet wielki, pleczysty Julek, który przedtem stanął był na zagonie jak słup nieruchomy i sennym, tęskliwym wzrokiem w stronę Niemna patrzył, teraz z podniesionymi ramionami, głośno sapiąc i bardzo pośpiesznie widłami snopy z ziemi podnosił i układającemu je na wozie bratu podawał. Fabian coraz dalej po ściernisku powoli i z powagą postępował, a na widok kilkunastu swych zagonów zupełnie już ze zboża obranych z widocznym zadowoleniem kępką sterczących wąsów poruszał. Puszył się zaś coraz więcej, szerokie, czerwone ręce w kieszeniach czarnych spodni zatopił i coraz dumniej po tej części państwa swego kroczył, na której tak pomyślnie gospodarowała jego rodzina. Wtem stanął, rękę z kieszeni

Kobieta, Mężczyzna, Miłość

Ojciec, Rodzina

Konflikt, Własność

<sup>102</sup>kiepkować — żartować. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>teskliwa (starop.) — tęskniąca. [przypis redakcyjny]

wyjął i czyniąc z niej sobie nad oczami daszek, w stronę dwojga ludzi samotnie u brzegu ścierniska pracujących patrzył.

— Hej! Ładyś! — na całe ściernisko rozległ się krzyk jego popędliwy i głośny — a czyje to żyto żonka twoja sierpem zaczepia? Niby to na swoim zagonie żnie, a obok rosnące skubie! Bóg mnie ubij na ciele i duszy, kiedy te chamy ćwierci mego prawowitego zagonu nie spustoszyli!

Krew zalała mu czoło, policzki i nawet białka oczu, które niepohamowaną złością zagorzały. Na widok szkody dobru jego wyrządzanej powaga jego i pycha zniknęły w mgnieniu oka i tak lekki, jakby miał lat dwadzieścia, z pięściami tak zaciśniętymi, jakby na śmiertelnego wroga godził, biegł, leciał prawie, zagony przeskakując i wysoko za sobą podrzucając ciężko obute nogi. Żona i córka jego żęły dalej, ale dwaj dorośli i dwaj niedorośli synowie, przerywając robotę swą, patrzali za nim z widocznym przestachem w oczach, któremu jeden z nich tylko, zapalczywy i także do gniewu skłonny Adam, nie uległ. On także na widok szkody zbożu ojcowskiemu wyrządzonej gniewem zapłonął i na wozie pełnym snopów stojąc, z brwiami ściągniętymi i oczami błyskającymi, cały podał się naprzód, do skoku i rzucenia się ojcu z pomocą gotowy. W połowie drogi Fabian stanął, ku synom się zwrócił i obu rękami machnąwszy, z całej piersi jeden tylko wyraz im rzucił:

— Gomuły<sup>104</sup>!

Dwa zagony jeszcze przeskoczywszy, znowu obejrzał się i krzyknął:

— Harbuzy<sup>105</sup>!

Znowu poskoczył naprzód i raz jeszcze krwistoczerwoną twarz swą odwracając wrzasnął:

— Z dopustu bożego durnie!

Adam z wozu skoczył; niedorosłe chłopcy, z których jeden lat piętnaście, drugi siedemnaście liczyć mógł, sierpy na ziemię rzucili i wszyscy trzej wielkim biegiem puścili się za ojcem. Czas też był, aby z pomocą mu pośpieszyli, bo młodszy o lat kilkanaście, barczysty Ładyś i żona jego, wysoka, muskularna, z wielkimi rękami, choć z wychudłą twarzą kobieta, z krzykiem też, z pięściami i widłami na spotkanie napastnika biegli. Adam z wozu zeskakując widły z rąk Julka pochwycił. Dwie minuty zaledwie od rozpoczęcia się sporu minęło, gdy na ściernisku, tuż przy zagonie Fabiana, który stał się kością niezgody i którego brzeg istotnie przez sierp Ładysiowej żony w dziwne zęby i wykąsy poszczerbionym został, powstał kłęb zwikłanych z sobą ciał ludzkich, strasznymi krzykami buchający a ramionami i widłami na kształt miotanych przez wichher skrzydeł młyńskich rozmachany. Żniwiarki z sierpami w opuszczonych rękach na zagonach stanęły i w stronę bójkę zwróciły twarze z przelęknionymi oczami i porozwieranymi ustami. Widowiska takie nieczęsto zdarzać im się musiały, skoro czyniły na nich silne wrażenie. Zdarzały się jednak; bo i teraz niektóre szeptały pomiędzy sobą, że może Fabian Ładysia tak zbije, jak dwa lata temu zbił Klemensa, który mu łączkę spasał<sup>106</sup>, albo sam okaleczony zostanie tak, jak mu się to zdarzyło w wypadku jakimś, w którym innemu sąsiadowi swemu przez pomstę za jakąś ubliżę<sup>107</sup> drogę zaołał.

— Bo to — zagadła matka Jana — on i sam krzywdy ludziom robić umie... Te półko Jankowe był już sobie przywłaszczył, kiedy Janek był mały, a Anzelm chory, aż go, owszem, procesować musieli...

— Pani Starzyńska bardzo już wszystko pamiętająca — zajęczała żona Fabiana, która tak drżała, że aż zęby jej głośno uderzały o siebie. — A taki koniec, że ten Ładyś, złodziej, na wszelki kłosek, na wszelką trawinkę cudzą przymiera z chciwości.

— Bardzo słusznie! Z chamką ożenił się i sam schamał, a teraz ojca jeszcze skałeczy! — popędliwie krzyknęła Elżusia. — Julek! — krzyczała dalej rozpaczliwie, oglądając się na wszystkie strony. — Julek! Biegaj ojcu pomagać!

I zaraz czerwone ręce załamała.

— Bardzo słusznie! — jęknęła. — Uciekl.

<sup>104</sup>gomuły — tu: niezdary. [przypis redakcyjny]

<sup>105</sup>harbuzy (gwar.) — głupcy (*Słownik gwar* Jana Karłowicza cytuje tu Orzeszkową jako źródło). [przypis redakcyjny]

<sup>106</sup>spasać — zużyć na paszę. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>ubliżę — obelga. [przypis edytorski]

— Owszem, bo to na Niemen drapnął! Ha, ha, ha! — roześmiała się Starzyńska.

Istotnie, widać było z dala ogromnego, rudego chłopca biegnącego co sił przez ogrody i podwórka okolicy ku rzece. Z głową w tył odrzuconą, z miotającymi się w obie strony ramionami, przeskakiwał niskie płotki i pędem strzały obiegał domy, a za nim biegł też, pod płotkami prześlizgiwał się, zagony ogrodów przeskakiwał radośnie i rozgłośnie skomlący Sargas.

Ale wrzawa kłótni przyciągnęła kilku ludzi z pobliskich łanów; Jan także, który na ściernisko pieszo już wrócił, z gniewnie ściągniętymi brwiami biegł ku walczącym. Po cichym przed chwilą polu rozlegały się krzyki trwogi i oburzenia.

— Pozabijają się! Wstyd! Obrza boska! Biją się jak chamy! Fabian, upamiętaj się! Ładyś, rzuć widły!

W kilka minut walczący rozbrojeni i rozłączeni zostali; napastnicy sapiąc i jeszcze krzycząc na swe zagony odchodzili; napastowani, z głośnym płaczem kobiety i dziecka, zjeżdżali ze ścierniska na swym mizernym, jednokonnym wozie, na którym siedział Ładyś w podartym nieco odzieniu i ze śladami uderzeń na twarzy. Rozjemcy pośpiesznie do pracy wracali. Jan oddając Adamowi widły, które mu z rąk był wydarł, ocierał pot z twarzy, okrytej wyrazem goryczy i pogardy.

— Oj, wy, wy, złośniki, drapieźniki, wstydu w oczach i Boga w sercu nie mający! — głośno i z gniewem do Fabiana i synów jego mówił. — Czy wy psu oczy sprzedali, żeby takie rozbójnictwa i awantury wyrabiać? I za co? Dla jakiej przyczyny? Za garść żyta...

— Nie garść, ale pół zagona! — krzyknął Fabian — a ty w cudze garnki nie zaglądasz, żeby czasem na twojej głowie nie pękły! Ot, z dopustu bożego pośrednik i jednacz jaki!

Zaperzony był jeszcze, na czole miał czerwoną szramę, około nasrożonej kępki włosów siną plamę; jednak ze zmieszaniem na twarzy coś około wozu swego poprawiał i oczu nie podnosząc, coraz ciszej mruczał:

— Kruk z rodu złodziej! Bodaj go marnie zabito, chama tego! Bodaj on na psa zszedł!

Adam na wóz wskakując, jak piwonia czerwony, krzyczał:

— Kto hrabia, dla tego pół zagona nic nie znaczy, ale ubogiemu i prosiątko drogie! Jan arystokrat, to może swoje darowywać, ale my biedne mrówki, które swój gniew mają, gdy krzywdy ponoszą!...

Jan parsknął szczerem, głośnym śmiechem.

— Oj, Adaś, Adaś! — wśród śmiechu tego wołał — chyba ty na morzu rozum swój zostawiłeś, kiedy takie głupstwa gadasz! Jakież ja arystokrat? Ja tylko to wiem, że nijaki porządny gospodarz nie zubożeje, kiedy mu biedny człowiek jaką tam garść zboża żeźnie albo trawinę spasię, i materia do zwady, a osobliwie do takiego rozbójnictwa z tego wynikać nie powinna. Ale twój ojciec na wszelką pylinkę<sup>108</sup> ziemi i na wszelkie ziarneczko mrze z upragnienia, a ty znów w tym roku sępa ludziom pokazujesz ze strachu, że cię w żołdaty zaraz wezmą<sup>109</sup>. W cudze garnki zaglądać nie lubię, ale to wam powiedzieć musiałem. Bić się z wami ani z nikim, jak Bóg jest na niebie, nie będę, ale językiem nie poruszyć, kiedy takie haniebne postęпки widzę, to już nijak nie mogę.

Głośno z gniewu i oburzenia sapnął, ręką machnął i wyzywającym ruchem czapkę na głowie przesunąwszy, na swoje zagony wrócił.

Nic już prawie na tych zagonach do robienia nie pozostawało; trochę stojących jeszcze na nich kłosów za krótki kwadrans upaść miało pod sierpami żniwiarek. Starzyńska mówiła o pszenicy, której zbieranie w poniedziałek zaczynać trzeba, bo tak już dojrzała, że wnet wysypywać się zacznie.

— Bo to panienska — gadała dalej — pewno już do nas drugi raz nie przyjdzie, takie grubiaństwo dziś obaczywszy. Nadmiar panienska przelękla się i już nawet uciekać chciała... ha, ha, ha!

Istotnie, hałaśliwy spór w polu wybuchający strwożył był Justynę tak bardzo, że sierp z ręki upuściła. Oprócz trwogi doznała może jeszcze i innych przykrych uczuć. Niesmak odmalował się był na jej pąsowych ustach, brwi ściągnęła i zdawać się mogło, że wzgardliwie na ten klóćący się i do bójki zrywający się motłoch ramionami wzruszywszy, spiesznie

<sup>108</sup>pylinka — pyłek [przypis edytorski]

<sup>109</sup>żołdaty — pogardliwie o żołnierzu rosyjskim; wziąć kogoś w żołdaty: wziąć kogoś do wojska. [przypis edytorski]



i zaraz odejdzie. Ale było to tylko mgnienie oka, po którym coś w sobie widocznie zwyciężała i nad czymś myślała. Z chciwą ciekawością patrzyła na Jana, gdy usiłował rozbierać walczących, i słuchała gniewnych jego wyrzutów, Fabianowi i synom jego czynionych. Teraz zupełnie spokojna, z twarzą od ciągłego pochylania się rozognioną, złożyła na ziemi garść użętego zboża i prostując się odpowiedziała:

— Alboż to tutaj tylko zdarzają się rzeczy niedobre i smutne? Wszędzie są takie, i daleko jeszcze gorsze, a jedyna różnica — w formie!

W słowach tych wypowiedziała myśl, która przed kwadransiem zwyciężyła w niej przestrach i niesmak i od ucieczki stąd ją powstrzymała. Wypowiedziała ją po prostu, łagodnie, z lekkim wzruszeniem ramion głębokie przekonanie objawiającym.

— Z daleka patrząc — z mimowolnym, na Korczyn spojrzeniem dodała — można wyobrazić sobie, że tam, wyżej, nic złego ani brzydkiego nie ma, ale z bliska... jeżeli nie jedno, to drugie, i może jeszcze gorsze... jedyna różnica w formie!

Starzyńska w grube i pokaleczone, ale kształtne, suche ręce klasnęła i zawołała:

— Bo to panienka prawdę mówi. Owszem. Wszędzie znajdują się złe ludzie... tylko jedni inaczej, a drudzy inaczej złość swoją okazują... A Bóg najwyższy na jednym polu i barana, i kozła cierpi...

— Jaki ja kontenty<sup>110</sup>, jaki ja kontenty, że pani tak sobie pomyślała — zabrzmiał obok Justyny głos Jana — a to już mnie do głowy przychodziło, że pani Bóg wie za kogo nas poczyta, może za rozbójników jakich...

Promieniał cały, śmiał się i nie wiedzieć czemu, pochyliwszy się nagle, kilka kwiatów ze ścierniska zerwał. Nie myślał o nich wcale, ale chciał ukryć płomień, które mu czoło, policzki, uszy i aż ogorzała szyję opływały. Z tym jeszcze powoli spływającym pożarem krwi i ze szczególnie przy nim odbijającym zamyśleniem w oczach powtórzył słowa Justyny:

— Jedyna różnica w formie... czyli że wszelakie charaktery wszelako bywają objawiane: u jednych pięknie, u drugich brzydko... ale to jest forma, czyli powierzchowność i znikomość, a prawdziwy walor człowieka w tym, co on we środku ma...

Zrozumieli myśl Justyny, wybornie ją zrozumieli oboje i syn, i matka. Antolka wpół gołębie, a wpół dziewicze swe oczy z ciekawością niezmierną i ze słodyczą głębokiego lubowania się ku Justynie wzniosła.

— Żeby to Justynka w poniedziałek bez gorsetu przyszła, tobyśmy może i cały dzień razem żęły... — szepnęła.

Przed dwoma już dniami zawarły pomiędzy sobą umowę, że wzajem po imieniu nazywać się będą.

— Bo to i robotnica tobie, Janku, przybyła! Facecja, dalbóg, facecja! Ha, ha, ha!

Głośnym, filuternym śmiechem, na wsze strony oczami błyskając, zaniósła się Starzyńska, a potem nogą o ziemię uderzając i szeroko ramionami rozmachując zawołała:

— A teraz, owszem, do roboty, dziatki! Bo to jeszcze jaki kwadransik i calutkie te półko Jankowi ogolim! Żwawo, dziatki, żwawo! A i ty, Janek, za ten sierp chwycić się możesz, który Alżusia tam na zagonie rzuciwszy, sama za ojcem pobiegnęła! To nic, że takim wielkim mężczyzną wyrosłeś, swoim babom dopomóc nie wstydno! Żwawo, dziatki!

Wyrazem dziatki i nową robotnicę swą ogarniała. Żwawo wszyscy czworo rzucili się ku zbożu, żwawo i milcząc żęli; tylko raz Antolka zachichotała z mimowolnych stękań, które niekiedy wydzierały się z piersi Justyny. Justyna zaśmiała się tak głośno, jak nie śmiała się nigdy, i zaledwie oddychać już mogąc upewniać zaczęła, że wcale a wcale zmęczona się nie czuje, a Jan, z ogromną garścią zboża prostując się w całej swej wysokości, dziwnie w tej chwili poważnym i zamyślonym ruchem odgarniał z czoła opadające na nie włosy i w górę, wysoko, ku samym obłokom patrzył oczami napelnionymi srebrzystym światłem.

Wtem tuż za nimi rozległ się gwar kilkunastu grubych głosów, z którego wyróżnił się głos jeden, młodzieńczy, dźwięczny i wesoły, ze śmiechem i klaskaniem rąk wołający:

— Brawo, Justynko, brawo! Boże dopomóż robotnicy nowej! Jak się masz, Janku! Jak się ma pani Starzyńska! Brawo, Justynko, brawo!

<sup>110</sup>kontenty — zadowolony. [przypis edytorski]

Szczupłym, lecz giętkim ramieniem znad ziemi podniesiona Justyna zobaczyła młodego krewnego swego, Witolda, który z głośnie, dziecinną prawie wesołością w śmiechu, w oczach i na promieniejącym czole kilka razy ją po zagonie okręcił.

— Dużoś nażęła? Długoś żęła? Czy naprawdę żąc umiesz? Przecież choć raz nie brząkasz na fortepianie i nie tulasz się po domu jak Marek po piekle. Bo przecież na świecie każdemu coś robić trzeba! Prawda, Janku? Pamiętasz, Janku, jakieś mnie niegdyś z Niemna wyłowił, kiedym jeszcze malcem będąc pod sekretem przed Julkiem wybrał się na pływaniu? Julek to pływać mnie uczył! A panna Antonina czy mnie nie poznaje? Przecież dwa lata temu, i przedtem jeszcze, ile razy zbieraliśmy razem grzyby i poziomki! Ale z ciebie, Justynko, zuch! Znudziłaś się klepaniem po klawiszach i romansowymi książkami i żąc poszłaś — brawo!

Śmiejąc się i w różne strony zwracając ścisnął ręce Starzyńskiej, Antolki, Jana, który przyjaźnie i poufale śmiał się także, przypominając sobie, jak o lat blisko dziesięć młodszego od siebie Witoldka raz z wody wyciągnął.

— Czemu Witold nigdy do nas nie zajdzie? — z wyrzutem zapytał. — Do Fabianów ciągle chodzi i do Walentych, nawet u Ładysiów raz był, a o nas zapomniał.

— A kiedy twój stryj podobno chory i nie lubi widywać się z nikim! Ale zajdę, dziś jeszcze zajdę. Ja dziś na polu prawie cały dzień przesiedziałem, tam pod laskiem, i tak nagadałem się z ludźmi, że aż mnie język piecze...

Tu, jak swawolne dziecko, język z ust wysunął i wnet poskoczył za gromadą z kilkunastu mężczyzn złożoną, która minęła już ściernisko Jana i z gwarem grubych głosów postępowała drogą wzdłuż okolicy sunącą nieszerokim szlakiem.

Wieczór zresztą nastawał. Za okolicą i rzeką słońce połową ognistej tarczy iskrzyło się nad borem. Ostatnimi promieniami jego przeniknięty, kołami wozów i licznymi stopami ludzi podniesiony, złoty tuman pyłu owinął znowu długi szereg domostw i ogrodów, potężne grupy drzew rozłożystych, splątana sieć płotków i ścieżek. Białe pasy drogi i wszystkie ścieżki, podwórka, wąskie przejścia pomiędzy ścianami świrnow i stodół napępowały się powracającym do domów mrowiem ludzi i zwierząt. W powodzi zieleni i tumanie pozłoczonego pyłu pojedynczo i gromadnie przesuwały się, krzyżowały się z sobą, tu ukazywały, tam znikwały barwiste kobiece ubrania, głowy w czapkach, chustkach i warkoczach, twarze zmarszczkami pokryte, mizerne, smutne lub rumieńcami kwitnące i pomimo przebytego dnia ciężkiej pracy w wesołych uśmiechach ukazujące perłowe rzędy zębów, ale wszystkie ciemną brunatnością ogorzeliżny obleczone i wszystkie lśniące od potu, zaledwie poczynającego wysychać na daleko bielszych niż policzki czołach. Powietrze huczało od gwaru ich głosów, od ryku krów, meczenia owiec, turkotu kół i szczekania psów. Słychać było głuche postękiwania kobiet usiłujących prostować zbolale plecy pod odzieżą, na której ciemniały mokre plamy potu, i chichoty dziewcząt, którym niesione sierpy nie przeszkadzały w grubych i ciemnych rękach układać małych wiązanek lub wianków z zerwanych po drodze kwiatów. Słychać było cienkie głosy dzieci wybiegających na spotkanie matek, swawolne krzyki podrostków, gdakanie kur, gruchanie gołębi i pianie kogutów.

W zagrodzie Anzelm czerwone blaski słońca długimi szlakami kładły się na puszystym kobiercu po raz drugi podrastającej koniczyny i ukośnymi strzałami wślizgując się między gałęzie drzew, zarumieniały gęsto osypujące je owoce. Pszczoły ułożyły się już do snu w błękitnym tłumie przysadzistych ulów, za którymi w migotliwych światłach zachodu cicho stały rozłożyste wieczorniki i wysokie malwy. Ogród był pełen świegotu ptastwa i zapachu kwitnącej rezedy zmieszanego z ostrymi woniami mięty, piłowiei i bożego drzewka. Za gęstym listowiem stuletniej sapieżanki dwa okna w błękitnych ramach gorzały jak rozpalone rubiny. Przez otwartą na oścież bramę na szeroką, śladami kół zbrudzoną i od dziecieliiny bielejącą drogę z rykiem i meczeniem wchodziły małe trzódki krów i owiec.

Pomiędzy drzewami Anzelm w grubej swej sukiennej kapocie i wielkiej baraniej czapce przechadzał się z Witoldem Korczyńskim zwykłym sobie powolnym krokiem, młodego swego gościa od drzewa do drzewa prowadząc. Od wielu już lat na robotę w pole nie wychodził, dla czego w okolicy nosił przezwisko hrabiego. Wszyscy jednak wiedzieli dobrze, że nie pracy unikał, lecz tłumy i gwaru, które znać sprawiały mu dolegliwą przykrość, bo ilekroć wśród nich się znalazł, wyraz niepokoju, bolesnego niemal rozdrażnienia okrywał

Wieś

Ogród

Samotnik

jego zmęczone rysy i napelniał bladobłękitne oczy. Prawie z przestraczem w postawie i ruchach otulał się wtedy swoją kapotą, cofał się i usuwał. W zagrodzie swej za to cichy był jak otaczająca go tutaj cisza i od wschodu słońca aż do jego zachodu czynił wszystko, co do czynienia było: kosił, grabił, sadił, podlewał, grodził, dopatrywał bydła i owiec, a w zimie cepem<sup>111</sup> bił o klepisko, heblem, piłą, młotkiem i siekierą pracował około ulów, parkanu i domu. Wszystko to robił powoli, lecz nieustannie z monotonnymi ruchami, w których tkwiło wieczne jakby zamyślenie duszy, daleko od obecnej rzeczywistości ulatującej. Dziś przez dzień cały z pomocą najętego parobka układał w stodole snopy przez synowca z pola przywożone, a gdy już snopów zabrakło, parobkowi po wodę zejść kazał do rzeki, sam zaś dopatrywał kasztana i gniadej, których Jan po raz pierwszy może w swym życiu sam nie dopatrywał, z gorączkowym pośpiechem na pole wracając. Wyszędłszy ze stajni Anzelm jak wryty stanął przed wrotami i z ręki daszek sobie nad oczami robiąc, w głąb ogrodu patrzył. Żółty Mucyk, z lisim pyskiem i ogonem, miotał się tam jak szalony, ujadając i zarazem trwożliwie cofając się przed wielkim, czarnym wyżłem, który poprzedzał dwóch środkiem ogrodu postępujących ludzi. Jednego z tych ludzi Anzelm poznał od razu. Był to fanfaron<sup>112</sup> i elegant Michał, w ubraniu z dymki kanarkowego koloru, idący tu pewno w nadziei zobaczenia Antolki, do której od przeszłej zimy widocznym był aspirantem<sup>113</sup>. Ale drugi... Tego drugiego poznał Anzelm wtedy dopiero, kiedy się znalazł przed nim o kilkanaście kroków, i nie poznał nawet, raczej domyślił się, kim on był, i mimowolnym, instynktowym ruchem otulając się kapotą, cofnął się nieco. W oczach jego zagrał bolesny niepokój, a cienkie, blade wargi ironicznym uśmiechem drgnęły pod płowym, siwiejącym wąsem.

— Korczyński — szepnął — młody Korczyński... Na co? Po co? Dla ja... ja...kiej przyczyny?

Jednak, tak jak i w ów wieczór, gdy po raz pierwszy zobaczył Justynę, krokiem powolnym, ale uprzejmie naprzód postąpił, gestem grzecznym i dwornym czapkę nad głową podnosząc. Zdawać się mogło, że pomimo cierpienia, jakie sprawiało mu wszelkie zetknięcie się z ludźmi — z tymi może szczególnie ludźmi — ukazywanie się wobec nich uprzejmym, nawet wytwornym za konieczność dla własnej swej osobistej godności uważał. Jak wtedy ręki Justyny, tak teraz śpiesznie ku niemu wyciągniętej dłoni Witolda końcami palców zaledwie dotknął i nie na gościa, lecz kędyś daleko patrząc przemówił:

— Nie spodziewałem się, nie spodziewałem się takiej promocji i ta... ta...kiego miłego spotkania!

— Widzi Witold — zaostzonego wąsika pokręcając triumfująco zawołał przystojny, śmiały chłopak w kanarkowym ubraniu. — Czy ja Witoldu nie mówiłem, że będzie grzecznie i jak się należy przyjętym? A to Anzelm tak już za swoją dzikość na ludzkie języki padł, że Witold nijak do Anzelma iść nie śmiał. „Chcę, a nie śmiem” — powiada. Aż ja wziąłem, przyprowadziłem, zaznajomiłem, i koniec, i basta! A gdzie to panna Antonina?

I skoczył ku domowi, w którego sieni słychać było śmiejące się głosy i huk obracanych żaren. W malej, przyciemnionej sieni Starzyńska żwawo obracała okrągłym kamieniem żaren.

— Ot, tak, panieczek, ot, tak, robaczku, okręcać trzeba i okręcać...

Siwiejące włosy spod białego czepka opadały jej na twarz rozognioną i spotniałą, ale po całodziennym żęciu nie wyglądała wcale mniej sprężystą i żwawą.

— O, ciężko! — zawołała Justyna, gdy kamienne koło zaturkotało pod jej rękami.

Oparty o odrzwia wysoki mężczyzna, którego śnieżna koszula bielą, lecz rysy znikały prawie w półmroku sionki, śmiał się cichym, w głębi piersi szemrzącym śmiechem.

— Rączki już nadmiar zmęczone, niech już odpoczną sobie, te miłe, śliczne rączki... Do takiej pracy nie wzwyczajone.

Przez drzwi otwarte widać było kuchnię dość obszerną, w której po samym środku siedziała gromadka królików, tak ułaskawionych, że ludzkie głosy i kroki wcale ich nie płoszyły. Tylko w nierozwikłanej tej mieszaninie długich uszu i czarnej, białej, szarej sierści z dziesięć par oczu błyszczowało na kształt czarnych paciurek w koralową oprawę

Kuchnia

<sup>111</sup>cep — narzędzie do młócenia zboża. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>fanfaron — osoba zarozumiała. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>aspirant — osoba ubiegająca się o coś. [przypis edytorski]

ujętych. Przed niewielką kuchenną płytą, ogromnym kapturem osłoniętą, stała Antolka, cała w świetle rozpalonego w piecu ogniska. Złotawe blaski obejmowały jej watałę, wysmukłą kibić, drobne rysy różowej twarzy i włosy pełne wędnących kwiatów. Stawiając na płycie garnek pełen wody nagle drgnęła. Kanarkowy kawaler, wybornie naśladowując kukawkę, za plecami jej zawołał:

— Kuku! Kuku! Kuku!

— O Jezu! — zawołała i usta nieco wzgardliwie wyduła, choć w ciemnych jej oczach przebiegły wesołe błyski — czy to pan Michał nic dziś nie zmęczony, że aż tu jeszcze dokazywać przyszedł?

— Ja okropnie zmęczony! Oj, oj! Oj! jaki ja zmęczony! Chyba mnie panna Antonina usieść przy sobie pozwoli, bo jeżeli nie, to tak zaraz, hrym! I z wielkiego zmęczenia do nóżek padnę!

— Nie zapraszam i nie zabraniam — uśmiechnęła się dziewczyna — tylko ciekawość, dlaczego pan Michał na wieczerzę do domu nie idzie. Czy to pan zwykle wieczerzy nie jada?

— Kiedy ja biedny człowiek jestem, sierota bezżenny, i nie ma dla mnie komu wieczerzy gotować!

— A ciotka?

— E! Jaki tam smak w ciotczynej wieczerzy! Ja tu przyszedłem w nadziei, że na tę wieczerzę zaproszony będę, którą panna Antonina własnymi rączkami zgotuje. Czy mnie do tych przynależć przeznaczono, którzy nadzieję za matkę sobie mają?

— Nie potwierdzam i nie zaprzeczam — filuternie odpowiedziała dziewczyna.

On podłużnymi, z szarą źrenicą oczami śmiało i razem czule na nią patrząc, dalej rozmowę ciągnął:

— A żebym ja był kotkiem, toby pani inaczej mnie przyjmowała, bo bardzo kotków lubi. No, to ja zrobię się kotkiem.

I z wiernością niezmierną przeciągłe miauczenie kotów naśladować począł. Na ustach coraz różowszej dziewczyny przelatywały i drgały uśmiechy. Spuszczała jednak powieki, wargi przygryzając.

— I kotka panna Antonina dobrym słówkiem pogłaskać nie chce? No, to ja siędę sobie na drzewie i przemienię się w płaczącego puchacza!

Siadł na ławce u pieca stojącej, głowę nisko zwiesił, ramiona u piersi skrzyżował, nogi daleko przed siebie wyciągnął i zaniósł się żałośliwym, a do złudzenia podobnym lamentem puchacza. Było to już więcej niż znieść zdołała powaga dziewczyny. Wybuchnęła takim śmiechem, że aż na ziemi pod piecem przysiadła.

— Ha, ha, ha, ha, ha! — dźwięcznym, nieposkromionym, szesnastoletnim chichotem śmiała się Antolka.

— Puha! puha! puha! — wtórował jej śmiechowi coraz zawziętszy i żałośniejszy krzyk puchacza.

W ogrodzie, w pełnym jeszcze słonecznych blasków świetle, Anzelm ogród swój gościowi ukazywał. Witold bacznie i z zajęciem oglądał młode drzewka, częste czyniąc uwagi nad niezupełnie dobrym ich hodowaniem. Tu gałęzie nie były obcięte, jak należało, gdzie indziej zbyteczne pędy pozostawione zostały, tam nie odjęto pąków, których istnienie wyniszczało drzewo. Anzelm ciekawie słuchał i uważnych, zamyślonych oczu nie spuszczał z twarzy Witolda. Twarz ta, ożywiona, nerwowa, z bladawą cerą i trochę zmęczonym czołem, tę miała właściwość, że jakimikolwiek były myśli, które w chwili jakiejś napępniały głowę młodego człowieka, płonęła w nich cała, jakby w łunie z wewnętrznego pożaru bijącej.

— Pan tego wszystkiego uczy się teraz — powolnym, monotonnym swym głosem zaczął Anzelm — i widać, że uczy się nieobojętnie. Ja bez żadnej nauki sadek ten założyłem, a i poradzić się także nie było u kogo. Toteż i dowiaduję się ze słów pana, że niejedną zrobiłem pomyłkę... Wierzę... wierzę... Nauka ludzkim czynnościom przyświeca...

Mówił z widocznym roztargnieniem, o czym innym myśląc, a wzrok jego coraz przenikliwiej i głębiej zatapiał się w twarzy młodzieńca. Nagle policzek na dłoń spuszczając, cicho szeptać zaczął:

— Ale jaki pan jest podobny do stryja swego, pana Andrzeja! Chryste, jakiż podobny! I czoło, i oczy, i głos, i mówienie, wszystko takie... jakby pan Andrzej z mogiły powstał...

Jedzenie, Kobieta,  
Męczyzna

Gospodarz, Ogród

Duch, Dziedzictwo,  
Idealista, Śmierć

Blade źrenice jego wejrzeniem pobiegły daleko, ku zaniemeńskiemu borowi, a potem znowu w twarzy Witolda utkwily.

— Tylko — zaczął jeszcze — nie daj Boże panu takiego... lo... lo... losu!

Zająknął się dlatego może, że we wnętrzu swym zaraz słowom swym zaprzeczył. Podniósł pochyloną dotąd głowę, czapkę na niej poprawił, powoli wyprostował przygarbione plecy.

— Albo i nie — ze srebrnym błyskiem oczu poprawił się — albo i nie! Daj Boże każdemu dobremu tak żyć i tak umrzeć, choćby i przedwcześnie!

Serdecznym i zarazem ostrożnym jakby ruchem Witold w obie swe dłonie wziął jego rękę.

— Za drugie życzenie dziękuję! — wzruszonym głosem wymówił. — Życia bez wyższych uczuć i myśli nie chcę i wolałbym umrzeć z wielkim ogniem w piersi niżli z kamieniem lub mętną wodą żyć wieki!

Zrazu przy dotknięciu młodego człowieka Anzelm uchylił się nieco i zwykłym sobie trwożnym ruchem otulił się kapotą. Nie uściśnął też ręki Witolda, ale w słowa jego cały wsluchany, usta w zdziwieniu otworzył i z cicha wymówił:

— Nie spodziewałem się... nie spodziewałem się już w swoim życiu mowy takiej słyszeć... Chryste! Czy ubici mogą drugi raz ożyć?

— Nie — zawołał Witold — oni sami śpią na wieki, ale uczucia ich i myśli krążyć nie przestają w przestrzeni i płonąć w powietrzu, aż wejdą znowu w żywych, młodych, silnych, kochających ziemię i ludzi!

— Amen! — dokończył Anzelm, po czym oba stali przez chwilę wzruszeni, milczący i wzajemnie w siebie wpatrzeni.

— Może być — zaczął Witold — że kiedykolwiek, gdy po skończeniu nauk do Korczyna wrócę, w wielu względach o pomoc pana prosić będę.

— Mnie? — zadziwił się Anzelm i cofnął się znowu trochę. — Ej, nie! — ze spokojnym już zamysleniem mówił dalej — ze mnie już żadnej pomocy nikomu nie będzie. Lata sił ujmują i ubiegłej wody nie wrócisz. Ale to jest prawda, że kiedy pan w Korczynie osiedzisz, trudno będzie, trudno... skutecznieć dobre zamiary. Mnie, w moim zaciszku siedzącemu, zdaje się podczas, że jakieś wielkie lody świat ten pokryły i zrobiło się na nim nadmiar już zimno. Z nieba na nas leje się pochurność, a my w tej pochurności tak jak prawie groch rozsypany, którego każde ziarnko toczy się po osobno i po osobno gnije... plonu nie wydając. Kiedyś to były między ludźmi insze myślenia i insze zamiary, ale wszystkie czasy mają swój czas i każda rzecz przed oczami człowieka jak woda ubiega, jak liść zwiędnięty żółknie...

— Dziwnie pan smutny jesteś i zdawać się może, że już o wszystkim dobrym zwątpiłeś — z palącą ciekawością w twarz mówiącego wpatrując się przerwał Witold.

Zamyślony uśmiech przewinął się po ustach Anzelma.

— Zasmęciłem się ja raz w życiu swoim tak, że i na zawsze smętny jużostałem, to jest prawda. Ale co do zwątpiałości<sup>114</sup>, to bynajmniej! Widziałem ja, owszem, stare drzewa, co próchniały i walały się po lasach, swoje przeżywszy, ale naokoło nich wychodziły z ziemi latoroście zielone i swoją koleją w silne drzewa wyrastały. Ot, i pan teraz taką prawie jest latoroślą, co nowy las przepowiada, a jeżeli panu w jakiej trudności czy w jakich zamiarach pomocy będzie trzeba, to nie ode mnie pan ją weźmiesz, ale od mego Janka, który zarówno jest jak latorośl, co na mogile silnego dębu wyrosła. Tymczasami...

Nagle ożywił się i prędzej nieco mówić zaczął:

— Tymczasami ja cośis już i słyszałem o różnych pańskich rozmowach z ludźmi i radach, które pan dajesz. Ot wczoraj Walenty przyszedł do nas i mówił, że pan z usilnością ludzi namawiał, żeby złożyli się wszyscy i ze cztery studnie w okolicy wykopali, to by nam woda tak prawie krwawa nie była. I Michał rozpowiadał, że pan zbudowanie spólnego młyna doradzasz, aby już na żarnach mleć potrzeby nie było, i różne tam insze myśli ludziom do głów podajesz. Owszem. Mnie tylko dziw brał, skąd to wszystko wzięło się u syna pana Benedykta Korczyńskiego, który dla nas wszystkich prawie taki jest obojętny, jakby on tylko był człowiekiem z duszą przez Pana Boga jemu daną, a my kamieniami, które nogami potrać i odpychać trzeba.

Chłop, Szlachcic,  
Współpraca

<sup>114</sup>zwątpiałość — zwątpienie. [przypis edytorski]

— Niech pan tego nie mówi. O, niech pan tego nigdy przede mną nie mówi! — porywczo zawołał Witold i płomienne rumieńce uderzyły mu do czoła.

— Sam to już czuję, że zbyt śmiało przed synem na ojca powiedziałem, i o wybaczenie proszę — ze słabym też rumieńcem na chudych policzkach i znowu trwożnym ruchem owijając się kapotą przemówił Anzelm.

— Nic to, nic! Pan nie byłeś zbyt śmiały, tylko, widzi pan, ja ojca mego... dla mnie ojciec... no, ale nie mówmy już o tym! Lepiej ja panu opowiem niektóre z moich myśli, czego bym dla was pragnął i o czym myślę, że być powinno...

Przechadzali się teraz z wolna pomiędzy drzewami w jaskrawych blaskach zachodu, którego ukośne strzały ślizgały się po ich głowach i twarzach. Witold mówił jak zwykle prędko i popędliwie, z gestykulacją żywą, z ruchliwą grą rysów o czymś towarzyszeni swemu opowiadając, coś mu tłumacząc. Anzelm z przygarbionymi plecami i twarzą prawie nieruchomą słuchał go z uwagą i ciekawością, rzadko kilka słów zapytania lub odpowiedzi w rozmowę wtrącając. Parę razy jak w tęczę wpatrzony w twarz młodzieńca, cicho do samego siebie przemówił:

— Jaki do stryja podobny! Chryste! Jakież podobny!

I w miarę przedłużania się rozmowy ściągała, chuda, z lekka zaróżowiona twarz jego pod wielką, baranią czapką okrywała się wyrazem dziwnie z sobą zmieszanych uczuć: marzycielskiej radości i niezgłębionej tęsknoty. Wejrzenie jego coraz częściej biegło daleko, ku zaniemeńskiemu borowi, a długie, blade ręce, do połowy w rękawy kapoty wsunięte, splatały się palcami silnie — trudno było odgadnąć, czy w radości niespodziewanej, czy w żalości wspomnień.

Na długiej ławce u ściany domu stojącej, pod sięgającą dachu, ogromną gałęzią sapieżanki, za wysokimi malwami i wieczornikami, w woniach rezedy i piłowiei dwoje młodych ludzi rozmawiało z sobą długo i z cicha. Dlaczego z cicha? Oni jedni tylko przyczynę tego znać mogli, jeżeli sobie o niej sprawę zdawali, bo tajemnicy żadnej w rozmowie ich nie było. Mężczyzna trzymał w ręku garść dzikich kwiatów i ziół, które jedne po drugich kobiecie podawał.

— Widzi pani, jak bławatki już posiwały! A takie były szafirowe, śliczne! To tak prawie, jakby i jasne lato starzało razem z nimi... A to przekwitły brodawnik; zdaje się tylko taka kulka puchu, a przy słońcu wygląda, jakby z najpiękniejszego szkła była zrobiona. Szkoda, że jak dmuchnąć, rozleci się zaraz na wszystkie strony i zniknie. Może to i szczęście człowieka takie samo, jak ta kulka puchu. Dziś jest, a jutro przeciwny wiatr powieje i daleko odegna wszystko, co człowiekowi nad życie miłym było. Jak pani myśli, panno Justyno, czy szczęście człowieka zawsze jest takie niestałe?

— Nie wiem — odpowiedziała kobieta — ja myślę czasem o szczęściu takim, którego by żadne najprzeciwiejsze wiatry rozwiać nie mogły, i innego — nie chcę.

— To panna Justyna myśli, że ludzie mogą ciężko pracować i wszelakie biedy znosić, a szczęścia swego nie utracić?

Wpół poważnie, wpół ze śmiechem odpowiedziała pytaniem:

— A Jan i Cecylia?

Chwilę milczeli.

— Ot, ta gałązka z tymi ładnymi kitkami nazywa się tymotka, a ten różowy kwiatek to zajęczy lenek, a te żółte, takie jak prawie ogień żółte kieliszki...

Z głębi domu, z kuchni, w której Antolka wieczernę gotowała, doleciało grube i długie bełkotanie indyka, przy którym wybuchnął srebrny i nieposkromiony śmiech dziewczęcy.

— Ha, ha, ha, ha, ha! — nieskończoną, zda się, gamą śmiała się dziewczyna.

— Bołtu-bołtu-bołtu! — śmiechowi jej wtórowało wyborne naśladowanie indyczego krzyku.

— Michał, widzi pani, już z rok do Antolki chodzi i chce z nią żenić się. Może co z tego i będzie, tylko nie zaraz, bo stryj i ja nie pozwolimy jej w szesnastu latach za mąż wychodzić. Jeżeli wiernie kocha, to niech jakich lat dwa albo i trzy poczeka, póki dziewczyna wzmocni się w sobie i pomądrzeje. Drugiemu smętny byłby ten odkład<sup>115</sup>, a jemu nie! Zawsze wesoły i wszelakich conceptów pełno mu w głowie. Ja temu dziwuję

<sup>115</sup>odkład — przełożenie, odłożenie czegoś na później. [przypis edytorski]

się, bo choć z przyrodzenia smętny nie jestem, ale kiedy w jakich zamiarach swoich przeciwności doświadczam, to, zdaje się, do grobu poszedłbym zaraz.

W kuchni wesoło i donośnie zagwizdała wilga, a jakby w odpowiedź jej z zagrody Fabiana doleciało także gwizdanie na nutę pieśni:

A kto chce rozkoszy użyć,  
Niech idzie do wojska służyć.

— Te kieliszeczki, takie prawie żółte jak ogień, to kwiat mokrzyca, a ta gałązka, widzi pani, ja ją do rączki pani przyłożę i zaraz przylepi się tak, że i oderwać będzie trudno, dla tej przyczyny i nazywa się ona lepka.

Ostrożnie, z uśmiechem na rękę jej położył zieloną gałązkę, która też istotnie mnóstwem swych drobniutkich, zaledwie widzialnych kolców do niej przyłgnęła.

— Czy pani doprawdy popłynie z nami jutro na Mogilę?

Pochylił się trochę i nieśmiało w twarz jej spojrział.

— Bo to troszkę i wstydno, że do tego czasu nigdy jej pani nie odwiedziła...

Śmiałość tego zarzutu w dziwnej była w sprzeczności z nieśmiałością, z jaką na mgienie oka w twarz jej spojrział. Ona zamyślonym wzrokiem daleko gdzieś patrzyła.

— Iluż, iluż ja rzeczy w życiu swoim wstydić się muszę — powoli i ze zsuniętymi brwiami wymówiła — a nigdy — dodała — nigdy tego tak mocno nie uczułam jak teraz.

— Pani pewno popłynie jutro z nami?

— Najpewniej.

— A jeżeli czasem stryj zostanie w domu?

Spojrzała na niego pogodnie, ufnie i odpowiedziała:

— Popłynę z panem.

Tuż obok zielonej gałązki na rękę Justyny czerwieniła się szrama od draśnięcia sierpu pochodząca. Jan patrząc na tę różową szramę, tak jakby oczu od niej oderwać nie mógł, z cicha mówił:

— Bo to, widzi pani, już ja dziś z twarzy stryja widzę, że go jutro chandra schwyci. A kiedy go już ta pochurność napadnie, to za nic z domu nie wyjdzie, nie je, nie pije i z nikim gadać nie chce... Tak czasem przeżyje dzień jeden, a czasem dwa i trzy dni... My podtenczas z Antolką na palcach chodzimy i cicho gadamy, tak jakby umarły w domu leżał... Taka już u niego duszna choroba jakaś!

W tej chwili Anzelm, niezwykle spiesznym krokiem Witolda wyprzedzając, zbliżył się do jednego z otwartych okien domu.

— Ja panu zaraz te książki pokażę — mówił — zaraz po... po... po...każę!

Wąska ławka nie broniała wcale przystępu do okna; owszem, Witold przyklęknął na niej i do wnętrza zajrzawszy, jednym spojrzeniem ogarnął dość szczególnie wyglądającą izdebkę. Był to tak zwany przeciwek, dlatego tę nazwę noszący, że się go rozdziela z obszerną świetlicą. Malutka to była izdebka, więcej długa niż szeroka, z niskim, belkowanym sufitem i chropowatymi, skąpo pobielanymi ścianami. Drewniany tapczan z siennikiem, poduszką i na domowych krosnach wytkaną koldrą, prosty stół pod oknem, zielona skrzynia, zapewne z odzieżą, i jedno stare krzesło z drewnianą tylną poręczą stanowiły wszystkie sprzęty znajdujące się w tej izdebce. Nad łóżkiem wisiały trzy spore obrazy: najwyżej, prawie pod sufitem, Ostrobramska Maria w ramach, złożonym i dość jeszcze błyszczącym papierem oklejonych; niżej, prawie nad samą pościelą, dwa szare, w drewnianej oprawie, wizerunki siedzących na koniu rycerzy. Zza ramy świętego obrazu wychylał się pęk palm święconych; na szare wizerunki opadała na ćwieczku zawieszona mała korona cierniowa. U okna, na stole, stał niewielki dzban z wodą i stała przy nim dnem do góry przewrócona szklanka, a dalej, przy samej ścianie, za lampką z wysokim kominkiem leżało kilka książek w zniszczonej oprawie. Po te książki Anzelm rękę wyciągnął i jedną po drugiej podawał je Witoldowi. Przy tym powoli czytał ich tytuły:

— *Psalmy Kochanowskiego*<sup>116</sup>... Niech pan spojrzy na te dwa wyrazy, co na boku wypisane.

<sup>116</sup>*Psalmy Kochanowskiego* — mowa tu o *Psalterzu Dawidów*, wydanym po raz pierwszy w r. 1579 i odtąd wielokrotnie przedrukowywanym. [przypis redakcyjny]

- Andrzej Korczyński — głośno przeczytał Witold.
- *Pan Tadeusz*... Niech pan spojrzysz na te dwa wypisane wyrazy...
- Andrzej Korczyński...
- *Ogrody północne*...<sup>117</sup>... Niech pan spojrzysz...

W ten sposób kilka tytułów przeczytał, bladym swym palcem wskazując napisy im towarzyszące, z jednostajnym zawsze brzmieniem. Jeden tylko był nieco dłuższy. Zawierał się w czterech wyrazach: „Andrzej Korczyński — Jerzemu Bohatyrowiczowi”.

— Ojcu Janka, jego ojcu — ze szczególnym ku Witoldowi mrugnięciem szepnął Anzelm, a potem książki znowu na stole złożył.

— Wszystko to od niego, i tyle tylko u nas światłości jest, ile jej on zostawił. Gdzie tam! I tyle już nie ma, bo jedni pomarli, drudzy zgłupieli i zapomnieli, a są i tacy nawet, co bez uszanowania i wdzięczności, owszem, z pośmiewiskiem, go wspominają. Z mułu ziemskiego zlepieni jesteśmy i o to tylko dbamy, co tyczy się mułu tego, czyli naszego ciała. Ale kto raz, choć troszkę, duszne radości i żalości poznał i dusznego światła zapragnął, ten dla niego ma wieczną wdzięczność i czuje za nim wieczną tęsknotę. On tu siał, on oświecał, on ten ogień, o którym pan tylko co mówił, w sercach ludzkich podtrzymywał, on za niego i młodą głowę swoją oddał... Niechże mu światłość Twoja niebieska, o Boże sprawiedliwy! świeci na wieki wiekuiste, amen!

Głowę ku rękom splecionym pochylił i dwie grube lzy ściekły na dwie ogniste plamy, które przy ostatnich słowach wybiły się mu na policzki. Witold w półkłęząc na niskiej ławie, o ramę okna ramieniem oparty, wpadł w zamyślenie długie i posępne. Dość dziwną było rzeczą, jak ta twarz młodzieńcza mieniła się stosownie do wewnętrznych poruszeń duszy. Przed godziną wesoły, prawie swawolny jak dziecko, potem cały oblany łuną apostołskiego zapachu, teraz wyglądał tak, jak gdyby skąpał się cały w cierpieniach, klęskach, upadkach i urąganiach napelniających całe lat dziesiątki. Istotnie, był on w nich skąpany, wzrósł wśród nich, zaprawiły mu one krew i myśl, aż teraz, dziecko prawie, stał z chmurnym czołem twardo doświadczonego męża i ponurym wzrokiem kogoś, kto patrzy w ciemne i niezgłębione otchłanie. Długo przecież trwać to u niego nie mogło i po chwili ciekawie znowu przypatrywał się wnętrzu izdebki Anzelma.

— Izdebka pana przypomina klasztorną celę — zauważył.

Anzelm także poskromił wzruszenie swe albo je ukrył i ze spokojnym już uśmiechem odpowiedział:

— A tak. Ja też ją celką swoją nazywam. W jednej piosence są takie słowa... śpiewałem ja tę piosenkę, często śpiewałem, kiedy jeszcze pogoda i upał na świecie panowały:

Ty będziesz panną, ty będziesz panną  
Przy wielkim dworze;  
A ja będę księdzem, a ja będę księdzem  
W białym klasztorze...

## IV

Czólno, wysłane gałęzmi srebrnej topoli, Jan silnie od brzegu odepchnął, a potem sam w nie wskoczył. Z wiosłem w ręku, z czołem na w pół tylko daszkiem czapki osłoniętym, w krótkiej, kolan nie sięgającej siermiędze, zielonymi taśmami przyozdobionej, z uśmiechem towarzyszkę swą zapytał:

— Czy wygodnie?

— Wybornie — odpowiedziała.

Zielone i wonne posłanie z liści było istotnie wygodne; przykrywała je do połowy jej biała suknia. Kilka lat już minęło, odkąd ani razu nie pomyślała o przybraniu się w ten strój prosty i tani, ale świeży i zalotnie odkrywający szyję jej i całe prawie ramiona. Od dawna też nie układała swych czarnych włosów w sposób tak dobrze uwydatniający piękne linie niskiego jej czoła i nie związała ich z tyłu czaszki w węzeł tak ciężki i malowniczo opuszczający się na kark, z lekka przez ogorzeliżnę pozłożony. W kilka godzin po południu

<sup>117</sup>*Ogrody północne* — w w. XIX był to podstawowy podręcznik ogrodnictwa, napisany przez J. Strumiłłę; od r. 1820 do 1862 miał 6 wydań. [przypis redakcyjny]



zstąpiła z wysokiej góry ku rzece i na chwilę stanęła w tym miejscu, gdzie w równej prawie linii z zagrodą Anzelma, pośrodku góry, na małej jej wypukłości, wyrastała gruba, rozłożysta topól. Pod topolą stanęła, pochyliła się i w dół spojrzała. W dole, na wąskim, piaszczystym wybrzeżu, tuż przy czólnie wysłanym zielenią, Jan spostrzegłszy ją, wysoko wznosił czapkę nad jasnozłotymi włosami.

— Dzień dobry! — donośnie zawołał.

Woda pod dotknięciem wiosła zaszumiała, czólno zakolysało się i z przybrzeżnej mie-  
lizny na toń spłynęło.

— A stryj? — zapytała.

— Chory. Wczoraj po pożegnaniu się z państwem do swojej izby poszedł i drzwi na kruczek<sup>118</sup> zaszczepił. Przez okno tylko widać, że na tapczanie leży oczy sobie ręką zasłoniwszy, senliwy taki czy w myślach utopiony? Bóg to wie!

W górę rzeki powoli płynęli. Nad rzeką wznosiła się z jednej strony naga, żółta ściana, z nieruchomym borem u szczytu; z drugiej wysoka, zielona góra, u której wierzchu białe i szare domostwa okolicy, z gankami swymi, świecącymi oknami i dymiącymi kominami, jak paciorki jedno po drugim wychylały się zza zieleni potężnych drzew i przezroczytych gajów. Od każdego z domostw biegły ku rzece wydeptane ścieżki i łamiąc się w różne kie-  
runki, rysunkiem białych linii okrywały zielony, w garby i płaszczyzny pogięty stok góry. Upalne słońce osypywało nieścigniony szlak wody ulewą iskier, a tu i ówdzie łamiące się w falach promienie jego tworzyły ogniska olśniewających światel. Chwilami te ogniska wyrzucające z siebie niskie snopy promieni bladły lub całkiem gasły, a w błękitach wo-  
dy, pod delikatnym rysunkiem drobnych fal, sunęły ciemne odbicia przepływających pod niebem chmur. Nie były to chmury natychmiastową burzą grożące, ale raczej białe obłoki mętną szarością wydęte, wydłużające się wciąż i przybierające, z brzegami przelewającymi się w coraz nowe linie i kształty. W cichym i parnym powietrzu powoli i nisko sunąc, co chwilę przysłaniały one, to odkrywały rozżarzoną tarczę słońca, sprawiając tym w powie-  
trzu zmienną grę promiennych jasności i nagłych przyciemnień. Tam gdzie rzeka daleko przed pomykającym czólnem za bór skręcała, zgromadzały się one, łączyły i skłon nieba zasłaniały ścianą wełnistych, ciemnych, srebrem obrębionych kłębow.

Obłok, Rzeka

— Może dziś deszcz albo i burza będzie — zauważył Jan, który na wąskiej ławeczce w sam prawie dziób czólna wprawionej siedział, w wodę patrzył i z pochyloną nieco głową powoli wiosłem fale jej rozganiał.

Na wysokiej, zielonej górze zniknęły ostatnie domy okolicy, a tuż za nimi góra roz-  
szczepiła się na rozpadlinę głęboką i długą, otwierającą się od strony rzeki olbrzymim trójkątem ścian w tył odgiętych i ku szczytom rozwierających się coraz szerzej. Jan ru-  
chem głowy wskazał Justynie parów Jana i Cecylii i napelniające go nieprzebite, różny-  
mi odcieniami zieleności mieniące się, jaskrawymi barwami kwiatów i jagód nakrapiane  
gęstwie roślinne. Podniosła się trochę na swym siedzeniu, w tym chaosie linii i barw  
pragnąc odkryć stary grobowiec.

— Schowany on jest przed światem i z nijakiej strony zobaczyć go nie można —  
rzekł Jan. — Chyba jesienią, kiedy drzewa i krzaki wszystkie liście swe utracą, zamajaczy  
on przed oczami tego, kto tędy płynie. Czy pani nie uprzykrzyło się płynąć?

Opowiedział, że do Mogiły z Korczyzna i Bohatyrowicz dwie drogi prowadzą. Można  
przeprawić się na przeciwną stronę rzeki naprzeciw dworu lub okolicy i potem dobrą  
godzinę iść lasem; albo płynąć trzeba dłużej, z pół godziny, i wylądować na piaskach, od  
których do tego miejsca i wiorsty nie będzie. Powiózł ją tą drugą drogą, bo chciał jej  
pokazać piaski.

— Później powiem — dodał — dla jakiej przyczyny zechciało mi się, aby pani na  
tych piaskach była. Dla mojej pamięci to takie miejsce...

Nie dokończył, bo z uwagą, mrużącymi się nieco przed blaskiem oczami, przypatrywać  
się zaczął pszczołę, która z głuchym brzęczeniem nisko nad wodą leciała. Z przeciwnego  
brzegu rzeki wracające pszczoły od czasu do czasu nad głowami płynących przelatowały,  
ale ta opuszczała się coraz niżej, okrywając ją żółtą lepkością jak kroplami roztopionego  
bursztynu na słońcu błyszcząc. Jan chwiejnego jej i coraz niższego lotu z oczu nie spuszczał  
i zręcznym ruchem, w chwili gdy skrzydłami muskać wodę już zaczynała, posunął ku niej

<sup>118</sup>kruczek — tu: haczyk. [przypis redakcyjny]

wiosło, na które z głuchym stuknięciem osiadła. Potem ostrożnie, troskliwie omdlały owad z wiosła na brzeg czołna zsunął.

— Szkoda pracowitego zwierzątko, aby utonęło marnie — zauważył. — Może ty moja? — uśmiechnął się do pszczoły nieruchomo na brzegu czołna siedzącej.

Za wielkim trójkątem otwierającym parów Jana i Cecylii zielona góra przemieniła się w stromą, gładką i nagą wyniosłość, od pokładów marglu<sup>119</sup> zaczerwienioną i u samego szczytu wystającą szerokim, pogarbnionym gzymsem twardej, gorąco-żółtej gliny. Pod tym gzymsem ciemniały otwory z niezmierną regularnością zaokrąglone i w równych od siebie odległościach ciągnące się długim szeregiem.

— Co to? — ukazując je zapytała Justyna.

Ale zanim towarzysz jej miał czas odpowiedzieć, w jednym z tych ziemnych wydrążeń zaczerniało coś, białą błysnęło i ptak wysmukły, ze śnieżną piersią i długimi skrzydłami szafirową czarnością połyskującymi, błyskawicznie szybko na dół spłynąwszy, krętym lotem prawie nad ich głowami przeleciał.

— Jaskółka! — zawołała Justyna.

— To są jaskółcze gniazda — na okrągłe otwory patrząc potwierdził Jan. — Taką ten ptak ma przemyślność, że w tej twardej i gołej skale mieszkania sobie wykuwa. Kiedyś nadmiar ciekawy byłem tych pałaców, i czy pani da wiarę? Przekonałem się, że one tam sobie, te ptaki, prawdziwe pokoje i korytarze budują... Ot, i druga leci, i trzecia, i czwarta!...

Z pokojów i korytarzy w nagiej i gładkiej ścianie wykutych ptaki wylatywały coraz liczniej, czarnymi skrzydłami i śnieżnymi piersiami na jej czerwonym i żółtym tle migocąc i szybko spuszczać się nad wodę. Szelestem ich skrzydeł spłoszona pszczoła z odzyskaną w spoczynku siłą zerwała się z brzegu czołna i z głośnym, tryumfującym brzęczeniem wzbijając się w powietrze, w kierunku parowu i okolicy uleciała. Jan patrzył za nią.

— Ot, i uratowane pracowite, dobre zwierzątko! — z pogodnym, zadowolonym uśmiechem w oczach i na ustach z wolna wymówił.

— Zawsze to o jedną śmierć mniej, a o jedną kroplę słodyczy więcej na świecie — dodała Justyna, i zdawać się mogło, że pogodne zadowolenie z uśmiechu Jana na jej twarzy spłynęło.

— Prawdę pani mówi! — wiosło w wodzie zatapiając odparł — umierania i goryczy wszelakich pełno na świecie, a słodycz na nim bardzo jest droga...

— Skąd pan wie o tym? — żywo zapytała.

Popatrzył na nią długo, dziwnie, z trochę ironicznym uśmiechem w oczach.

— Państwo myślą — zaczął — że człowiek w prostym stanie będący uczucia swego i swoich myśli nie ma. Ale może w tym jest pomyłka...

Chciał coś jeszcze mówić, ale powstrzymał się, usta mu tylko drgnęły, krewkim ruchem czapkę na czole poprawił i żywiej wiosłować zaczął.

— Wiem i wierzę — z powagą rzekła Justyna. Uśmiechnął się znowu i ręką skinął.

— Co pani wie? — trochę porywczo rzucił.

— To prawda — odpowiedziała i cała rumieńcem spłonęła.

Jemu we wpatrzonym w nią wzroku zagrał żal.

— Nie ma czego wstydzić się ani smęcić — łagodnie już przemówił — tak już pani urodziła się i uczyła się też czego innego...

W tej chwili usłyszeli żalosne skomlenie psa i przewlekłym, gapiowatym głosem wymówione:

— Dobry wieczór państwu!

O kilkadziesiąt kroków od brzegu, w malutkim czołnie przymocowanym do tyki w dnie rzeki utkwionej, siedział z wędą na wodę puszczoną Julek Bohatyrowicz, a na małym, zielonym przyładku, w wyciągniętej postawie i z oczami w pana swego wpatrzonymi, czarny Sargas coraz głośniejsze i przeciągłe skomlał. Ten pleczysty człowiek, z wielką, czerwoną twarzą i wydobywającą się spod czapki gęstwiną ognistych włosów, w malutkiej łupince nieruchomo nad wodą siedzący, miał w sobie coś prawie fantastycznego. Wziąć

<sup>119</sup>*margiel* — rodzaj jasnoszarej skały osadowej. [przypis edytorski]

by go można było za bajecznego mieszkańca wód, który na chwilę tylko i w połowie przybrał postać ludzką, drugą połową ciała tkwiąc w swym rodzinnym żywiole. Ale zupełnie ludzki był uśmiech, którym człowiek ten witał nadpływających. Widać było zresztą, że takim samym uśmiechem, szerokim, dziecinnym, rząd śnieżnych zębów ukazującym, witał on wszystko, cokolwiek na niebie i ziemi spotykał wzrokiem podłużnych, pełnych, szafirowych oczu, tak samo, jak usta, śmiejących się dziecinnie, niewinnie i przyjacielsko.

— A dokąd? — na płynącą parę patrząc, lecz najlżejszego poruszenia nie czyniąc zapytał.

— Na Mogiłę — odpowiedział Jan.

— He, he, he, proszę tylko nie bawić się długo!

— A dla jakiej przyczyny?

— A dla tej, że przed zachodem słońca ulewa spadnie, he, he, he!

Czołno Jana otarło się prawie o to, na którym siedział śmiejący się wciąż wodny atleta.

— Czemu Sargasa do czołna nie wzięłeś?

— Przeszkadza.

— Głupie zwierzę! Przypląć mógłby do swego pana, kiedy tak już tęskni...

— Nie pozwoliłem!

Prędkim ruchem targnął wędę i mała rybka trzepocząca się u jej końca srebrną iskrą błysnęła w powietrzu.

Jan i Justyna płynęli dalej. Jan mówił o Julku. Dziwny to był chłopak. Od dzieciństwa durniem go nazywali, ojciec nawet często go bił za nierozgarniętość i w rodzinie był on zawsze ostatni. Toteż przyrósł do Niemna; zdaje się, jakby duszę swoją w tej rzece zostawiał, tak pilno mu wracać do niej, ilekroć opuścić ją musi. Rzadko też ją opuszcza.

— Na wodzie jada, na wodzie albo przy brzegu często i nocuje. Do roboty gospodarskiej nadmiar leniwy i niezdatny, ryb mnóstwo łowi, w bliskim miasteczku je sprzedaje i pieniądze regularnie ojcu odnosi. Niemen i jeszcze ten pies Sargas to całe jego kochanie. Kiedy trzy lata temu do wojska iść miał, to po całych dniach lamentował, jak on bez Niemna wyżyje i traf! Skurczyły się mu dwa palce u prawej ręki. Ni z tego, ni z owego skurczyły się; okaleczał. Wszyscy dobrze wiedzą, co o tym okaleczeniu myśleć. Na to mu rozumu wystarczyło. Głupi niby, a chytry. Teraz za niego drugi z rzędu syn Fabiana do wojska pójdzie i dla tej przyczyny u nich tam wielka niezgoda w rodzinie panuje.

— Ale ot! — przerwał sobie opowiadanie Jan — już i piaski widać!...

Brzegi rzeki stawały się coraz uboższe i dziksze. Z jednej strony, tam gdzie przed kwadransiem sielsko i malowniczo uśmiechały się szare i białe domki *okolicy*, a potem wielki parów wspaniale rozchyłał wargi swe zielonością po brzegi nalane, nad nagą, gładką czerwona ścianą widać było stojące rzadkie zboża, tu i ówdzie ocienione krzywą wierzbą albo starą gruszą. Z drugiej strony brzeg zniżał się, do równego z rzeką poziomem sypiał, a gęsty bór nie znikał wprawdzie, lecz cofał się, usuwany jakby przez rozległe, białe, małymi wzgórzami zbalwanione piaski. Czołno wiozące dwoje młodych ludzi skierowało się ku tym piaskom i węzowymi skrętami prześliznąwszy się pośród wielkich kamieni, nad płytką wodą z piaszczystego dna wystających, u lądu stanęło.

— Proszę stanąć i naokoło spojrzeć — głosem cichszym niż zwykle rzekł Jan.

Justyna usłuchała i zatrzymała się wzrokiem dokoła powiodła.

Znajdowali się wśród piaszczystego rozłogu<sup>120</sup>, którego część nie bez trudności już przebyli. Podobne to było do jeziora, z jednej strony ujętego w ciemne półkole boru, a z drugiej rozdzielonego z rzeką, zasłaniającym ją pasmem piaszczystych pagórków. Jak powierzchnia wody, tak piaski te pokryte były nieskończonymi łańcuchami zmarszczek, a choć z pozoru powietrze wydawało się nieruchome, unosyły się z nich tu i ówdzie niskie tumany i poziomym lotem przebywając małe przestrzenie, opadały na ziemię pyłem cichym i tak miłym, że prawie ziarnko od ziarenka rozróżnić w nim było można. Bór niechętnie jakby usuwając się w głąb widnokregu, zostawiał za sobą szerokie pasy karłowatych, kolczastych, białością piasku przeświecających zarośli i za nimi dopiero powoli wzbijał się znowu w wysoką, ciemną ścianę. U stóp zarośli różowate wrzosy rozciągały daleko swe suche, smętne girlandy, a potem już od krańca do krańca tej pustki nie

Pies

Głupiec

Przyroda nieożywiona,  
Pustynia, Syn, Ojciec,  
Rozstanie, Wspomnienia

<sup>120</sup>rozłóg — rozległy obszar. [przypis edytorski]

było nic prócz pomarszczonych, głębokich piasków i małych tumanów, które tu i ówdzie wzbijały się na płaszczyźnie lub na kształt znikomych dymów wytryskiwały i nikły nad okrągłymi, nagimi czołami pagórków. Ani drzewa, ani kwiatu, ani najdrobniejszego ziółka. Żadnego też dźwięku oprócz krakania wrony, która ciężko i wysoko wyleciała znad rzeki i w borze przepadła; żadnej barwy oprócz białości piasku i szarawej różowości wrzosów, żadnego ruchu oprócz sunących po niebie ciężkich, długich, mętną szarością nabrzmiiałych obłoków; żadnej woni oprócz suchego i krztuszącego pyłu, który wydawał się oddechem tego miejsca.

Stopy Justyny pogrążyły się całkiem w miążkłej, suchej, gorącej topieli, a wzrok jej ze zdziwieniem przesuwiał się po tej pustyni, której nie widziała nigdy, na którą też prawie nigdy nie patrzyło żadne ludzkie oko, bo żadna praca, żaden plon i żadna dokądkolwiek prowadząca droga nie przywodziła tu ludzkich kroków i zamiarów. Ale gdy spojrzała na towarzysza swego, większe jeszcze uczuła zdziwienie. Jan zdjął czapkę i zamyślonymi oczami wodził po nagich szczytach pagórków. Miał postawę człowieka, który stanął na progu kościoła i wpatruje się w ołtarz. Można by myśleć, że nigdzie tyle, ile w tym miejscu, nie czuł się człowiekiem i nigdzie tyle nie doznawał ludzkich, wyższych, od codziennego życia dalekich uczuć i myśli.

— Dawno tu nie byłem — zaczął też takim głosem, jakim człowiek w progu świątyni przemawia. — Może pięć, może sześć lat nie byłem... Stryj woli na Mogilę tamtą drogą chodzić, bo raz, jak przez te piaski szedł, twarzą wprost na ziemię upadł i z godzinę od płaczu ryczał...

— Czegóż tak płakał? — ze wzruszeniem, z którego przyczyn jeszcze sobie jasno sprawy nie zdawała, spytała Justyna.

— Bo długo chorym będąc, z chaty prawie nie wychodził i pierwszy raz wtedy po swoim wskrzeszeniu te miejsce zobaczył, przez które kiedyś z wielką kompanią jechał...

Zrozumiała i więcej nie zapytała o nic. Jan ciągle na wzgórze patrząc, sam mówił dalej:

— Dla mojej pamięci to miejsce jest bardzo ważne, bo ja tu, z tego pagórka, ostatni raz ojca swego widziałem...

Wskazujący palec ku jednemu z pagórków wyciągnął.

— Widzi pani, tam, ten trzeci od boru pagórek... Dniem i nocą, latem i zimą pusty on stoi i żadne nawet ziółko uczepić się go nie chce. A jednakowoż był kiedyś taki wiecór, że od góry do dołu zdeptały go ludzkie i końskie nogi i też niemało na niego spadło...

— Pan to wszystko dobrze pamięta?

— A jakże! Pani i wiary dać nie może, jak pamiętam. Siedem lat podtenczas skończyłem, ósmy mi szedł, to może i nie dziwno, że pamiętam.

Uszli już byli kilkadziesiąt kroków naprzód; Jan znowu twarzą zwrócił się ku pagórkowi i stanął.

— Stąd Niemna nie widać — zaczął — ale my wtedy z tego pagórka dwie godziny albo może i trzy patrzali na rzekę, którą przepływały czółna i łodzie, z jednej strony i z drugiej ludzi przywożąc. Od brzegu do brzegu zaś szedł i powracał promek na łodziach, nieduży... Wszyscy przez te piaski przeszli, przejechali, i już ich widać nie było. Wiecór zrobił się majowy. Jak dziś pamiętam, że księżyc dobrze już posunął się do środka nieba i tkwił nad samymi piaskami. Cichość panowała na rzece, na brzegach, tylko w borze słowik śpiewał... Wtenczas ojciec pocałował matkę, coś jej poszeptał, a potem mnie z ziemi na rękach swoich podniósł i całować zaczął. Wprzód nigdy mnie tak nie całował, bo człowiekiem był więcej pochmurnym niżeli wesołym i częściej w milczącym zamyśleniu pogrążał się, niż okazywał to, co miał w sobie. Całkiem inaczej jak stryj Anzelm, który wesoły był, gadatliwy i cały na wierzchu. Podobno też za tę pochmurność i za te utapianie się w myślach tak nadmiar ojca mego polubił pan Andrzej. Ale wtenczas ociec dziecko swe żegnający w zamkniętości swej nie wytrzymał, cisnął mnie do siebie tak mocno, że aż bolało i mało nie tysiąc razy mnie pocałował. W tej samej minucie pan Andrzej żegnał się ze swoją żoną i ze swoim synkiem; stała też tam panna Marta, która w tę porę młoda jeszcze była, i kiedy troszkę wprzód stryja żegnała, święcony medalik jakiś na szyi mu powiesiła; stało i więcej ludzi różnych ze dworu i z okolicy, może wszystkich osób ze dwadzieścia. Nikt tam bardzo głośno nie mówił, ale wszyscy rozmawiali, i zrobił się z tego taki gwar, jak kiedy wiele razem rojów pszczół brzęczy. Do tego dwa konie osiodłane i pod pagórkiem tym stojące z niecierpliwości prychały, kopytami piasek grzebiąc. Kiedy

mnie ociec całować przestał i z rąk na ziemię wypuścił, tego momentu już nie pamiętam, to tylko pamiętam, że zobaczyłem go jeszcze, jak obok pana Andrzeja przez te piaski jechał. Widać bardzo płakałem i za łzami wprzódoby zobaczyć go nie mogłem, bo wtenczas dopiero zobaczyłem, kiedy już znajdował się na połowie drogi pomiędzy pagórkami a borem. Księżyc tkwił wprost nad piaskami, a w jego światłości ociec i pan Andrzej jeden przy drugim na koniach równej piękności jechali. Jechali oni ani bardzo prędko, ani bardzo powoli, czapki ich karmazynowym kolorem świeciły, a konie pod nimi podnosiły się równo, równo, jak przy muzyce... Nie obejrzawszy się ani razu, piaski na ukos tędy przejechali i tam... widzi pani to miejsce, gdzie jodły mieszają się z sosnami, tam, w tym miejscu z oczu naszych znikli... Słowik w borze śpiewał...

Wyciągniętym ramieniem wskazywał punkt boru, ku któremu właśnie zbliżali się powoli. W miarę zbliżania się do lasu piasek twardniał pod ich stopami; szli teraz po szeroko rozpościerających się różowatych girlandach wrzosów. Milczeli chwilę.

— I więcej nigdy już pan ojca swego nie widział?

— Raz już tylko po tym ostatnim rozstaniu o nim usłyszałem. Pewno dobrze po świętym Janie, a może i około świętej Anny, bo zboże już na polu prawie dojrzewało i gdzieś tam zaczął je zrywać, stali my w okolicy, nad samym brzegiem, w tym miejscu, gdzie, pani wie, na naszym podwórku lipy rzędem rosną. Niedużo nas było, może osób kilka, bo inni ludzie na swoich podwórkach zgromadzili się i, tak samo jak my, kupkami stojąc, wszyscy ku stronie piasków obróceni, stuków i grzmotów słuchali, co tam toczyły się i turkotały, to dłużej, to krócej, to prędko, to pomaleńku, jakby z całego nieba pioruny zebrały się i w te miejsce były. Słowik już wtenczas nie śpiewał, tylko gdzieś tam podejmowały się znad boru chmury wszelakiego ptastwa i jak zwariowane, z przeraźliwymi krzykami latały nad borem, nad rzeką, na drugi brzeg uciekając albo też lecąc jak najdalej, zdaje się na oślep... Nad piaskami zaś ciągle grzmiało a grzmiało, i dopiero przed samym wieczorem grzmoty te zaczęły pomału ustawać, aż i zupełnie ustały, a za to po całym borze poniosły się wielkie ludzkie krzyki i zgielki. Ja wtedy tak przeląknęłam się, że całego mnie trząść zaczęło i mocno uczepliłam się matki, która fartuch przy oczach trzymała i przed sąsiadkami, co do niej z szeptami przybiegły, po cichu lamentowała. Potem jednakowoż i krzyki zamilkły, noc nastała, widać, że niebo chmury zaległy, bo zrobiło się bardzo ciemno. Ale pomimo nocy ludzie wciąż kupkami na swoich podwórkach stali albo siedzieli ku piaskom patrząc, a na miejsce tych ptasich wrzasków, które rozlegały się we dnie, po całej okolicy w ciemności nocnej rozeszły się szepty ludzkie, szumienie wiatru naśladowujące. W tej cisłości i w tym szumieniu posłyszeli my jednakże na przeciwnym brzegu rzeki wielkie pluśnięcie wody, a potem już ciche, ale ciągle jednostajne, jednostajne pluskanie. Ktoś do wody skoczył, płynął, rzekę przepłynął, i spod lip naszych widać było cień jakiś wstępujący pod górę to prędko, to pomału, aż ostatni raz skoczył i wprost przed nami stanął. Matka przeżegnała się, krzyknęła: „Anzelm!” — i zakręciła się na miejscu jak nieprzytomna. Ale stary Jakub, który jeszcze wtenczas niezupełnie był wariatem, wziął stryja za rękę, do chaty go zawiódł i światło rozniecił. Kupka też ludzi wcisnęła się do chaty. Mnie znowu trząść zaczęło, kiedy na stryja spojrzałam. Jezu drogi! Jak on wyglądał! Twarz miał czarną jak u Murzyna i tylko oczami wilczymi błyszczącą, odzież calutką w dziurach, rękę jedną opuszczoną i bezwładną, a z włosów i z odzienia woda mu potokami ciekła. Dyszał tak, że słowa wymówić nie mógł, i tylko kiedy niekiedy tak stękał, jakby w nim co pękało. Ludzie koło niego szepotali, pytali, nawet go za rękę i odzież targali, on nic. Raptem na mnie spojrzał i lży potokiem ściekły mu po uczernionej twarzy. Za kołnierza od koszuli mnie schwytał i tak nagle do siebie przysunął, że aż krzyknęłam ze strachu. A potem zaczął do mnie mówić. Z początku niewyraźnie mówił, że i zrozumieć nie mogłam, ale potem, nie wiem czemu, zrozumiałem, że on mnie każe do dworu korczyńskiego lecieć, do pana Benedykta, który teraz w domu siedzi, i powiedzieć jemu... „O, Jezu drogi... powiedz ty jemu, że pan Andrzej tu...” i na czoło sobie pokazał... „a twój ociec tu...” i na piersi sobie pokazał. A potem jeszcze dolożył: „Obydwóch nie ma!” i spytał się mnie: „Zrozumiałeś?...” Zrozumiałem... Zrozumiałem tak dobrze, że do dziś dnia...

Do dziś to wspomnienie rwało mu głos w piersi, która kiedy indziej tak rozgłośno pieśni na pola rzucała.

Śmierć, Walka

Oboje nie spostrzegli, że już znajdują się w lesie; nie widzieli dokoła siebie drzew, światła i cieni; nie słyszeli szczebiotu ptastwa, który nad nimi rozlegał się coraz głośniejsze. On szedł z nisko pochyloną głową, w ziemię patrzył i o towarzysze swej całkiem w tej chwili zapominał się zdawał; ona, przeciwnie, ku niemu zwrócona, ani na chwilę nie spuszczała z twarzy jego swych szarych źrenic, które spod czarnych rzęs i brwi gorzały ciekawie i chmurnie.

— Żałość mnie wtenczas ogarnęła taka, że o strachu zapomniałem. Do dworu drogę znałem dobrze, ociec mnie tam z sobą brał i panna Marta często po mnie przysyłała. Niedługa droga. Do dworu tedy leciałem w ciemności i od płaczu zataczałem się, ale leciałem, aż do sieni wpadłem, gdzie lokaj stał i z początku puszczać mnie dalej nie chciał. Ale dziecko całe we łzach obaczywszy puścił. Ja przez salę stołową i drugi jakiś pokój do gabinetu pana Benedykta wleciałem i wprost przed jego nogami na ziemię padłszy, głośno zawyłem. On stał pomiędzy kominem, na którym ogień palił się, i biurkiem, którego szuflady wszystkie powysuwane były. Więcej ja cień jego na ścianie niż jego samego zobaczyłem i zdało się mi, że na tym cieniu wszystkie włosy jakby rozrzucony snop zboża zjeżone stały. Nachylił się, poznał mnie i na nogi postawił. „A co?” — zapytał. Ja jemu tchu od płaczu nie mając tyle tylko: „Stryj powiedzieć kazał, że pan Andrzej tu...” i na czoło sobie pokazałem, „a mój ociec tu...” i na piersi sobie pokazałem. I dołożyłem jeszcze: „Obydwoh nie ma!” Tylko co zaś te dwa słowa wymówiłem, jak rozejdzie się po pokoju jakiś okrzyk okropny, ni to ludzki, ni to zwierzęcy, i wtenczas dopiero obaczyłem, że w kąteczku pokoju pani Andrzejowa jak martwa kłoda zwała się z kanapy czy z krzesła na ziemię. Zwała się i leżała z twarzą do sufitu obróconą i taką białą jak kreda, z oczami zamkniętymi. Pan Benedykt tylko obydwoma rękami za głowę złapał się, tasiemkę od dzwonnika tak mocno targnął, że mu w rękę została, i jak tylko do pokoju panna Marta wbiegła, panią Andrzejową jej pokazał, a sam pędem wielkim z domu wypadł i prosto do okolicy biegł. Ja też za nim biegłem, ale dopędzić go nie mogłem, bo już i zmęczony byłem... więc kiedy do chaty naszej wszedłem, pan Benedykt i stryj z sobą rozmawiali, a tego, co mówili, nie słyszałem. Jedno tylko to posłyszałem, że pan Benedykt zapytał się: „A Dominik?” Stryj zaś znak taki około rąk i nóg zrobił, jakby je czym wiązał, i stał ciągle plecami do ściany przyparty, z jedną ręką bezwładną, a drugą sobie po uczernionej twarzy jakby w nieprzytomności wodząc. Nogi pod nim trzęsły się i z włosów jeszcze po kropelce, po kropelce woda ściekała. Pan Benedykt nie zapłakał i nic nie powiedział, tylko do okna poszedł i w nocne ciemności patrząc, kilka razy takim głosem, jak człowiek w momencie konania będący, imienia boskiego wezwał...

— Dziwne, straszne historie! — szepnęła Justyna.

Jan, jakby obecność jej w tej chwili sobie przypominając, nagle zwrócił się ku niej i długo patrzył na kilka łez, które jedna za drugą, cicho i powoli, spod rzęs spuszczonej staczały się na jej policzki. Przed siebie potem spojrzął i żywym ruchem ramienia jej dotknął:

— Niech pani stanie i popatrzy!

Stanąła i w tej chwili dopiero spostrzegła, że znajduje się w głębi boru. W tej chwili też po raz pierwszy do słuchu jej dostał się ogromny gwar ptastwa, który od początku lasu rósł, wzbierał, a tu wybuchł niepodobnym do rozplatania chaosem dźwięków. Zarazem ogarnęły ją mocne wonie smoły, jałowcu, cząbrów<sup>121</sup>, zmieszane z tym wilgotnym i cmentarzem przywodzącym na pamięć zapachem, który wydaje z siebie wiecznym cieniem osłonięta, białą pleśnią kwitnąca ziemia.

— Niech pani przed siebie patrzy — powtórzył Jan.

To, co jej ukazywał, było rozległą polaną czy łąką leśną, objętą regularnym i ściśle zamkniętym kołem falistych wzgórzystości, po których pięły się i spływały coraz gęściej tłoczące się i płaczące z sobą stare sosny, jodły i młode zarośla. Miejskami szerokie, aż do ziemi opuszczające się gałęzie jodeł i bujające dokoła nich, mnóstwem sęków zjeżone i girlandami szorstkich widłaków oplatane, młode zarośla jodłowe tworzyły długie ściany i grube kolumny zieloności tak ciemnej, że prawie czarnej. Gdzie indziej sosny wysmukłe, proste, gładkie, u szczytów swych dopiero korony gałęzi rozpościerające, podnosiły się znad kobierca w przedziwne wachlarze paproci i przedziwniejsze puchy mchów róż-

Grób, Rośliny

<sup>121</sup> cząber — rodzaj rośliny zielnej, używanej jako przyprawa. [przypis edytorski]

nobarwnych wyhaftowanego. Te paprociowe liście, strzępiaste, wzajem na sobie spoczywające, lekkie, choć ogromne, wszystkimi odcieniami zieloności umalowane, i te wyglądające spod nich lub całkiem je zastępujące mchy seledynowe, brunatne, siwe, z nieopętą delikatnością w miriady drobnouchnych gałązek wyrzeźbione, słały się daleko, jakby w nieskończoność, znikając pod gęstwinami i odrodzonym morzem wypływając znowu na przezroczyste przestrzenie boru. Na przezroczystych przestrzeniach, w rozległym półcieniu, po gładkich pniach sosen, po mchach i paprociach, w górze, u dołu, wszędzie biegały, goniły się, ślizgały, tu pożarem wybuchały, tam rozбивały się w roje iskier, smugi, potoki, strzały światłości słonecznych. Wydawało się to świetną, zawrotną, w tajemnicy i milczeniu odbywającą się grą jasnych i mrocznych geniuszów lasu.

Ale na otoczonej lasem polanie gier tych nie było. W górze zaokrąglął się nad nią błękit nieba, nieustannie przysłaniany sunącymi pod nim chmurami; w dole okrywała ją przyćmiona płachta słonecznego blasku, przerywana długimi, nieruchomymi słupami cieniów, od jodłowych gęstwin padających. Wysłaniem jej była trawa niska i nierówna, którą z rzadka usiewały liliowe cząbry i brunelki, białe krwawniki<sup>122</sup>, drobne pączki dzięcieliny i gwiazdki nieśmiertelników<sup>123</sup>. Brzegiem rosły i ku środkowi wybiegały krzaki jadłowców, twardymi jagodami niby czarną, połyskliwą rosą osypane albo czerwona rdzawością tu i ówdzie od ciemnej zieleni na kształt krwistych plam odbijające. Z suchych, kolczastych ich splotów wychylały się żółte kwiaty wilczej paszczy i wypęzły daleko po ziemi ciągnące się girlandy mnóstwa odmian powoi, bluszczów i widłaków. Tu i ówdzie pod krzakami i wśród niskiej trawy czerwieniły się i żółciły grzyby najszczerzej kształtów lub woń stęchlizny z siebie wydając bielą pleśń ziemi. W głębi, pod ciemną kolumną kilku splecionych z sobą jodeł, słupem padającego od nich cienia okryty, wznosił się niewysoki pagórek, kształt podługowaty<sup>124</sup> i łagodne stoki mający, niby wał, niby kurhan, widocznie kiedyś rękami ludzkimi usypany i jak cała ta polana niska, w nierówne kępy pogarbioną trawą obrosły.

Jan w milczeniu pagórek ten Justynie ukazał, ona też milcząc skinęła głową; wiedziała, że to zbiorowa mogiła.

— Ilu? — z cicha zapytała.

— Czterdziestu — odpowiedział, głowę znowu odkrył i kroku przyspieszył.

Suche, czarne szyszki pod stopami ich zatrzeszczały, kiciasty ogon uciekającej wieiórki zaszeleścił w jodłach, kos gwizdał donośnie, trochę dalej szczygły zanosily się od śpiewu, jeszcze dalej gruchały gołębice i tętniały we wszystkich stronach rytmiczne stukania żółn i dzięciołów, skądś z wielkim szelestem skrzydeł i przeraźliwym ćwierkaniem wzniosła się chmura czyżów i trznadli, krasnoskrzydła sójka mignęła błękitem i na gałęzi sosny usiadła; w powietrzu jak w kadzielnicy olbrzymiej, głużzone zapachem pleśni, kipiały wonie jadłowca, smoły i cząbru, kiedy Jan i Justyna stanęli u Mogiły, na której gdzieniegdzie bujały proste i wysokie lodygi kampanuli<sup>125</sup>, mające, zda się, tuż, tuż, przy najbliższym powiewie, w delikatne liliowe dzwonki uderzyć. Jan z głową odkrytą u stóp Mogiły stojąc z wolna wymówił :

— Zupełnie jak w pieśni:

Chyba czarny kruk zakracze,  
Czarna chmura dżdżem zapłaczę...

Kwadrans upływały, godzina prawie minęła, a Justyna siedziała jeszcze na stoku Mogiły utopiona w myślach i uczuciach prawie zupełnie dla niej nowych.

Dziecko czasu ciągnącego się pasmem ciężkim i szarym, najdalszym wspomnieniem nie sięgała ona żadnej z tych ognistych i strzelistych chwil, które serca, nawet maluczkich, obejmują pożarem i rzucają w górę. Kolebka jej stała już w katakumbie<sup>126</sup> napelnionej

Historia, Kondycja ludzka

<sup>122</sup>krwawnik — rodzaj rośliny o pierzastych liściach i białych lub różowych kwiatach. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>nieśmiertelnik — roślina z rodziny astrowatych. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>podługowaty — podłużny. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>kampanula — dzwonek leśny. [przypis redakcyjny]

<sup>126</sup>kolebka jej stała już w katakumbie — tu: wychowała się w trudnym dla polski okresie popowstaniowym. [przypis edytorski]

zmrokiem i milczeniem, pośród których szemrały tylko nisko, nisko przy ziemi krzątające się interesy powszednie i jednostkowe lub rozlegały się wzdychania i jęki podobne tym, które wydają wiatry w ciasnych przestrzeniach zamknięte. Rosła w atmosferze trosk i klęsk, domowymi ścianami ogrodzonych, dojrzewała w kole rozkoszy i strapiień we własnym jej sercu tylko źródło mających. Wszystko, co otaczało ją, pogrążone było w staraniach, w pracach, w rzadkich nadziejach i uciechach, w częstych obawach i żalach, zawsze i tylko osobistych, ciasnych i powszednich. Dokoła niej myśli ludzkie, jak ptaki z połamanymi skrzydłami, trzepotały słabo, ciężko, zakreślając nieustannie te same malutkie kółka; uczucia ludzkie, jak motyle, po świetnym momencie miłości i wzlotów, skurczone, zgniecione, podarte padały na ziemię. Ani razu w swym życiu nie widziała tych błyskawic, które z nieba ideałów zlatują w dusze mieszkańców ziemi; ani razu przed jej oczami nie wypadł z nieba ideałów sięgający grot bohaterstwa. Nie widziała nigdy bohaterstwa, poświęcenia, dobrowolnie podejmowanych śmierci, walk, których by pole nie mierzyło rozległością majątku czy szczęścia jednostki, a celem były ludzkość, naród, idea. Odwiecznym porządkiem padały na świat błyskawice owe, strzelały z ziemi owe grot, staczały się owe walki, ale daleko, daleko od miejsca, w którym urodziła się, wzrosła i dojrzała Justyna. Ani sztuka muzyczna, w której od dzieciństwa ćwiczył ją ojciec, ani lekcje udzielane jej przez nauczycielki, ani tyczące się obejścia i układu wskazówki i przestrogi, których często udzielała jej pani Emilia, ani czytowane wspólnie z kochanym człowiekiem poezje Musseta i Feuilletowskie powieści<sup>127</sup> — nie podjęły przed nią zasłony, która tu i w tym momencie opadła na rzeczy wielkie, ważne i wysokie. Niestety rzadko bywa mistrzem dobrym, a pogębienie, jak olbrzymia tłocznia, szczyty nawet kruszy i wtłacza w padoły. W życiu jednostek i narodów bywają momenty taką miarą nieszczęść napełnione, że nic już w nich więcej zmieścić się nie może. Takiego momentu dzieckiem była Justyna i dlatego z tej mogiły uderzyły w nią strumienie uczuć i myśli, jeżeli niezupełnie dla niej nowych, to nigdy dotąd silnie nie zaznanych i wyraźnie nie określonych. Pogrążyła się w nich tak, że całkiem zapomniała o sobie. Pierwszy może raz w życiu, zupełnie, absolutnie o sobie zapomniała, i tylko tego nie czuć nie mogła, że serce jej stawało się większe, jakby nabrzmiewało jakąś z tonów bez słów uplecioną pieśnią, i gorętsze, jakby spod tej trawy, do której piersią lgnęła, wydobywał się i w nią wnikał niewidzialny płomień. Byłbyż zaraźliwym żarem spoczywające w samotnych mogiłach prochy zapomnianych? Albo w zamian nie otrzymanych wawrzynów otrzymywałyby ich kości dar wiecznego pod ziemią gorzenia i wyrzucania na świat niewidzialnych iskier?

Samotność i zapomnienie. Ileż wiosen, ile zim i jesieni przeminęło nad tym pagórkem wznoszącym się za jeziorem jałowych piasków, w zamkniętym kole starego boru! Ileż przez ten czas przeniosło się po świecie hucznych, tryumfalnych, wesołych szumów, których najlżejsze echo tu nie doleciało! Płynęły dni za dniami, lata za latami; kędyś, daleko, w wesołe pary łączyli się tancerze i zakochani; pracownicy z plonami w dłoniach wracali do ognisk domowych, wojownicy z chwałą na czołach nieśli zwycięskie sztandary, po cmentarzach płonęły pochodnie żałobnych parad i kwitły róże kochającymi dłońmi zasadzone. Tu, nad tym grobem, wiecznie było cicho i samotnie. Świat o nim nie wie nic i tylko niebieskie sklepienie zapala nad nim w pogodne noce gromnice gwiazd i lampę księżycy, a w dżdżyste i burzliwe rozciąga mokre całuny chmur i huczy potężnym, żalonym hymnem wicherów. Wiosny i lata grają mu rozgłośną muzyką ptasich śpiewów, a zimy kładąc po drzewach śniegi i szrony zmieniają je w marmurowe i kryształowe grobowce. Wtedy tu bywa zimno i pusto; blade słońce miriadami iskier haftuje śnieżne wysłanie polany, a w kryształowych koronkach drzew przemienionych w grobowce czerwony gil niekiedy zagwiżdże, sroka uderzy w żałobne skrzydła lub siwe wrony, te kumochy lasu, osiadną na nich i ochryplymi głosy zagadają o plotkach ziemi... Zupełnie jak w starej pieśni:

Chyba czarny kruk zakracze,  
Czarna chmura dżdżem zapłacze...

<sup>127</sup> *Feuilletowskie powieści* — tzn. Oktawa Feuilleta (1821–1890), pisarza francuskiego, autora poczytnych niegdyś powieści obyczajowych drugorzędnej wartości literackiej. [przypis redakcyjny]



Chyba też ziemia i drzewa powieją cmentarnymi woniami jadłowcu i pleśni, a w letnie wieczory wysmukłe kampanule, tknięte powietrzną pieszczotą, uderzą w liliowe dzwonki na pacierz żałobny, który wyszepta chyba niskie trawy...

Justyna podniosła głowę, bo usłyszała szmer monotony, prawie srebrny, podobny do tego, jaki wydaje łagodnie z wysokości spadająca woda. Podniosła wzrok i zobaczyła przed sobą spływającą po czerności jodeł szeroką, ruchomą, srebrzącą się wstęgę. Ruchomość jej i srebrzystość podobna była do ściekającej z góry do dołu i wielkimi kroplami przelewającej się wody. Co to było? Czarodziejska kaskada jakaś przez rozrzuconą dłoń leśnej bogini nad mogiłą tą zawieszona? Była to grupa osin cienkich, blisko przy sobie rosnących, w liście bogatych i gałęzmi w jedną wstęgę ze sobą splecionych. Trafem zdarzającym się dość często wyrosły one wśród iglastej gąszczy, srebrzystym potokiem przerywały jej ciemność, a listki ich, okrągłe, drobne, gęste, jak srebrne krople w trwożliwym drzeniu błyskające, niustannie, monotownie, srebrnie szemrały, szemrały.

W pobliżu osin o gładki pień sosny plecami oparty Jan stał z rękami na piersi skrzyżowanymi, roztargnionym wzrokiem po drzewach wodząc. Justyna z odległości kilkudziesięciu kroków widziała dokładnie profil jego twarzy i całą postać, wypukłe w słonecznej smudze odrzynającą się od tła lasu. Długo na niego patrzyła. Parę razy głowa jej zakolysała się jakby pod wpływem zdziwienia. Myślała może o niespodziance życia, która ją z tym człowiekiem niedawno nieznanym, dalekim zapoznała i tu z nim przywiodła. Potem we wpatrzonych w niego jej oczach zamigotały światła coraz żywsze i rozrzucony uśmiech rozchylił wargi. Coś snuło się w jej myśli i grało w sercu, snuło się coraz prędzej, grało coraz głośniejsze, aż blade rumieniec wypłynął na jej policzki, a czarne rzęsy nagle w dół opadły i zwilgotniały. Prędkim, prawie porywczym ruchem powstała i nie chcąc znać deptać Mogiły obchodziła ją dokoła, ku niemu idąc. Szła prędko i lekko; suche nieśmiertelniki i zeschnięte igły jodłowe szeleściły pod jej stopami. On szelest ten usłyszał, twarz ku polanie zwrócił, ramiona rozplótł i na spotkanie jej postąpił, ale zaledwie uczynił kroków parę, gdy ona przed nim stanęła i z pochylonym splecionym czołem, ze spuszczoną, wilgotną rzęsą podała mu obie ręce. Nie porywczym ani namiętnym, owszem, miękkim i nieśmiałym ruchem wziął je w szerokie swe dłonie i nisko schylony przyłgnął do nich gorącymi ustami. Gdy wyprostował się i ona podniosła powieki, oczy ich po raz pierwszy, odkąd się znali, utonęły w sobie długim, pełnym nieśmiałości żarów spojrzeniem, a potem z trudnością odwracając się od siebie, jednocześnie zwróciły się ku Mogile.

— Chodźmy — rękę pod ramię mu wsuwając rzekła Justyna.

— Chodźmy — powtórzył.

Skierowali się ku wyjściu z polany, a gdy szli jedno przy drugim, krokiem równym i jednostajnym, z twarzami trochę pochylonymi i mieniącymi się niemy wrzuceniem, można by mniemać — rzecz dziwna! — że w tym właśnie miejscu śmierci zdwojonym potokiem wezbrało w nich uczucie życia. Szli po przezroczystych przestrzeniach lasu, przez smugi światła i cieniów, okrążając miejsca zbyt gęstą paprocią obrosłe, stąpając najczęściej po miękkich mchach, jeżdżąc się gdzieś młodymi płonkami sosen i osin nakrapianych czerwonością brusznic<sup>128</sup> lub granatową czernością czernic<sup>129</sup>. Kilka minut milczeli. Justyna parę razy podnosiła wzrok na towarzysza swego, jakby przemówić chciała, lecz wnet spuszczała powieki. Znać w niej było nieśmiałość, która w wyrazie jej twarzy zastąpiła dumę albo raczej hardą odporność, z jaką od dawna i najczęściej stawiała przed ludźmi. Zdawać się mogło, że zdjęła z siebie jakiś obronny puklerz, że porzuciła ją wszelką troskę o ustrzeżenie swej ludzkiej albo kobiecej godności; że ufna i spokojna, nieśmiała tylko stała się wobec człowieka tego, który szczerze w szerokiej piersi wrzucenia swe zamykając, z głębokim uszanowaniem wiódł ją przez miejsca bezludne; który, tak jak ona, kochając naturę, znał ją lepiej i żył z nią ściślej niż ona; który w ukrytych przed światem głębiach parowu i boru ukazywał jej przedwiekowe grobowce i zapomniane mogiły. Czyżby przez głowę przemknęła jej myśl, że był on od niej wielowzględnie wyższym? Jakkolwiek dziwna, może niepojęta myśl ta komukolwiek wydać by się mogła, powstała ona niezawodnie w głowie tej kobiety, która wiele prawd życia znalazła w gorzkich wodach bólu i obrazy, przed którą życie podniosło znad wielu zjawisk utrudne zasłony. Myśl

<sup>128</sup>brusznica (gwar.) — borówka. [przypis redakcyjny]

<sup>129</sup>czernica (gwar.) — czarna jagoda. [przypis redakcyjny]

ta niezawodnie w głowie jej powstać musiała, bo nieśmiało zrazu i urywanymi słowami, a potem coraz ufniej i żywiej mówić mu zaczęła o tym, co było największą męką jej życia i co najgłębiej uczuwała na widok powszednich nawet prac ludzkich; cóż dopiero w obliczu wielkich, spełnionych zadań i poświęceń, z których wspaniałymi widmami oko w oko spotkała się u grobowca Jana i Cecylii i na Mogile. Tę mękę już od lat kilku sprawiała jej uczucie zupełnej, rozpaczliwej bezużyteczności własnej.

Skąd uczucie to w niej powstało? Rozumiała to dobrze, bo nieraz zastanawiała się nad tym długo. Powstało ono naprzód z doświadczeń życia, które serce jej opustoszyły z wielu marzeń i złudzeń; może jeszcze z jakichś myśli i dążeń czasu, które ją z dała dotknęły; może na koniec z tego, że była bardzo dumna. Ci, pośród których żyła, oskarżali ją o dumę. Słusznie. Była istotnie tak dumna, że głęboko upokarzały ją otrzymywane łaski i przysługi, których niczym odwdziżyć nie mogła, nade wszystko zaś dnie i lata, które upływały marnie, beczynnie. Porównywała siebie czasem do kamienia zalegającego darmo kawał pola, na którym by wyrosć mogła jakaś garść plonu. Wstyd i nuda. Ciężką nudą przejmowała ją co rana myśl o dniu, który rozciągał się przed nią pustym, bezcelowym szlakiem; z ciężką nudą co wieczór kładła się do spoczynku. Czuła w sobie często bunt młodości, zdrowia i sił, które ją porywały, prawie niosły ku jakimś żywym i trudnym poruszeniom ciała i ducha. Pragnęła iść, biec, komuś w czymś pomagać, na celu coś mieć, ku czemuś zmierzać; pragnęła czasem choćby kamienie z miejsca na miejsce przenosić, choćby piłę żelazną pochwycić i drzewo nią przerzynać, byle to tylko na cokolwiek przydać się mogło, byle rozgrzać stygnące dłonie a ochłodzić rozgorzałe czoło. Ale w jej położeniu i otoczeniu nie było dla jej sił i chęci miejsca żadnego. Stary ojciec wprawdzie potrzebował niekiedy jej usług, ale drobnych, niewiele czasu zabierających, z których najważniejszą było wspólne z nim granie. Zresztą, wszyscy w Korczynie oddawali się swym zajęciom, jej w nich udziału nie potrzebując, nie przyjmując. Ilekroć przemocą prawie wdrzeć się w nie chciała, uczuła się zawsze tym, czym by być mogło piąte u wozu koło. Nikt nawet nie przypuszczał w niej tej potrzeby serca, ciała i duszy, nikomu na myśl ona nie przychodziła. Była ubogą krewną domu, panną mogącą jeszcze wyjść za mąż, i czymże więcej być mogła? Dla zajęcia czasu miała książki, fortepian, przechadzki po ogrodzie, wizyty sąsiadów — czegoż więcej potrzebować mogła? Potrzebowała jednak, tak dalece, że po razy kilka niepokoiła ją myśl opuszczenia Korczyna i udania się gdzieś daleko, do jakiegoś miasta, w którym by znalazła pracę, niezależność, pełnię dni i cel życia. Ale, naprzód, miałabym z sobą na walkę i biedę zabierać ojca, tego rozpieszzonego starca, który w Korczynie czuł się jak w rajku albo go pozostawić na barkach krewnych, którzy sami wcale wolni nie byli od trosk i ciężarów? A potem, dziecię wsi, rozłączenia z nią lękała się tak, jak przeraźliwego rozłamania życia na dwie połowy. Raz tylko z panią Emilią była w wielkim mieście, które sprawiło na niej wrażenie ciasnoty, zaduchu, zamętu nie rozwikłanego i blasku nie mającego dla niej pojęty żadnej. Nie znała świata, jego stosunków i wymagań; do rzucenia się w jego chaos i boje brakowało jej odwagi. Na koniec i zdolnościom swym nie ufała bardzo. Nie należała do tych, którzy wyobrażają sobie, że wszystko potrafią; ani do tych, którym rojenia o stanowiskach wysokich sił i odwagi dodają. Namyślała się więc, wahała, wpadała w głuche buntury lub martwą apatię, a dnie i lata, jak błyszczące, lecz wewnątrz puste paciorki, staczały się w przeszłość...

O wszystkim tym mówiła coraz prędzej, żywiej, wzburzoną falą wyrzucając z ust zwierzenia, których dotąd nie czyniła nigdy przed nikim. Coraz śmielsza stawała się i coraz szerzej duszę swą otwierała, bo widziała, czuła, że ten, do kogo mówiła, słuchał jej także wszystkimi siłami duszy i rozumiał ją wybornie. Mimo woli ku niej pochylony, z wyjątkowym słuchem, ze skupioną uwagą, Jan od czasu do czasu czynił głową znaki potwierdzenia i zrozumienia.

— A tak! — wymawiał. — A jakże!... Naturalnie! To wszystko prawda!...

Raz, gdy umilkła, z namysłem rzekł:

— Wszystko to prawda. Smętnie to i wstydno bogactwa używać, a nie swego; wysoko stać, a nie na swoich nogach; młodym i silnym być, a jak w zgrzybiałej starości, żyć w wiecznym odpoczywaniu...

Innym razem jakby do siebie samego przemówił:

— Ani ptak, ani mysz... jak nietoperz!

Kobieta, Nuda, Praca

Bogactwo, Pozycja społeczna, Praca

W sposób ten uplastycznił przed sobą to zmieszanie bogactwa i ubóstwa, oświaty i nieuctwa, dość wysokiego stanowiska społecznego i zupełnej życiowej nicości, które ona sobą przedstawiała. Nigdy jeszcze nie czuła się tak zupełnie, tak nawet subtelnie zrozumiana, jak przez tego człowieka, który do jej życia i położenia przykładał miarę pracowitości i niezależności własnej. Powiedział nawet, że nie pojmuje, jak ona taką mękę wytrzymać może, bo gdyby jemu kazano po dniach całych z założonymi rękami siedzieć i kawałek chleba, dachu, surduta z cudzych rąk wyglądać, utopiłby się niezawodnie albo na pierwszej gałęzi powiesił.

— Dziecko albo stary, to co innego, ale jak pani do tej pory tak wyżyć mogła, dziw mnie bierze... bo, chwała Bogu, zdrowie i siła aż biją od pani i zdaje się, choć wiadra z wodą na plecy zarzucić, to by podniosła pewno...

Zaśmiała się i odpowiedziała, że najpewniej wiadra z wodą dźwigać by zdołała, skoro je dźwiga Antolka, dziecko jeszcze prawie i o połowę od niej szczuplejsza.

Ale on, choć nie pojmował możliwości takiego życia, za winę go jej nie poczytywał. Tak już urodziła się i tak już ludzie i zwyczaj zezwolił, że stała się jak nietoperz, ni to myszą przy samej ziemi biegającą, ni to ptakiem kołyszącą się pod obłokami. Dawno domyślał się, że nie była ona szczęśliwa; od ludzi to i owo o niej słyszał. Co słyszał? Nie powiedział tego wyraźnie, ale raz ręką gniewny gest uczynił i pomimo woli wybuchnął:

— Ot! Nie przyrodził się do ojca swego ten pan Zygmunt Korczyński!...

Urwał, zmieszal się strwożony, czy jej nie obraził, i z odwróconą od niej twarzą nieśmiało wytłumaczył, że ludziom gąb pozatykać nie można... gadali, a on dziwił się i przez ciekawość przypatrywać się jej zaczął, ile tylko razy zdarzyło się mu ją widzieć. A zdarzało się czasem. Ona go nie widziała, lecz on ją widywał to w kościele, to znowu kiedy z panną Martą albo z gośćmi na spacer szła. Popatrzył tedy na nią raz i drugi przez ciekawość, a potem wiecznie już patrzeć by żądał i ilekroć zobaczył, serce dzwonem w nim uderzało. Czyż on wie, dlaczego tak było? Może i nikt na świecie nie doszedł jeszcze i nie wytłumaczył, co w jednym człowieku dla drugiego taką przyjaźń wznieca, że gdybyś i widłami od siebie ją odpychał, powraca. Zdaje mu się jednak, że pierwszą przyczyną jego dla niej przyjaźni było to, że smętek i ubolenie w niej rozpoznał. Twarz człowieka zdradza to, co się w sercu kryje. Nieraz myślał sobie, że Pan Bóg dał jej tyle piękności i wysoko ją postawił, a szczęścia nie dał. A ile razy o tym pomyślał, jakby roztopiony lój do serca mu kapał, taką boleść w nim uczuwał i taką łzawość. Gdyby był mógł, byłby wszystko porzucił i na koniec świata skoczył po wodę gojącą dla niej, tak jej żałował. Ale o takiej wodzie bajki tylko gadają i nie ma jej wcale na świecie. Więc tylko, ile razy ją zobaczył, cały dzień potem albo śpiewał, albo miał ochotę zaśpiewać tę piosenkę:

Wyszła dziewczyna, wyszła jedyna,  
Jak różowy kwiat,  
Rączki załamała, oczki zapłakała,  
Zmienił jej się świat...

Raz, kiedy to ją wracającą z kościoła spotkał na drodze z panną Martą, popłynął ze stryjem na Mogilę i z przeciwnego brzegu w oknie stojącą ją obaczywszy nie mógł wytrzymać i tę piosenkę do niej zaśpiewał. Ale pewno ona wtedy ani patrzyła na niego, ani słuchała tego, co śpiewał...

Owszem, widziała go, pieśń, którą śpiewał, słyszała i od tego właśnie dnia zapamiętała i rysy jego, i głos tak wybornie, że potem spotkawszy go orzącego w polu poznała od razu.

— Nie może być! — z wybuchającą mu na twarz radością zawołał — to pani choć raz okiem na mnie rzuciła! A ja wtenczas myślałem, że nigdy tego szczęścia nie dostąpię!

Pochylił się trochę, w twarz jej spojrzął i taki ruch uczynił, jakby rękę jej pochwycił chciał. Ale dotknąwszy tylko rękawa jej sukni, ramię w dół opuścił, wyprostował się i z głębi piersi głośno odetchnął. Zarazem, jak najczęściej bywało, kiedy uczuwał się zmieszany lub wzruszony, przelotne spojrzenie rzucił w górę. Justyna w tej chwili ku niemu wzrok podniosła i już go przez kilka sekund nie spuszczała. Spostrzegła, że gdy tak patrzył w górę, błękitne oczy jego wydawały się nalane po brzegi roztopionym srebrem.

Wtem stanęli. Przed stopami ich, bładożółtym pasem zieloność trawy i mchu przerynąc, wśród grubej warstwy białego, drzewnego mialu leżała na wpół obrobiona gruba kłoda drzewa.

— A! — stając przed tą przeszkodą zadziwił się Jan — w tamtą stronę idąc koło tej kłody nie szliśmy!

— Nie szliśmy — potwierdziła Justyna.

Rozejrzał się dokoła.

— Co mnie stało się? Zdaje się, że dobrze ten bór znam, a nie tędy, kędy trzeba, panią powiodłem. Ślepotą jakaś na mnie napadła... żeby jeszcze, broń Boże, deszcz nas nie złapał...

Pilnie teraz patrzył na niebo, które nad drzewami tu i ówdzie już tylko ukazywało małe kawałki błękitu zza chmur łączących się w coraz większe i ciemniejsze płachty. U spodu boru pogasły wszystkie niedawno tak świetnie igrające światła słoneczne, a po szczytach jego wiatr przelatywał krótkimi jeszcze, urywanymi szmerami. Ptastwo ze zdwojoną żywością świegotało i gałęzie napępniły się trwożliwym fruwaniami skrzydeł. Jan chwilę jeszcze rozglądał się po lesie.

— Niewielka bieda! — rzekł. — Niezupełnie złą drogą my poszli, tylko dłuższą. Teraz trzeba nam ciągle na prawo iść, to za kwadrans na brzeg wyjdziem, wprost naszego czółna, i przez piaski już przechodzić nie będziemy.

Przeskoczył kłodę i wyciągnął rękę, aby do przebycia jej pomóc towarzysze. Ale ona już także znajdowała się po drugiej stronie i tylko suknią zaczepiła o gałąź zgnieczonego przez obalone drzewo jądłowcu. Pochylił się, w mgnieniu oka przezroczysty zwój muślinu uwolnił od czepiających się go kolców i błyskawicznie prędko do ust go przycisnął. Justyna tego spostrzec nie mogła, tym bardziej że wnet prostując się, omglonym, lecz pozorowo obojętnym wzrokiem po lesie rzucił i tonem przedmiotowo czynionej uwagi rzekł:

— Piękne drzewa! Pan Korczyński dobre pieniądze mógłby wziąć, gdyby ten las sprzedał. Ale ot, nie sprzedaje jakoś...

Po chwili mówił dalej:

— Do nas też piękny kawałek tego lasu należy, to jest, nie do stryja tylko i do mnie, ale wspólnie do całej okolicy. Wszyscy mają prawo w nim rąbać, a że w tym rąbaniu żaden porządek zaprowadzony nie jest, powstają z tego kłótnie i niezgody. Las niszczą tak, że za lat kilka śladu po nim nie zostanie, i między sobą za włosy się o niego ciągną. Z panem Korczyńskim też z racji tego lasu ciągle wojny idą i żeby on dobry był, toby już dawno zamianę jaką z nami uczynił, czy tam pewne rozgraniczenie jakie, byle po sądach siebie i ludzi nie włóczyć. Jeszcze by i nam do zaprowadzenia porządku dopomógł. Ale on i gadać z nami nie chce, chyba z przyczyny interesu jak do psów zagada, a inszym razem spotkawszy się i nie spojrzy nawet na człowieka, jak wilk w ziemię patrzac...

Rzucił ręką i usta trochę wyduł.

— Co tam o tym gadać! Każdy teraz o sobie tylko myśli i siebie kocha. Pan Korczyński podobno inszy był kiedyś, a potem go coś odmieniło... nie wiadomo tylko, co takiego!...

Justyna próbowała bronić krewnego i opiekuna, o jego uciążliwej pracy gospodarskiej i majątkowych kłopotach opowiadając, ale przed tym sercem świeżym i nienawiścią nie zatrutym długo bronić go nie potrzebowała.

— Pewno! Pewno! — twierdząco wstrząsając głową powtarzał Jan — utrapienia i aprensje<sup>130</sup> złość w człowieku rodzą. Ja sam, pamiętam, kiedy kilka lat temu Fabian mnie prześladował, na kłótnie wciąż wyzywał i pole moje jak swoje zaorywał, w taką złość wpadłem, że do domu przyszedłszy garnek, co na stole stał, o ziemię cisnąłem i roz-tłukłem, siostrę, małą jeszcze, złajałem i stryjowi jeżem się postawiłem. A wszystko to uczyniłem nie dobrowolnie, tylko przez niecierpliwą zgryzotę i aprensje. Często cierpiąc, zdarza się, że nie ścierpisz!...

Opowiadał, że w okolicy żyjąc wiele zgryzot i krzywd przenieść trzeba. W jednym gnieździe niejednaki ptak się lęgnie. Szczenięta od jednej psyicy urodzone niejednostajne mają przyrodzenie. Tak samo i między ludźmi. Są w okolicy ludzie dobrzy i spokojni, są

Las, Chłop, Szlachcic,  
Dwór, Wieś

Cierpienie

Konflikt, Wieś, Własność

<sup>130</sup>aprensja — właśc. *aprehensja*: nieokreślona obawa przed czymś, co ma się zdarzyć, podejrzenie, lękliwość, smutek. [przypis redakcyjny]

i tacy, co jak psy rozjadają się na sąsiadów. Ale najwięcej złych jest dlatego, że mało mając, z chciwością ubijają się o więcej i blisko siebie żyjąc, fałdów jeden drugiemu przysiaduje.

— Pijactwa pomiędzy nami nie ma ani rozpusty nijakiej, ani złodziejstwa. Chatę choć na cały dzień otworem zostawić można, a nikt marnego węgla z pieca nie wyjmie. Za toż każdą grudkę ziemi jeden drugiemu z gardła by wydarł, a za najmniejszą szkodę albo ubliżę do czubów się biorą lub do sądów ciągną. O szkodę zaś i ubliżę łatwo tam, gdzie zagony jak groch w worku mieszane, a okno w okno patrzy...

Stryj i on sam zatargów i procesów, jak tylko mogą, unikają, po prostu za wstyd je poczytując, a także i dlatego, że smaku ani też pożytku w nich nie znajdują. Hojniejsza jedna garść z pokojem niżeli dwie z wojną. Lepiej z małego garnuszka jeść w spokojności, niż morze wychleptać ze zgrzyzotą. Cukru garścią nie jedzą, ale niedostatku nijakiego nie cierpią. Prawda, że za bogatych w okolicy uchodzą, a to z tej racji, że gospodarstwo do nich dwóch tylko należy, raczej do stryja, ale to już wszystko jedno. Przy tym i ziemi mają sporo, morgów dwadzieścia. Trzech tylko w okolicy gospodarzy tyle jej ma, ale za to większe u nich gromady, jak u Fabiana na przykład: dusz siedem w domu. Inni daleko mniej mają: po dziesięć, osiem, pięć morgów, a i tacy są, którzy, jak na przykład Ładyś, i ćwierci beczki na swojej ziemi nie wysiewają. Co dziwnego, że w cudze lażą? Pusty żołądek mruczy. I u nich kiedyś bieda była, kiedy stryj był chory, a on jeszcze mały i nie bardzo do czego zdatny. Teraz zaś to już nie tylko że dobrze sobie żyją, ale i Antolka dostanie posag jak za mąż wychodzić będzie, nieduży, pięćset rubli, ale Michałowi, który i bez tego by ją wziął, wielką tym pomoc przyniesie, a zawsze później większej poszany<sup>131</sup> i od męża, i od jego rodziny doświadczy, jeżeli się choć małą rzeczą do wspólnego dobra przyczyni. Dziewczyzna też zasłużyła na to, bo pracowita i choć taka młoda, ze wszystkiego korzyść ciągnąć umie: z krów, z ptastwa, z przedziwa, z tkanin. Krów mają cztery, owiec dwadzieścia; więcej mieć by potrzeba, ale z wypasem i łąką bieda. Dwie ciężkie biedy okolica przynosi, jedną, że łąk i wypasów za mało ma, a drugą, że woda nadmiar krwawa. Zresztą, praca około gospodarstwa nie Bóg wie jaka; człowiek się nią nadwreżyć nie może. Bywają *czasy borowania* i *czasy odpoczywania* — w zimie na przykład. Robota i wtedy jest, ale nie ciągła; wieczorami to już chyba tam kto około stolarstwa majstruje, inni siecie na ryby wiążą, jest jeden, co obuwie szyje; zresztą, zbierają się po takich domach, gdzie świetlice największe, grają na harmonikach i skrzypcach, śpiewają, czasem tańczą, czasem czytają. Czytaliby więcej i częściej, ale te książki, co u stryja są, dawno poprzczytywane a insze...

Tu przerwał mówienie i niespokojnie obejrzał się za siebie. Z głębi boru leciał i kulą w powietrzu toczyć się zdawał szum do głuchego turkotu podobny. Wierzchołki sosen zakolysały się i gałęzmi jak wachlarzami poruszyły; na dno lasu niby welon z ciemnej krepki spadł zmrok szarawy, wszędzie jednostajny i gdzieniegdzie smugami krwistych światła błyskający. Ptastwo znieruchomiało, ucichło, z rzadka tylko odzywając się urywanym ćwierkaniem; miarowe pukanie dzięciołów i żółn ustalo; w krzakach i pod paprociami słychać było pośpieszny szelest owadów; wiewiórka wbiegająca na wysoką sosnę zatrzymała się w połowie drogi i, na sęku zawieszona, z odwróconą głową, czarne, złęknione oczy w pociemniałą ziemię utkwiała. Nad kołyszącymi się czołami i powiewającymi gałęzmi drzew niebo uszło się puszystą, wzdętą szarością; wrony pod nim chmurą przeleciały, przeraźliwie zakradały i skryły się wśród ruchomych szczytów, nagle milknąc przed toczącym się w głębiach boru szumem i turkotem. Jan niespokojnie na Justynę spojrzął.

— Burza nadlatuje. Czy pani nie lęka się? — zapytał.

Odpowiedziała, że trwogi najmniejszej nie czuje, i ciekawie rozglądała się w szczegółach ponurego w tej chwili obrazu przyrody. Jednak wywierał on znać na nią wrażenie mimowolnej obawy czy przygnębienia, bo zbłądła trochę i pod muślinową suknię lekki dreszcz przebiegł jej ciało. Jan rozpaczliwym gestem rękę do głowy poniósł:

— Głupiec czy wariat ze mnie! — zawołał — żeby w lesie zbłądzić i panią na trwogę albo i na przeziębienie narazić...

Wnet jednak poskromił wzruszenie swe i zimną krew odzyskał.

— W lesie pozostać na żaden sposób nie można, bo zaraz wichur gałęzie z drzew strącać zacznie, a niejedne cieńsze, to i z korzeniami z ziemi wyrzuci. Lepiej już płynąć.

<sup>131</sup> *poszana* — poszanowanie, szacunek. [przypis edytorski]

Wojna

Wieś

Burza

Z wodą czółno strzałą poleciał... minut dziesięć, i pod okolicą staniem. Ulewy może i nie będzie albo bardzo krótka, bo chmury ptakami lecą, a choćby i była, lepiej dostać na głowę wiadro wody niż sosnę. Chodźmy prędko!

Ostatnie dwa wyrazy nagłaco wymówił i wzięwszy rękę Justyny w swoją, ku brzegowi lasu bieć prawie zaczął. W parę minut stanęli na wąskim, kamienistym wybrzeżu, za którym rzeka, tak jak niebo ciemna, gwałtownym wiatrem gnana, toczyła fale wzdęte, w regularne fugi wyrzeźbione, białe plamy piany wyrzucające. Jan skoczył do czółna, silnym pchnięciem z piasku na wodę je zsunął i wiosłem u brzegu zatrzymując, do Justyny zawołał:

— Proszę!

Zawahała się. Spojrzała na wzburzony szlak rzeki, na małe czółno, które pod silnie przyciskającym je wiosłem woda rwała i targała; pobladła więcej jeszcze i nie wiedziała, co począć. Brwi Jana ściągnęły się nad oczami, z których strzelił błysk zniecierpliwienia.

— Tu czasu do medytacji nie ma. Proszę do czółna siadać! — wymówił, a głos jego w szumie i huku wiatru brzmiał stanowczo, prawie rozkazująco.

Wahanie Justyny zniknęło bez śladu; podbiegła do czółna, wskoczyła w nie i na dnie jego usiadła. On szybkim ruchem zgarnął jej pod głowę wyścielające czółno gałęzie topoli i szybko, ale łagodniej już przemówił:

— Proszę nie lękać się. W różne ja pory i nie w takie burze jak ta po Niemnie jeździłem, a pływać umiem prawie jak ryba...

Widać było po niej, że lękać się przestała. Z siły jego wiała się w nią ufność. Ale w tej chwili huk i turkot wichru zleciał już na brzeg boru, rozległ się suchy trzask łamiących się gałęzi i zaskrzypiały rozkołysane sosny, a przestrzeń, od skłonu do skłonu widnokregu, od ciemnego nieba do ciemnej wody, stanęła jedną gęstą i z każdą sekundą przybierającą deszczową mgłą. Justyna znowu od głowy do stóp zdrżała.

— Niewzwycajona — szepnął Jan — jak dzieciątko!

Błyskawicznym ruchem zdjąwszy siermiżkę swą, rzucił ją na towarzyszkę, którą okryła ona od szyi do stóp, a sam u dzioba czółna stojąc, wiosłem o wodę uderzył. Wicher szalał, ciemne chmury pod niebem białą płachtą zaciągniętym ptakami leciały, z rzadka rozsiane grusze i wierzybki wściekle miotły się nad wysokim, żółtym brzegiem. Z drugiej strony stał bór kipiący w głębi, lecz na zewnątrz nieruchomy jak kamienna ściana, a po ciemnym, wzdętym, białymi plamami usianym szlaku rzeki czółno strzałą mknęło, wciąż ukośnie, ukośnie, po falach puszczane, boki im umykając, a dziobem je porąc. Nie było samotne; przed nim, w ten sam jak ono sposób, mknęło drugie, trzecie, czwarte; rybacy to uciekali do domów przed gwałtownym wybuchem przyrody, a na spotkanie tych niby lotnych, czarnych ptaków ciężko z przeciwnej strony sunęły, do wodnych potworów podobne, rudłami<sup>132</sup> jak olbrzymimi płetwami o wodę uderzające, ciężkie, splakaną żółtością wśród powszechnej szarości smutne płyty.

W niespełna kwadrans, jak to przepowiadał Jan, ukazały się nad wysoką górą domy i drzewa okolicy. Rybackie czółna stały już na piasku wybrzeża; w przeredzającej się mgłę deszczowej widać było rybaków spokojnym krokiem wchodzących na górę; za jednym z nich, najbarczystszym i na burzę najobojętniejszym ciągnął się ze spuszczonego ku ziemi pyskiem i ogonem czarny, zmokły pies.

Kiedy Justyna stanęła na wybrzeżu, gwałtowny krzyk, który wydała z siebie przyroda, uciszał się, a płacz jej ustał. Wichrem przygnane chmury wicher przeniósł i pędził coraz dalej po jednej połowie sklepienia, którego druga połowa oblekła się nagle promiennym błękitem i zajaśniała tarczą słoneczną, czystą, wielką, zawieszoną nad zalegającym zachodni skłon nieba pasem roztopionego złota. Pas ten odbił się w rzece, która popłynęła szafirem i złotem, a nad nią z sunących wciąż powoli rozjaśnionych płytów podniosły się kręte, złote sznury dymu. Zielona góra z okrywającym ją rysunkiem ścieżek stanęła cała w kryształowych kropkach, drgających i świecących na każdym źdźbłę trawy i na każdym liściu chwastów. U szczytu jej wybuchnął świegot ptactwa i z dołu dostrzec można było w napełnionych światłem gałęziach drzew, które u góry rosły, tańczące z radości wróble, pliszki, szczygły i makolągwy<sup>133</sup>. Wiatr słabł, opadał, cicho jeszcze i z lekka dmąc w jed-

<sup>132</sup>rudel — wiosło. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>makolągwa — niewielki ptak śpiewający. [przypis edytorski]

nią stronę; chmury klębiąc się i mieszając naprzeciw słońca zwiły się w wał półkolisty i srebrem obłany.

Po jednej z krętych ścieżek Justyna wstąpiła na górę i u połowy jej pod rozłożystą topolą stanęła. Jan czólny na piasek ściągnął i kilku skokami przy niej się znalazł. Niespokojny wydawał się i zakłopotany; cienia uśmiechu na twarzy jego nie było. W przemokłej koszuli, ze zmokniętą siermięgą na ramieniu, szybko oddychając, od razu kilka pytań rzucił:

— Przestraszyła się bardzo? Zmokła? Może przeziębila się? Zdrowiu może zaszkodzi?

Ale dość było jednego na nią spojrzenia, aby zrozumieć, że nie dręczącą wcale, lecz może rozkoszną chwilę przeżyła. Odkąd usiadłszy w czólnie w oczach jego blask odwagi a w ramieniu wznoszącym się do walki siłę i zręczność ujrzano, wszelka trwoga w niej znikła, a natomiast przenikała ją do głębi słodycz zaufania. Ufała mu. Gdy stojąc u steru czólna, z brwią ściągniętą, z całą duszą w oczach skupioną, ku wodzie nieco schylony, wiosłem odpędzał żywioł napastniczy i na wodnym bezdrożu niezawodnie torował drogi, wydawał się jej samą śmiałością i siłą; uczuła się także śmiała, silna, dumna nim i tym, że zaufać mu potrafiła. Oprócz tego wydawał się on jej i samą dobrocią. Pod gęstą mgłą deszczową z trudnością powieki podnosząc widziała jednak kilka szybkich, zmartwionych, troskliwych spojrzeń, jakie na nią rzucił, i razem z ufnością wdzięczność nieskończona dla tego serca, które tak prosto i szczerze słało się pod jej stopy, upoiła jej serce. Upojona i szczęśliwa stała pod topolą upewniając go, że nie przelekła się, nie zmokła, nie przeziębila, i tego tylko żałuje, że wycieczka ich dłużej nie trwała.

— To i chwała Bogu! — zawołał.

Widząc ją zdrową i wesołą uspokoił się zupełnie. Widział też, że nie przemokła wcale. Siermięga jego była tak gruba i choć na nim wydawała się krótka, ją tak dobrze osłoniła, że deszcz suknię jej tylko przejął wilgocią. W zamian, mokre włosy zdwojonym ciężarem na kark jej spadały. Wstrząsnęła głową; luźny i w czasie burzy więcej jeszcze rozluźniony węzeł rozwinął się i czarną, wilgotną falą okrył jej plecy. Może sama nie czuła tego, że była w tej chwili zalotna. Ale on do tych opadłych, falistych zwojów przylgnął rozgorzałymi oczami i o krok za nią cofnięty, rękę ku nim wyciągnął, cofnął ją, wyciągnął znowu i lękliwie dotknął ich miękkiej, błyszczącej gęstwiny.

— Że też to Pan Bóg takie cudności stwarza!

Szept ten razem z jego gorącym oddechem ucho jej musnęło, na włosach uczuła dotknięcie jego ręki; w tył nieco głowę odgięła i nieruchoma stała, z twarzą różową a wzrokiem utkwionym w szeroki pas złoty, który pod tarczą słońca zdawał się na oścież rozświetlać błękitne niebo.

Wtem na tym tle złotym zamajaczyły białe, skrzydlate plamy lecące nad rzeką, to niżej, to wyżej, ku zielonej górze. Były to ptaki dziwne i piękne, duże, niepokalanie białe, szerokoskrzydłe, z dziobami i nogami ognistej barwy. Ze dwadzieścia ich było; wyglądały jak napowietrzne lilie o ognistych łodygach i strzałach. Od stóp zielonej góry wzbily się wysoko i ciężkie, milczące, poważnym, lekko szumiącym lotem popłynęły dalej, dalej, znad wody splaszczając małe woda wobec nich i trwożliwie przed nimi uciekające rybitwy.

Justynę ciekawość o parę kroków naprzód rzuciła. Wydała okrzyk zdziwienia; pierwszy raz w życiu ptaki te widziała.

— To są morskie wrony — zmałym głosem wytłumaczył Jan — czasowe u nas ptaki i rzadkie. Nie każdego roku przelatają one tędy; podczas i kilka lat ich nie widać, potem pokażą się znowu, przelecą i polecą Bóg wie dokąd!

Z zadumą za śnieżnymi ptakami okiem powiódł.

— Ciekawość podczas człowieka ogarnia dowiedzieć się czego o tych stronach dalekich, do których ptaki latają... Żeby choć w książce albo w rozpoviadaniu jakim zobaczyć te morza, te kraje, te cudności i dziwy...

— Razem o nich czytywać będziemy. Czy dobrze?

Wszystkie promienie słońca w źrenicach mu zaświeciły.

— Żebyż to kiedyś nastąpiło! Żeby to doprawdy...

Wiatr powiał; topól zasumiała i strząsnęła na nich krótką ulewę kropel. Roześmieli się oboje głośno, jak dzieci.

— Chodźmy do chaty! — zawołał Jan.

Kobieta, Mężczyzna, Siła

Kobieta, Mężczyzna, Uroda

— Chodźmy! — ochotnie powtórzyła Justyna. Szereg lip na podwórku Anzelma i Jana stojących raz jeszcze osypał ich chłodną rosą, zanim stanęli przed otwartym oknem przeciwnika, czyli izdebki, którą Anzelm celą swoją nazywał.

## V

Pod otwartym oknem, na podługowatym, prostym stole, na kilku książkach w zniszczonej oprawie stała lampka z wysokim kominkiem; przy glinianym dzbanku i szklance z zielonawego szkła leżał wśród grubych okruch nie dojedzony kawał razowego chleba.

— Już kiedy okno otworzył i chleb jadł, to prędko i odżyje — szepnął Jan.

W głębi izdebki, pod ścianą okrytą cienkim i chropowatym pokładem wapna, na tapczanie zasłanym kraciatą, domowego wyrobu kołdrą Anzelm w kapocie i butach na wznak leżał, z jednym ramieniem bezwładnie wzdłuż ciała spoczywającym, a drugim na głowę zarzuconym. Szeroki rękaw kapoty zakrywał całkiem górną część jego twarzy i widać było spod niego tylko bladoróżowe, siwiejącym wąsem ocienione usta. Układ tych ust był tak surowy, jakby wnet otworzyć się one miały dla wydania słów gromiących albo gniewnego czy rozpaczego okrzyku. W górze nad leżącym w martwej nieruchomości człowiekiem blado błyskały ramy świętego obrazu i szaro majaczyły wizerunki rycerzy, cierniową koronką zwieńczone.

— Żeby teraz z fuzji mu nad głową wystrzelić, ani poruszy się, ani przemówi, i żadne prośenie albo krzyczenie nic pomoże. Sam przez się potem dźwignie się i odżyje...

Odeszli. Z małego ganku, gzymsem w grube floesy wyrzeźbionym otoczonego, widać było ciemną sionkę, w której stały żarna, i przez drzwi otwarte w kuchni czysto wymiecionej dwie naprzeciw siebie u białego sosnowego stołu siedzące na stołkach dziewczyny. W niedzielnych sukniach bijących w oczy morderową<sup>134</sup> i granatową barwą, w obcisłych stanikach i kolorowych kokardach u szyi, łokciami o stół oparte, głowy owinięte gładko uplecionymi warkoczami pochylały one ku sobie szepcząc o czymś z żywieniem i bez ustanku. Pomiędzy nimi leżał na stole zaledwie rozpoczęty bochen chleba i stał gliniany, czarny garnek, z którego one drewnianymi łyżkami czerpały gęsty, biały chłodnik, z mleka, octu i posiekanej boćwiny<sup>135</sup> złożony.

Ujrawszy wchodzącą Justynę powoli wstały, do progu podeszły, a gdy im ona rękę na powitanie podała, Antolka dotknęła jej nieśmiało i z krótkim dygiem. Elżusia zaś ścisnęła ją tak silnie, że aż całym ramieniem zatrzęsała, i wnet zagadła:

— Panienska znowu do nas przyszła! Bardzo słusznie. Nam bardzo jest miło panienkę widzieć.

Uśmiech, z którym to mówiła, przyjacielski był i wesoły, ale oczy jej, tak jak u Fabiana, małe i błyszczące, zdawały się ze złośliwą trochę ciekawością prześwidrowywać twarz przybyłej i złośliwie też zerknęły za znikającym w drzwiach świetlicy Janem.

— Proszę usieść — przemówiła młodsza z dziewcząt. — Czy Justynka nie bardzo zmokła, w deszcz z Mogiły wracając?

— Oho! — zadziwiła się Elżusia. — Większa poufałość niż znajomość po imieniu panienkę nazywać...

Antolka zawstydziła się i twarz ku ścianie zwróciła.

— Kiedyż prosiła... — szepnęła.

Justyna cienką jej kibić ramieniem otoczyła i w zarumieniony policzek pocałowała.

— Suknia mi tylko zmokła, ale chętnie ogrzałabym się przy ogniu...

— To ja zaraz rozpalę!

Skoczyła i kilka polan z sionki przyniosła.

— Poczekaj — zawołała Justyna i z lekka ją usunąwszy, sama przed piecem na podłodze przysiadła i ogień rozniecać zaczęła.

— Oj, oj! Nie potrafi! — na całe gardło zaśmiała się Elżusia.

— Potrafię. Nie święci garnki lepią! — odpowiedziała Justyna.

— Bardzo słusznie, tylko że panienska nie do tego stworzona!

— Ot, widzicie, że już się pali...

<sup>134</sup>*morderowy* — brunatnoczerwony. [przypis redakcyjny]

<sup>135</sup>*boćwina* — młode liście i łodygi buraków. [przypis edytorski]



Kawał brzozej kory płonął istotnie w piecu i językami ognia suche polanka obejmował. Popielaty królik spod pieca wyrzał. Justyna wzięła go w ręce i ułaskawione, łagodne stworzenie wnet do piersi jej przyłgnęło. Za tym pierwszym ukazał się drugi, trzeci, czwarty i wszystkie zwinąwszy się w jeden jedwabisty, pstrokaty kłębek, czarnymi oczami w czerwonych oprawach na nią patrzyły.

— A my o paniencie tylko co mówimy. O wilku mowa, a wilk tu. Bardzo słusznie!

— Ona do Justynki ma wielką prośbę — kruczkiem<sup>136</sup> drzewo w piecu poprawiając uśmiechnęła się Antolka.

Elżusia łokciem ją trąciła i dłonią usta zamknąć chciała. Ale Antolka chichocąc i głowę odwracając, rękę jej odepchnęła.

— Ona Justynkę chce na wesele swoje prosić. Mówi, że wesele większy dla niej walor będzie miało, jeżeli Justynka i młody pan Korczyński na nim będą. I w oczach ludzkich to jej wielką promocję zrobi<sup>137</sup>. Młodego pana Korczyńskiego sam Fabian zaprosi, choć długo ani słuchać o tym nie chciał, ale on ambicjant<sup>138</sup>, więc sam nie żartem żąda panów w chacie swojej przyjmować.

Wesele to odbyć się miało w parę tygodni po żniwach, około Matki Boskiej Zielnej. Fabian przed tygodniem na oględziny domu i gospodarstwa konkurenta jeździł i wszystko dobrze znalazł; niezupełnie dobrze, bo w chacie gromada spora, matka, dwóch braci, siostra, ale za to ziemi u nich morgów<sup>139</sup> z piętnaście, inwentarz piękny, bo aż dwadzieścia sztuk bydła, i familia bardzo porządna: matka Giecoldówna z domu, jeden z braci ekonomem u panów różnych służył, a teraz żeni się z Zaniewszczanką, aż tysiąc rubli posagu bierze i zaraz folwark jaki w dzierżawę weźmie.

— A pan młody? — zapytała Justyna.

Dziewczęta znów zachichotały.

— Taki młodzieńki... — szepnęła Elżusia i rozrzewnienie nappełniło jej małe błyszczące oczki.

— Może więcej nie ma jak dwadzieścia jeden rok, i w soldaty nie pójdzie, bo dwóch starszych braci już w wojsku odsłużyło — rozgadała się Antolka. — Ładnieńki sobie, tylko że bardzo maleńki...

— A ty by chciała, żeby na świecie same takie herody byli, jak twój Michał! — ujęła się Elżusia. — Niech będzie sobie maleńki, ale milusieńki...

Znowu rozrzewniła się, aż lzy jej w oczach stanęły, lecz zaraz potem opowiadać zaczęła, że ociec jej sześćset rubli posagu przyrzeka, ale od razu dać nie może, bo pieniędzy nie ma. Więc połowę da gotówką, a na drugą połowę weksle wyda. Już to z familią narzeczonego umówione.

— Ale wesele to już huczne sprawi, taki ambicjant! — wykrzyknęła Antolka.

I wyprawę śliczną dostanie. Pościeli i bielizny cały kufer złożyła dla niej matka, a ojciec, jak do miasta jeździł, przywiózł jej kaszmiru<sup>140</sup> na suknię, prawdziwego czarnego kaszmiru, a to już jest najpiękniejsza suknia, jaka na świecie być może. I drugą jeszcze mieć będzie, morderowego koloru, ale tańszą...

O strojach mówić zaczęły. Justyna dopytywała się o cenę sukien, które na sobie miały, kto je szył, czy w święta je tylko noszą albo czasem i na co dzień? Teraz już obie rozgadały się jak czeczotki. Suknie im krawiec szyje. Żydek w miasteczku; mają takich po jednej, po dwie najwięcej, i noszą je tylko w święta. Na co dzień nie używają inszych, jak te, które utkają same, a która więcej i ładniej utka, tej sława i honor. Żadna dziewczyna w okolicy tyle strojów nie ma, co Domuntówna. Bransolety nawet ma, złotne kolczyki i pierścionki, bo i bogata jest, sukcesorką całego dziadowskiego gospodarstwa będąc, i Jankowi nadmiar przypodobać się pragnie. Ale Janek wcale na jej suknie z ogonami i złotne ozdoby nie patrzy; nawet mniej upodobanie w niej znajduje, odkąd nimi popisywać się zaczęła. Raz, jak na hurbie (tak się u nich zebranie z tańcami nazywa) w broszce i kolczykach przyszła, a złotnymi bransoletami tańcząc dzwoniła, cygańskim koniem ją nazwał. Dla tej przyczyny

<sup>136</sup>kruczek — tu: pogrzebacz. [przypis redakcyjny]

<sup>137</sup>zrobić promocję — przysporzyć popularności. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>ambicjant — osoba ambitna, z dużym poczuciem własnej godności. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>morga — dawna miara gruntu. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>kaszmir — miękka tkanina z wysokogatunkowej wełny kóz kaszmirskich (Azja). [przypis redakcyjny]

tak ją nazwał, że Cyganie zawsze swojego konia we wszelakie błyskotki i dzwonki ubierają. Przy tym opowiadaniu aż zanosily się obie od śmiechu. Justyna śmiała się także.

Kiedy Jan, zdjawszy z siebie przemokłą odzież, w kurcie z domowego sukna i z wywiniętym na nią kołnierzem białej i cienkiej koszuli wszedł do kuchenki, gwarno w niej było i wesoło. Antolka przed chwilą do bokówki była wbiegła i wyniosła z niej tak wielki pęk tkanin, że aż ugięła się pod jego ciężarem. Rzuciła go na stół i teraz wszystkie trzy oglądały te wyroby jej rąk; suknie, dywany, kołdry mieniące się najróżnorodniejszymi barwami i wzorami, pasiaste, kraciaste, nakrapiane, z czystej i z lnem pomieszanej wełny. Jan siostrę o matkę zapytał. Powiedziała mu, że do Starzyn poszła, do męża, a jutro raniutko powróci jeszcze na dni kilka, aby im żąc pomagać. W Starzynach grunta niskie, więc żniwa późniejsze, dlatego może ona przy żniwach dzieciom pomagać, a potem do swoich w porę doskoczyć. Dwie mile ujdzie dziś w jedną stronę, a dwie jutro z powrotem i z sierpem na polu stanie, jakby nie pięćdziesiąt, ale dwadzieścia lat miała.

— Chwała Bogu za taką starość — zauważył Jan — a z tej racji jest ona taka, że matka zawsze wesoła była i żadnych aprensji<sup>141</sup> do serca nie dopuszczała. Ale nie każdy z takim charakterem urodzić się może...

Drzwiczki od przeciwka, w kącie kuchni umieszczone, a tak wąskie, że prawie ich widać nie było, otworzyły się po cichu i ozwał się zza nich głos Anzelma:

— Czy mi się tylko tak wydało, czy doprawdy głos panny Justyny usłyszałem?

Justyna żywo ku drzwiczkom podbiegła.

— Przez próg nie witam! Przez próg nie witam! Bo niezgoda jaka mogłaby z tego pomiędzy nami wyniknąć, a ja sobie niezgody z panią nie życzę... nie życzę! — z rzadką u niego żywością i żartobliwością zawołał gospodarz domu i w kapocie, zza której grubego kołnierza widać było koszulę u szyi tasiemką związaną, wysoki próg przestąpił. Justyna w obie dłonie rękę jego wzięła i chwilę milcząc na niego patrzyła. Więc był to ten sam człowiek, któremu na piaszczystym pagórku Marta niegdyś święcony medalik u szyi zawiesiła i który potem, z twarzą uczernioną, z potokami wody ściekającymi z włosów i odzieży... Pierwszy raz zobaczyła go bez czapki. Czoło miał białą i cienką skórą powleczone, wysokie, z mnóstwem zmarszczek, które snopem leżały pomiędzy brwiami i stamtąd cienkimi niemi rozchodziły się po całym czole aż do przerzedzonych, siwiejących włosów.

Antolka podbiegła i w rękę go pocałowała.

— Jeszcze dziś pierwszy raz stryjka widzę! Dopilnował tej minuty, kiedy po wodę poszłam, i wtedy do kuchni przyszedł, aby sobie kawałek chleba ukroić. Przychodzę do domu, chleb na stole, a drzwi od przeciwka znów zaszczepione... Wszystko zaś dlatego, żeby nie widzieć się z nikim...

— Taka już mnie czasem oblega zgryźliwość, że i najmiłszy staje się niemiłym — odpowiedział Anzelm i mocniej niż zwykle ściskając rękę Justyny, uważnie, prawie badawczo na nią patrzył.

— Żęła podobno wczoraj na naszym pólku? Dziś na Mogiłę z Jankiem jeździła? A? — uważnego tego wzroku z niej nie spuszczać przemówił. — Nowiny, prawdziwe no... no... no... winy! — jękając się dodał jeszcze i uśmiech przyjazny, prawie radosny otworzył mu usta i rozszedł się po całej twarzy, aż na wysokie czoło, którego zmarszczki wyciągnęły się jak ukośne promienie. — Proszę, do świetlicy proszę! Kto widział gościa w kuchni przyjmować? Chata nasza niska, ale nie ciasna, nie ciasna!

Jedną ręką poły kapoty u piersi przytrzymując, drugą na drzwi ukazywał i parę razy jeszcze powtórzył:

— Proszę! Proszę do świetlicy!

W kuchni znajdowało się troje drzwi, z których jedno, zwykłych rozmiarów, otwierały się do sieni, a dwoje innych, wąziutkich i niskich, prowadziło do przeciwka i do bokówki. Justyna zawahała się, niepewna, w którą stronę iść jej wypada, stary to spostrzegł, ramię jej podał i przez sień do świetlicy prowadził. Niegdyś, niegdyś widywał w korczyńskim dworze w ten sposób prowadzące się pary i sam od obiadów, od wieczery wstając podawał ramię wysokiej, czarnookiej, wesołej pannie.

Świetlica była izbą niską, lecz bardzo obszerną, bo więcej niż połowę całego domku zajmującą, z trzema sporymi oknami, z których dwa były otwarte, ze ścianami gładko

<sup>141</sup>aprensja — troska, smutek. [przypis edytorski]

Matka, Starość

Wierzenia

Dom, Wieś

otynkowanymi, z podłogą ułożoną z prostych, sosnowych, lecz gładko wyheblowanych i czystych aż do białości desek. U niskiego sufitu, grube, wapnem pobielone belki, krzyżując się z cienkimi deskami, tworzyły szeregi ciemnych próżni; całą prawie długość jednej ze ścian zajmował piec, do sufitu wysoki, z białych kafli zbudowany, a u dołu mający rząd małych sklepień, z których w zimowe wieczory rozlegać się musiały na całą izbę ćwierkania świerszczy. W kącie samotna, rozłożysta, ogromna, sto lat może mająca stała kanapa z olchowego drzewa, na czerwono pomalowana i kraciastą, domowego wyrobu tkaniną obita; naprzeciw znajdowało się łóżko z sosnowych, białych desek zbite i dostatnią pościelą wysoko usłane, a między oknami komodę olchową i na czerwono pomalowaną zdobila szkatułka z czeczotkowego drzewa<sup>142</sup> z ukośnie stojącym lusterkiem, mały, czarny krucyfiks wiankiem z żółtego rozchodnika okręcony i mała lampa z grzybiastym szklanym kloszem. Zresztą, pod ścianami stały wysokie, zielone albo w kwiaty malowane skrzynie o bombiastych, żelazem okutych wierzchach, zydle<sup>143</sup> z białych desek, przed nimi olchowe, czerwone stoły, a u stołów kilka krzeseł domowej widać roboty, niedawno sporządzonych, bo niepomalowanych, z drewnianymi siedzeniami i tylnymi poręczami, z giętkiej może grabiny czy klonu w wysokie łuki powyginanymi. Przez drzwi za olbrzymim piecem otwarte ukazywała się bokówka, mała, podługowata izdebka, z jednym znów, wysoko usłanym łóżkiem. Antolka sypiać tam musiała, bo wśród mnóstwa świętych obrazków, które nad łóżkiem ścianę okrywały, największymi rozmiarami i najjaskrawszymi barwami jaśniał obraz jej patrona, w wianki na Boże Ciało poświęcone, w palmy wielkanocne, w pęki suchych nieśmiertelników i świeżych nagietek ubrany. Przez otwarte okna zapachy kwiatów i ziół wnikając z ogrodu napelniały po brzegi całą świetlicę, a wtłaczające się przez nie gałęzie starej gruszy ocieniały ją zieloną, ruchomą firanką.

Anzelm do jednego ze stołów Justynę przyprowadził.

— Na krześle sięć proszę... wygodniej będzie niż na ławie... proszę na krześle usieść...

I z żywością ruchów, której by nikt po nim spodziewać się nie mógł, zgrabnie, dwornie, krzesło dla niej niósł ku stolowi. Elżusia, która za całym towarzystwem wysoki próg świetlicy jak pulchna kluska przeskoczyła, śmiechem teraz, na gospodarza domu patrząc, parsknęła.

— Już chyba skończenie świata nastąpi, kiedy pan Anzelm tak się rozruszał! — zawołała. — Takim alegantem ukazuje się, jakby nigdy tetrykiem<sup>144</sup> nie był!

— Ot, i z głupia odezwała się! — żartobliwie odparł Anzelm — bo gdyby mądra była, to by wiedziała, że kto niedźwiedzia przemoże, za nos go wodzić może. Widać, że mnie panna Justyna tak przemogła.

Potem sam na zydłu siadając do Antolki zawołał, aby gościa wieczną poczęstowała.

— Sam też — dodał — od wczorajszego wieczora tylko kawałek chleba przełknąłem, a i Jankowi po tej kąpieli, którą na Niemnie dziś wziął, głodno być musi.

Wczoraj jeszcze dowiedział się od synowca, że na Mogiłę z Justyną on popłynie, a teraz dwojga młodych zapytywał, jak w czasie burzy wydobyli się z kłopotu, czy bardzo zmokli, ile czasu w borze spędzili. Opowiedział, że kilka razy spotkał się na Mogiłę z panią Andrzejową, która to miejsce odwiedza czasem, ale bardzo rzadko i niby przypadkiem. Wielką panią jest i wszystkie oczy na siebie ma zwrócone, to i trudniej jej takich wypraw dokonywać jak na przykład jemu, który przez nikogo niepostrzegany może sobie często pomodlić się i podumać, tam, gdzie brat jego wiecznym snem odpoczywa.

Dwóch ich tylko było i siostra, która do zaniewickiej okolicy za mąż poszła, skąd też i matka ich pochodziła; a Jana matka znów Siemaszczanka z Siemaszek, tak jej zaś wypadło, że aż w czterech okolicach życie swoje pędziła: najpierw w ojczystej, czyli w Siemaszkach, potem w Bohatyrówicach, gdy za Jerzego wyszła, potem za drugim mężem w Jaśmontach, a na ostatku, za trzecim, w Starzynach.

— Nie wiadomo, czy to już ostatni mąż i ostatnie jej osiedlenie — żartobliwie znowu zauważył. — Bo mnie się zdaje, że gdyby dziś owdowiała, to by za rok poniosła się jeszcze za czwartego!

<sup>142</sup>czeczotkowe drzewo — drzewo z pnia brzozy (lub topoli), sękowate, służy do wyrobu kosztownych mebli i przedmiotów. [przypis redakcyjny]

<sup>143</sup>zydel — drewniany stołek. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>tetryk — osoba zgorzkniała, zgryźliwa. [przypis edytorski]

Justyna zapytywała go o rozległość i ludność okolic, których nazwy wymienił. Odpowiadał jej chętnie i obszernie, o szczegóły, których nie wiedział, bo przez wiele lat nigdzie nie jeździł, do Jana się odzywając.

— Wszystkich ich pani po troszku na weselu Elżusi zobaczy — rzekł Jan — bo Fabian pełno ma wszędzie krewnych i znajomych, a zechce pewno, aby o weselu jego córki cały świat gadał.

Tymczasem Antolka i Elżusia stół szmatą płótna starły i w przeciągu pół godziny zastawiły go wszystkim zapewne, na co w tej chwili zdobyć się mogła chata Anzelma i Jana. Dokoła wielkiego bochna chleba zjawiała się misa kwaśnego mleka, w połowie z różową śmietaną zmieszanego, potem druga z położonym na niej plastrem miodu, tylko co znać razem z drewnianą ramką z ula wyjętego, dwa sery, z których jeden przywiedły a drugi świeży, żółte masło na spodku, na koniec, przez zaczerwienioną od ognia Elżusię przyniesiona patelnia z dymiącą jajecznicą.

— Już jak ja jajecznicę zrobię — zawołała wesola dziewczyna — to, bardzo słusznie! Sam ociec czasem pochwali, choć jemu dogodzić tak prawie trudno, jak przez ten dom przeskoczyć...

— Ja myślę, że Elżusia kiedykolwiek i przez dom przeskoczyć potrafi, taki z Elżusi kozak — zażartował Jan, ale na miód spojrzawszy brwi ściągnął.

— A kto do ula chodził? — z gniewem zapytał.

— A któż by, jak nie Antolka? Tylkoż siostra i mogła tak śmieie postąpić — odsarknęła córka Fabiana.

— A raz na zawsze tego jej wzbronilem! — zawołał Jan i po brzegi włosów zarumieniony ręką w stół uderzył. — Nieświadomy wszystko zepsuć może, a ona kiedy nie uczyła się, jak z pszczołami postępować, to niech nosa w nie swoje nie tyka!

Wstawał już, aby do siostry z wymówkami iść, ale z bokówki cicha i załężniona, wysunęła się dziewczyna, z ustami skrzywionymi i ręką policzek przyciskając.

— A co? Ukąsiła? — zawołał Jan.

— Żeby ją cholera... — ze łzami kręcącymi się w oczach jęknęła Antolka.

Jan, trochę jeszcze nasepiony, nic już siostrze nie powiedział, a Anzelm zażartował znowu:

— Nie dbaj, że pszczoła kąsa, byleś miodu dostał! Co tam, że troszkę boli, nim za mąż wyjdiesz — przestanie!

Kiedy chleb w rękach podniósł i kroić go zaczął, na spodzie bochna ukazały się wyraźne odbicia suchych lipowych liści, którymi gospodynie wkładane do pieca pieczywo od zetknięcia się z gliną i popiołem zabezpieczają.

Na zydłu i krzesłach wszyscy dokoła podługowatego stołu zasiedli nabierając sobie na gliniane talerze jajecznicy i kwaśnego mleka. Przez parę minut nikt nic nie mówił. Anzelm, Jan i dwie młode dziewczyny jedli w sposób dość szczególny. Z grubo pokrajanych porcji chleba małe kęski odłamywali i dwoma palcami do ust je nieśli. Drewniane łyżki trzymali w palcach zgrabnie, delikatnie i zawartą w nich żywność powoli w usta wkładali, powoli też i cicho ją przeżuując, po czym łyżki na stołach kładli i po kilku sekundach dopiero lub po minucie znowu je delikatnie ujmowali i powoli do ust nieśli. W tym szczególnym, przesadnie powolnym i delikatnym sposobie jedzenia widać było od dzieciństwa nabieraną albo i z krwią dziedziczną obawę przed okazaniem grubiaństwa i żarłoczności. Anzelm przemówił pierwszy. Spojrzał na Justynę i jakby sobie coś nagle przypominając zapytał:

— A może by pani herbaty wypić? My ją rzadko kiedy pijemy, ale zaraz można zrobić...

W bokówce, na olchowej czerwonej szafie stał niewielki blaszany samowar<sup>145</sup> i Antolka już się z krzesła zrywała, aby bieć go nastawiać. Ale właśnie w chwili, w której Anzelm pytanie swoje uczynił, Jan łyżkę na stole złożywszy, ręce na kolana opuścił i z uśmiechem głębokiego zadowolenia patrzył na Justynę, która w porcji ciemnego chleba, złotawym miodem posmarowanego, ze smakiem zęby zatapiając, także na niego patrzyła. Oboje mieli uśmiechy w oczach i pytanie Anzelma usłyszeli dopiero wtedy, gdy je powtórzył.

<sup>145</sup> samowar — urządzenie do gotowania wody i przyrządzania herbaty. [przypis edytorski]

— Zdaje się — powoli zauważył Jan — że apetytu po spacerze nie brakuje i może obejdzie się bez herbaty...

— Obejdzie się z pewnością! — zaśmiała się Justyna.

— A ja teraz już na siostrę i nie gniewam się, że sama do ula po miód poszła!

Zaśmiał się tak, jak śmieją się szczęśliwi, bez widocznej przyczyny, głośno, serdecznie, z głową w tył odrzuconą, i bez widocznej także przyczyny siedzącą obok Antolkę po włosach pogładził. Po czym łyżkę ze stołu delikatnie ujął i mleka nią zaczerpnąwszy, powoli do ust poniósł. Rękę miał dużą, w skórę ciemną i grubą, obleczoną, bardzo czystą, o szerokiej dłoni i długich, cienkich palcach.

Dnia tego przecież Anzelm był niepospolicie ożywiony, mówny<sup>146</sup> i każde ciekawe oko długo zatrzymywać by się mogło na tym ociężałym, schorowanym, piętnem wielkich bóleści przyobleczonym człowieku, kiedy dziś, pobudzany jemu tylko znanymi uczuciami, dworną uprzejmość i przyjacielską gościnność okazywał, rozmowę z gościem podtrzymać usiłując. Na ręku Justyny zobaczywszy czerwoną szramę zapytał, czy pochodzi ona od sierpa, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, długo, dziwnie migocącymi oczami na nią popatrzył.

— Ciężka praca! A? Chociaż to wszystko od uzwyczajenia<sup>147</sup> zależy. Nie wiem ja tylko i wątpliwości mam co do tego, czy osoba tak pięknie na fortepianie grająca do takich grubych robót uzwyczajić się może.

Opowiedział, że nieraz idąc wybrzeżem rzeki albo przeprawiając się na jej drugą stronę, słyszał ją wspólnie z ojcem grającą.

— Słodka muzyka — uśmiechnął się — uszy głaszczcie i serce przenika. To jest prawda, ale druga znów prawda, że tak prawie po całych dniach w instrument stukać to może i nie mniejsza fatyga, jak pleć albo żąć...

Na podwórku rozległo się ryczenie krów; dziewczęta zerwały się z siedzeń i pośpiesznie naczynia ze stołu sprzątać zaczęły; potem Elżusia nie ukazała się już więcej, a Antolkę widać było z dojnicą<sup>148</sup> w ręku prędko przez sień na dziedziniec wybiegającą. Słońce zaszło już było od pół godziny; świetlicę napełnił szarawy zmrok. Jan małą lampę na komodzie zapalił i stryjowi oznajmił, że idzie najrzeć, czy parobek dobrze w nieobecności jego bydła i koni dopatrzył. Anzelm i Justyna zostali we dwoje.

Niespodzianie dla Anzelma i może dla samej siebie Justyna z krzesła swego zsunęła się na zydeł i ku staremu pochylona, ustami do ramienia jego przylgnęła.

Nie zdziwił się bardzo, tylko zrazu, jakby przelękniony, w tył nieco uchylić się i kapotą otulić się próbował.

— Nowina! — wyszeptał. — No... no... wina!

Ale ona z czoła i ramion wilgotne jeszcze włosy swe odgarniając i z wyrazem pieśczo-oty oczy ku niemu wznosząc, z cicha mówiła:

— Wiem, stryjku, wszystko, wszystko wiem...

— A skąd? Kto mówił? Pewno już Janek językiem nasiekl... Nic ja w tym złego nie widzę, bo jeżeli pani jest tak łaskawa, że z nim w przyjaźni chce pozostawać, to i nie powinien mieć żadnych przed panią skrytości.

Potrząsał głową.

— Ale żeby ktokolwiek, choćby i on, wszystko to wiedzieć i przeniknąć mógł, o tym wątpię... Głęboko trzeba kopać, aby wodę znaleźć, a tym bardziej człowieka, żebyś nie wiedzieć wiele lat z nim przebywał, jeszcze wszystkich skrytości jego nie rozpoznasz...

Ze wzrokiem kędyś daleko za otwarte okno puszczonej mówił dalej:

— Wszelako zdarza się na świecie. U Boga i mucha, kiedy każe, żołnierzem musi być. Mały ja człowiek jestem, ale na wielkie rzeczy w młodości swojej patrzałem i w nich małeńki udziałek wzięłem, a z tego i całe późniejsze życie moje wyciekło. Korczyn! Oj! I domyśleć się teraz nie można, jakie tam wtenczas rozlegały się mowy i postęпки... Zdaje się, że wszystko, co ludziom Pan Bóg dał dobrego, poruszyło się wtenczas i zagadało. Brat obejmował brata, nie zważając na to, czy bogatego albo ubogiego obejmuje, rozum-

Gospodarz, Gość

Wiedza

Historia, Powstanie,  
Pozycja społeczna

Mucha

<sup>146</sup>mówny — rozmowny. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>uzwyczajenie — przyzwyczajenie. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>dojnica — naczynie na mleko. [przypis edytorski]

ni głupim drogi pokazywali. A przed wszystkimi jeden cel świecił. Nas do tej festyny<sup>149</sup> nie tylko dopuszczono, ale i zapraszano, żądając, abyśmy życie narażali, ale tym, co go nie utracą, takie rzeczy pokazując, że aby je dostać, każdy chętnie głowę pod niebezpieczeństwa podstawił... Wiele bym ja mógł w tej materii mówić i opowiadać, ale...

Długo wstrząsał głową, na parę gwiazd przez gałęzie sapieżanki przeblyskujących parząc.

— Senne widowiska... czasowe mary...

Justyna, blisko do niego przysunięta, z jedną ręką pieszczotliwym ruchem na jego ramieniu złożoną a na drugiej twarz swą opierając, w milczeniu słuchała mowy jego powolnej, częstymi milczeniami przerywanej, w części tylko zwróconej ku niej a daleko więcej do półgłosem smutnych myśli i wspomnień podobnej.

— W książce jednej wyczytałem... „Jak muchy padną w boju syny ludzkie...” A w drugim miejscu tej samej książki, czy może jakiej inszej, napisano: „Jak glina w rękę garnca-rza, tak ludzie w rękę Stwórcy”. Taka to już być musi kondycja nasza, ale serce człowieka podczas za słabe bywa, żeby ją cierpliwie i pokornie przenieść. Widać za mało cierpliwy i pokorny byłem, bo kiedy już te rzeczy obróciły się na złą stronę i zaćma<sup>150</sup> nieprzeniknio-na świat ogarnęła, zacząłem doświadczać niecierpliwego żalu i gniewu, sam nie wiedząc nawet, przeciw czemu i przeciw komu ten gniew obrócić. Odżalować tego, co przeminęło, nie mogłem, ani też przywyknąć znów do zwyczajnego życia, od którego jakby na skrzydłach mnie odniosło. Co dawniej miłe było — obrzydło; co bawiło i radowało — wydało się samą marnością. Pójdę, bywało, z pługiem w pole i tylko wspominam, co w tamtych złotych dniach widziałem i słyszałem; twarze różne, postęпки, sprzeczki i zdania wspominam i z pamięci swojej umyślnie je wybieram, podobnie jak skąpiec dukaty ze skrzyni wybiera, oglądając je i lubując się nimi. Tak czasem pośród mgły wiosennej i pół dnia na polu przy pługu przestoję o robocie, do której wprzódę chętny i zdalny byłem, zapominając. Albo zimową porą do wesołej jakiej świetlicy, bywało, wejść i patrzeć, jak ludzie rychło o wszystkim zapominający śpiewają, weselą się, tańczą. „Czy oni powariowali?” — myślę sobie, słupem niemym i nieruchliwym w kącie stojąc, a im więcej oni wese-lą się, tym widoczniej przed oczami staje mnie ta polana leśna z tym swoim smętnym pagórkim i śniegiem, co na nią w ciemności nocnej białymi płatami pada. Co nowy taniec zagrają, to ja zaszepczę: „Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie!” Co nową pieśnię kto zawiedzie, to ja znów: „Wieczne odpoczywanie!” Co głośniejszym śmiechem kto wybuchnie, w mojej głowie rozlega się: „Wieczne odpoczywanie!” Na weselących się ręką machnę i do chaty pod śniegiem padającym idę, a w chacie... Chryste!... Miejsce po bracie jedynym już i zastygło, żonka jego już po drugich weselnych godach, tylko sierotka mały mnie spotyka i tuli się do opiekuna jedynego, który mu na tym świecie pozostał...

W drzwiach bokówki ozwał się szelest; Jan stał na progu, plecami o drzwi oparty, z ramionami na piersi skrzyżowanymi. W cieniu postać jego rysowała się w liniach prostych i wyniosłych. Cała świetlica pogrążona była w cieniu, bo mała lampa na olchowej komodzie stojąca słabe rzucała światło i tylko wąski jej promień służył na ciemną kapo-tę Anzelma i na połyskliwe, rozpuszczone włosy Justyny. Po długim milczeniu Anzelm półgłosem i powoli znów mówić zaczął:

— Każdemu jednakże stworzeniu dany jest zmysł ratowania się i od ostatniej zguby ubiegania. Tak i ja w jednym miejscu ratunek dla siebie postrzegając, do niego się udałem. Nie było mnie wtenczas więcej nad lat trzydzieści, nie dziwno tedy, że kochanie tyle prawie dla mnie znaczyło, co życie i szczęście. Widać, że przeznaczonym było, aby wszystkie miody i trucizny z Korczyna na mnie ściekły, bo tam mnie objawiły się te widowiska senne, po których pocieszyć się nie mogłem, i tam też gwiazda kochania mego zaświeciła. Może niejedyn powie, że moja nadzieja nierozsądna była i że za wysoko odważyłem się spojrzeć, ale ja tak wtenczas nie myślałem. Wszak już mało nie dwa tysiące lat temu Pan Jezus równość po świecie ogłaszał i dużo o niej gadania w tym samym Korczynie słysza-łem. Choć ta panna do pańskiej rodziny należała, ale ja też od niewolników rodu swego nie wiodłem, a choć ubogi, żonie i dzieciom kawałek chleba dać mogłem, nie gorszy mo-

<sup>149</sup>festyna, właśc.: festyn — uroczystość. Mowa tu o okresie przygotowań do powstania styczniowego. [przypis redakcyjny]

<sup>150</sup>zaćma (gwar.) — zaćmienie. [przypis redakcyjny]

Kondycja ludzka

Małżeństwo, Miłość,  
Pozycja społeczna

że od tego, który w te czasy niektórzy panowie jadać zaczęli, a może i spokojniejszy, pewniejszy. Do tego, choć z pańskiej rodziny ona pochodziła, niewielka z niej była pani... niewielka! Cudze suknie na grzbiecie nosiła, wszystkiego od łaski krewnych wyglądając. Czemuż by jej, zdaje się, własnego domu, choć niskiego, i własnej woli przy mężu kochanym i kochającym nie chciała? Wzajemność zaś wiedziałem, że mam... wiedziałem. Nie na ślepego przecież patrzyła ona swymi takimi ognistymi oczami i nie głuchemu takie rzeczy niejedną raz mówiła, które o wzajemności upewniają. Posunąłem się tedy... i odprawiony zostałem. Nie chciała. Nie można nawet powiedzieć, aby jej rodzina wielkie przeszkody stawiała. Pewno, że były tam ze strony krewnych perswazje, może i pośmiewiska, ale od ołtarza nikt by gwałtem jej nie odciągał. Sama nie chciała. I widzieć się ze mną nie chciała, aż ją raz w ogrodzie dopilnowałem i za rękę chwyciwszy, o przyczynę tego despektu, który mnie od niej spotykał, zapytałem. Powiedziała przyczynę taką, że tylko na nie plunąć było warto. Perswadować chciałem i przekonywać, ale wyrwała się mnie i uciekła. Z płaczem ode mnie uciekła. I sama desperowała, a jednakowoż nie chciała... nie chciała...

Od tej pory zaczął się najgorszy czas jego życia. Tylko co był świadkiem przeraźliwej zawodności ludzkich walek i nadziei, teraz poznał zmienność ludzkiego serca. Wszystko wydało mu się niepewne, nietrwałe, marne.

— Taka mnie ogarnęła zwątpiałość, że wszystko, na co tylko pojrzałem, okazywało mi się w postaci znikomej mary. Dziś jest, myślałem sobie, a jutro rozwieje się i zniknie. Posłyszałem raz, jak ksiądz w kościele mówił: „Z ziemiśmy poszli i w ziemię przemienić się mamy”, i te słowa nigdy już z głowy mojej nie wychodziły. Gorzej od wszystkiego zwątpiałość ta mnie gnioła, bo żadnej już chęci i żadnego zamiaru do serca nie dopuszczała. Kiedy jeszcze cokolwiek robiłem, to tylko o tym biednym sierotce myśląc, żeby przy mnie z głodu nie zdechł, a dla siebie to bym już i palcem nie kiwnął, bo ciągle mnie na myśli stało: „Na co? Dla jakiej przyczyny o marność i doczesność dbać?” Przed Bogiem się upokarzałem, ale już tylko o zlitowanie dla nieśmiertelnej duszy swojej prosząc, o to zaś, co mnie w tym życiu spotka, bynajmniej nie dbałem, pewnym będąc, że wszystko na zawsze utraciłem, a gdybym znów nabył, zaraz bym znów utracił...

Jednak zbyt młodym był może i zbyt proste, zdrowe dotąd życie prowadził, aby w tym zwątpieniu o trwałość i wartość rzeczy ziemskich zastygnąć mógł i zmartwieć. Owszem, tęsknota za lepszymi dniami i żal po ukochanej kobiecie dręczyły go ciągle.

— Nie zaskórnią, ale głęboko w sercu zasadzoną tęskliwość i boleść czułem. Gdyby człowiek mógł łzami do grobu ściec, już bym wtenczas ściekł pewno. Samego siebie lękać się zacząłem, myśląc, że zwiariuję albo nieprzyrodzoną śmiercią zginę; bo mi też już gałęzie drzew i głębokości Niemna po głowie chodziły. Wstyd mnie zdejmował, że mocy nijakiej nad sobą mieć nie mogłem, i Pana Boga na pomoc wzywałem, i niedobrowolnie lzy ciekły mnie z oczu. Którego dnia dźwignę się już z myśli ponurych i samego siebie nauczam: „Siły do kupy ściśnij, na biedę oczy zmruż i rzuć ją pod nogi, a pocieszenia sobie jakiego szukaj, ażeby woli boskiej nie sprzeciwiać się i marnie nie ginąć”. Zdaje się, że już i wyperswaduję sobie, desperację odpędzę i dzień, drugi jak wszyscy ludzie przeżyję. Nie, do życia ochota nie bierze i choć tak pracuję, że aż cały oblewam się potem, najmniejszym czasem o miłych nadziejach utraconych i o marności wszystkiego myślę. Raz już nawet zaswatałem się do panny jednej i sam pojechałem do niej. Jadąc myślałem: „Ożenię się i kwita! Chatę zaludnię, rozweselę się i odżyję”. Ale kiedym przyjechał i na pannę spojrział: nie! Szpetna ona nie była ani głupia i to mi też tajemnym nie było, że miłym okiem na mnie patrzyła. Nie i nie! Tamta przed oczami stoi, a przy tym do czego inszego już uzwyczajony, co inszego poznawszy i pojąwszy, ani w jej mowie, ani w obchodzeniu się, ani w zamiarach, które objawiała, smaku żadnego znaleźć nie mogłem. Dużałem się<sup>151</sup> tak z samym sobą, jak pływacz z wodą, lat może ze trzy, a smętek zdrowia ubierał i czarne myśli siłą zjadały, aż bezsilny i z jakimiś dziwnymi, przechodzącymi i znów powracającymi boleściami na łożu padłem, dziewięć lat potem przez tę chorobę gniesiony, której doktorowie rady dać nie mogli i hipokondrią ją nazywali...

Znaczenia nazwy tej nie rozumiał, ale wytłumaczył mu ją jeden z lekarzy powiadając, że choroba to jest więcej duszna niżli cielesna i że ją też duszne lekarstwa więcej niżli

Łzy, Szaleństwo,  
Samobójstwo, Modlitwa

Choroba, Ciało, Dusza

<sup>151</sup>dużać się a. dążyć się (gwar.) — mocować się, pasować się. [przypis redakcyjny]

cielesne ukrócić mogą. Zapewne tym dusznym lekarstwem była wielka chęć pomożenia synowcowi w dźwignięciu się z ruiny i biedy, a także pociecha, którą mu sprawiał widok dorastającego sieroty po bracie. Dziewczynka też, którą Jan napał się wziąć od matki, mileńka była, wesoleńka i zawczasu już porządek w chacie robić zaczęła, a i bratowa, choć płocha i w romansach niepowściągniona, dzieci swoje często nawiedzała i jego doglądała, wesołą swoją gadatliwością babską śmieszac czasem i rozrywając.

— U Boga i ubity, kiedy każe, drugi raz ożyć może. I ja też wskrzesłem<sup>152</sup>, choć niezupełnie... niezupełnie, bo mnie zdaje się, że u ludzi wiele czujących i raz już nadmiar zasmęconych nie tylko na ciele, ale i na duszy robią się takie zmarszczki, które nigdy zupełnie nie znikną. Tak i ja do tej pory nie mogę już ze wszystkim do zwyczajnego życia powrócić. Ruchliwości wszelakiej, hałasów, tłumliwych gadań ubiegam<sup>153</sup>, bo wśród nich prawie bezprzytomnym się staję. Każdej nieznamomej twarzy ludzkiej najpierw złąknę się zawsze, nim pokonawszy siebie przybliżyć się do niej zdołam. Podczas i boleści mnie napadają: cielesne i duszne. Od zaziębienia, by najmniejszego, w głowie łamania i bólu doświadczam, a kiedy w starych przypomnieniach i zgryzotach pomimo woli utopię się pamięcią, dwa i trzy dni jak martwy leżę, niczyjego widoku znieść nie mogąc i samego siebie prawie nie czując. Ale o to wszystko bynajmniej. Nieduże to dolegliwości i cierpliwie je przenieść można, spokojność i niejedną przyczynę do uciechy mając...

Cieszyło go teraz wiele rzeczy: domek na miejsce starego i prawie już walącego się zbudowany; sad, który własnymi rękami założył; pasieka, którą Jan umiejętnie prowadził i powiększył; dorodny i szanujący go chłopak; łagodna i gospodarna dziewczyna; dobrze przez oboje prowadzone gospodarstwo; zresztą, słońce jasne, kwiaty pachnące, jaskółki gnieźdzące się pod okapem, cichość i spokojność panujące w zagrodzie, w tej samej zagrodzie, w której żyli dziady i przeddziady<sup>154</sup> jego, a on sam urodził się, wyrósł i postarzał, więc nie tylko każdy kącik i każde drzewko, ale każdą jej trawkę i prawie każde ziarno piasku znał, prawie w przyjaźni i poufałości z nimi żyjąc.

— Te wiatry okrutne, które mnie drogę życia zabiegły, przeszumiały, przeleciały i daleko już znajdują się ode mnie. Więcej ja teraz dobrych godzin przepędzam niżeli złych i o to już tylko ubijam się przed Bogiem, aby Jankowi szczęśliwą dolę zesłał. Nic też nigdy przeciw jego sercu i żądaniu nie uczynię, a choćbym sam kiedy cokolwiek inszego myślał i żądał, jego myślom i żądaniom w poprzek nie stanę, owszem, dopomóc w nich postaram się z całej swojej siły i możliwości. Nie wróg ja jemu, aby mu w czym przeszkody stawić lub go do czego przymuszać, ale przyrodzony zastępca ojca i jak ociec niczego oprócz tylko jego dobra i szczęścia nie żądający...

Jan szerokim krokiem przeszedł izbę, pochylił się i stryja w rękę pocałował. Potem wstrząśnięciem głowy odrzucił z czoła opadłą na nie gęstwinę jasnych włosów.

— Bardzo już państwo zasmęcili się oboje; stryjowi to niezdrowo, a u panny Justyny nawet i łezki w oczach widzę. Co tam tak długo rozwodzić się nad starymi czasami!

Słów tych jeszcze nie domówił, gdy pod oknami dał się słyszeć szelest kroków i słowa dość donośnym, ale dygocącym głosem wymawiane:

— Ho, ho! Znajdę ja go! Znajdę bałamutnika<sup>155</sup> tego, zwodziciela, złoczyńcę! Znajdę i ubiję!... Tak mi Boże dopomóż, że jak psa ubiję!

Drzwi świetlicy otworzyły się szeroko i naprzód wszedł przez nie trzęsący się staruszek, z kijem w rękę, z twarzą, która ceglaną różowością odbijała od śnieżnej białości włosów i kapoty. Trochę tylko za nim, ramieniem go podtrzymując, ukazała się wysoka, barczysta dziewczyna, dość szczególnie wyglądająca. Na pierwszy rzut oka trudno byłoby poznać w niej tę Jadwięgę Domuntównę, która, bosa i rozczochrana, w ogromnym fartuchu niosła przez pole zielsko dla krów, a w porze żniw żęła aż do skąpania się w strugach potu i snopy do gumna<sup>156</sup> zwożąc, z męską siłą i zręcznością kierowała parą koni. Teraz miała ona na sobie suknię z wełnianej materii tak jaskrawo szafirowej, że patrząc na nią oczy aż mrużyć się musiały, z obcisłym stanikiem i bardzo długim ogonem, który ciągnął się za nią w miękkich, niezgrabnych, od rosy i pyłu zabłoconych zwojach. Na głowie jej piętrzyła

<sup>152</sup>wskrzesnąć — zmartwychwstać; tu w znaczeniu przenośnym. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>ubiegać (gwar.) — unikać, omijać. [przypis redakcyjny]

<sup>154</sup>przeddziad — prawdziad. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>bałamutnik — mężczyzna uwodzący kobiety. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>gumno — stodoła. [przypis edytorski]

Dom

Ojciec, Syn

Ciało, Strój, Uroda



się koafiura<sup>157</sup> od sukni jeszcze niezwyklejsza, wysoka, kołysząca się, pomadą nasiąkła, jaskrawymi wstążkami i błyszczącymi szpilkami upstrzona. Błyszcząca, bardzo licha<sup>158</sup> brosza ozdabiała jej stanik, liche także, ale błyszczące kolczyki i bransolety kołysały się u jej uszu i brzęczały u rąk wielkich i czerwonych. Potężna jej kibić, która śród pola, w stroju pracownicy wiejskiej, przypominała poetyczną i w sile swej dobroczynną Cererę, która na drabiniastym wozie ciągniętym przez rześkie konie do pamięci przywoływała klasyczne atletki, w tym stroju zbyt ciasnym i zbyt długim wydawała się spętana i niezgrabna; twarz jej, pięknie szafirowymi oczami i kasztanowatymi brwiami przyozdobiona, wśród jaskrawych barw i błyskotek uderzała grubością rysów i burakową czerwonością cery.

— Dobry wieczór... — zaczęła w progu, ale gdy spojrzenie jej upadło na stojącą obok Jana Justynę, zdawać się mogło, że nagle oniemiała.

Stary Jakub za to, uwolniwszy się od ramienia wnuczki, dygocącym krokiem ku gospodarzowi chaty postępował srożąc się coraz bardziej.

— Gdzie Pacenko? Niech mnie pan Szymon zaraz powie, gdzie tego krzywdziciela i naigrawcę mojego ukrył... a jeżeli nie powie, to jak mi Bóg miły, chatę zrewiduję i sam znajdę... a jak znajdę, to pomstę na nim wywrę za to, że mi kobietę na całe życie nieszczęśliwą uczynił, a mnie w *ganbie* pogrążył...

— Znowu dziadunia Pacenką nastraszyli? — na Jadwigę patrząc zapytał Anzelm.

— A jakże! — odzyskując mowę zawołała. — Taki był dziś spokojny, grzeczny, rozumny, jak już lepiej i nie potrzeba. Zjadł na kolację kwaśnego mleka i mówi: „Jadwiśka, pójdzim sobie którego sąsiada nawiedzić”. „Może pana Szymona?” — zapytuje, bo już wiem, że gdyby powiedzieć: pana Anzelma, zaraz obruszyłby się i powiedział: „Ja do błaznów nie chodzę”. On zawsze myśli, że pan Anzelm młodym kawalerem jest, a gospodarzem w chacie nieboszczyk pan Szymon. Poszedł i pięknie, grzecznie szedł sobie, nawet siłą dobrą mając, bo tylko troszkę opierał się na kij; aż tu jak wyskoczą chłopcy zza płotu, jak krzykną mu w same ucho: „Pacenko przyjechał i znów babulkę zabierze!” Aż zatrzęsł się cały, i żeby nie ja, na ziemię padłby... i już teraz nijak jego nie wstrzymać ani wyperswadować... drze się naprzód, że i zawrócić go do chaty nie zdołałam...

Stary tymczasem kijem wywijając i groźnie pokrzykując, z kąta do kąta dreptał, we wszystkie pilnie zaglądając, ciemną bokówkę nawet obejrzał i do świetlicy wróciwszy, pod wielką kanapą kijem czas jakiś wodził, aż do pieca przydreptał i chciał zajrzeć w znajdujące się pod nim małe sklepienia. Ale usiłując pochylić się do samej ziemi, równowagę stracił i całym ciężarem swego wyschłego, lecz kościstego ciała na podłogę runął. Najbliżej upadającego znajdująca się Justyna najprędzej znalazła się przy nim i pochyłona, już zręcznym ruchem głowę jego podnosiła, gdy rubasznym i wyraźnie rozgniewanym ramieniem odtrąconą się uczuła.

— Za pozwoleniem, proszę dziadunia mego nie ruszać... już ja sama dam rady... już co się tyczy dziadunia, to on pewno do mnie należy... — prędko i płaczącym się ze wzruszenia językiem zagadała Domuntówna.

Jednocześnie z ostrożnością, lecz i niepospolitą siłą dziadka z ziemi podniosła, popędliwym gestem usuwając Jana, który jej chciał przyjść z pomocą.

— Niech pan Jakub uspokoi się — przemówił Anzelm — Pacenki nie ma; ani tu, ani nigdzie nie ma, bo on już dawno z tym światem rozstał się.

— Nie ma? — na kiju wspierając się i jeszcze cały drżący zapytał starzec — czy doprawdy nie ma? czy słowo honoru?

— Słowo honoru! — uroczyście przemówił Anzelm. — Ot, niechaj pan Jakub spokojnie sobie usiedzie i grzecznie z nami pogada...

W tej samej chwili Jan do Justyny szeptał:

— Nadmiar bym chciał, żeby on przy pani opowiedział jedną historię o dwunastym roku... która zdarzyła się z jego bratem, kiedy tu Francuzi byli... On dużo ciekawych historii pamięta...

Anzelm szepł synowca może usłyszał, może też wiedział, czym najłatwiej starca zupełnie już uspokoić można, bo posuwając ku niemu krzesło przemówił:

— Proszę usieść, bardzo proszę. Ciekawość mnie bierze, czy też pan Jakub pamięta

Hańba, Mąż, Szaleniec,  
Szaleństwo, Żona

<sup>157</sup>koafiura — fryzura. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>lichy — o małej wartości artystycznej. [przypis edytorski]

jeszcze tę historię, co bratu Franciszku wydarzyła się w dwunastym roku... czy może już o niej i zapomniał!

Na pomarszczoną, ceglasteróżową twarz starca spłynęła taka sama luna odradzającej się i rozczulonej pamięci, jak wtedy, kiedy mu Anzelm wspomniał o grobowcu Jana i Cecylii. Zdawać by się nawet mogło, że nogi jego nabrały nagle większej mocy i skrzepiło się całe ciało, bo nie zważając na podawane sobie krzesło wyprostował się, obie ręce na kiju wsparł, czoło podniósł, ku sufitowi spojrział.

— A jakże — zaczął — a jakże! Pamiętam... ho, ho! Jakby to wczoraj zdarzyło się... Najstarszy był... pięciu nas było... ja najmłodszy, a Franuś najstarszy... może mnie dziesięć lat było, a jemu dwadzieścia, kiedy go pan Dominik Korczyński, pana Stanisława, terazniejszego dziedzica Korczyna ociec, do legionów zwerbował... przy Napoleonie obydwaj wojować poszli... Z pana Dominika dobry był kamrat<sup>159</sup>... dobry... ja o tym wiem... bo prawie we trzydziści lat potem i sam z nim na wojnę chodziłem... Nad Franusiem naszym, starszym będąc, opiekę rozciągał, i przez listy my o jego powodzeniach i promocjach wiedzieli... Aż tu dwunasty rok przyszedł... Francuzi idą! Ociec mówi: „Pewno i Franuś nasz z nimi idzie”. A matka głową kiwa i odpowiada: „Pewno idzie! Może i do nas zajdzie! Może my jego jeszcze raz przed śmiercią obaczmy!...” „Może i obaczmy” — mówi ociec... Czekali jego, spodziewali się... Matka najmniejszym czasem w pole, na drogę wychodziła, a my, młodsze bracia, tylko co oczu nie powysłepiali, brata oficera wyglądając.

Gdy stary to mówił, Jadwiga nie spuszczała z Justyny oczu, które coraz więcej zapalały się i roziskrzały. Nie dosłyszała tego, co Jan do niej przed chwilą szepnął, ale spostrzegła dobrze, że kiedy się nachylił ku niej, na ustach miał taki uśmiech, jakiego ona nie widziała u niego nigdy, a ciągle patrzył na jej rozpuszczone włosy; zdawać się mogło, że po prostu oczu od nich oderwać nie mógł. Justyna zaś słuchała go ze wzniesionym ku niemu wzrokiem, z którego były promienie cichej, jakby nieśmiałej radości. Z trochę jeszcze dygocącym, ale coraz wzmagającym się i czystszy głosem opowiadającego starca złączył się gruby szept jego wnuczki. Zdawać się mogło, iż szeptem mówiła dlatego, że trudno jej było wydobyć głosu ze wzburzonej piersi lub też że sama lękała się tego, co mówiła.

— Aaaa! — nie spuszcając wzroku z Justyny zadziwiła się — czy to teraz taka moda przyszła, żeby rozpuszczone włosy nosić?... Aaaa! rychło może i taka nadejdzie, żeby panny i gołe albo w jednych koszulach chodziły!

Justyna w opowiadanie starca wsłuchana, może złośliwych słów dziewczyny nie słyszała, a może też udawała, że ich nie słyszy... Jan na mówiącą gniewne spojrzenie rzucił, ale przygryzłszy wargę i ramiona u piersi krzyżując, milcząc plecami ku niej się zwrócił. Starzec prawil dalej:

— Tak my w zaciszku naszym siedząc, wędrownika z dalekich stron po drogach wypatrywali, aż zima nasza, taka okrutna, jakiej nigdy za ludzkiej pamięci nie bywało. Ludzi ledwie kiedy z chaty wychodzących zamrozie po rękach i nogach opadały, a podczas z wielkiego chłodu prawie tchu odwieść nie było można. Śnieg też często sypiąc płoty zasypywał i góry albo, zdaje się, kościoły na polu wystawiał. Jednego razu, samym rankiem, zawołał nas ociec, żeby my czegoś szli za nim w pole... już i nie pamiętam czego... Przez całą noc zawierucha była taka, że o dwa kroki domu albo drzewa byś nie rozpoznał. Śniegu moc nasypało. Idziem my w kozuchach przez ogród w śniegu brnąc, aż na końcu ogrodu ukazuje się nam cośiś czarnego, stojącego... ni to goły pień z nagła wyrosły tam, gdzie go wprzód nie było, ni to drzewniana figura, do płotu plecami przyparta. „A co tam takiego stoi?” — mówi ociec. „Nie wiemy” — odpowiadamy. A matka za nami idąca, nie wiadomo na co, ot tak, przez to chyba, że już ją ciągiem niespokojność jakaśiś w pole i na drogi parła, powiada: „Może to, nie daj Boże, człowiek zmarznięty!” Wszyscy my poszli prędzej, tak że matka nie zdążywszy iść razem z nami, w tyle ostała. Przyszli my w te miejsce, pojrzeli i tylko co ze strachu na ziemię nie popadali. „Toż to człowiek!” — krzyknął do nas ociec. A ja, choć najmłodszy, ale najśmielszy, przyskoczył i z bliskości na tego człowieka popatrzwszy także krzyknął: „Oficer, tatku, oficer!” Mundur na sobie ten zmarznięty człowiek miał cały w dziurach, a czy obuty był, tego i widzieć nie można było, bo śniegu nasypało się jemu aż po kolana i od kolan dopiero wyrastał on z tego

<sup>159</sup> *kamrat* — towarzysz. [przypis edytorski]

Zazdrość

Kobieta

Matka, Syn, Trup, Zima,  
Żołnierz

śniegu, zupełnie jak drzewniany, plecami do płotu przyparty, żółty na twarzy gdyby wosk i tylko długie wasy blond na brodę mu spadały, a oczy były jak w głowę wstawione szyby. Jedną rękę miał opuszczoną, a drugą bułkę w ściśniętej garści przy gębie trzymał. Od razu już my domyślili się, że uchrony od zamieci i chłodu szukając, po polu wędrował, nigdzie nie trafił, bułkę, co ją pewno w kieszeni miał, z głodu gryźć począł, i tak go śmierć od mrozu pod samym płotem naszej chaty schwyciła. Stoim my, patrzmy, dziwuję się, ociec żegnać się świętym krzyżem począł, aż tu i matka nadchodzi. W śniegu brnęła, ale szła; cośś ją do tego miejsca parło... Przyszła, spojrzała, rękami klasnęła i okropnym głosem wykrzyknęła: „Jezus, Maria! Toż to Franuś!” na śnieg padła... Podtenczas<sup>160</sup> i my wszyscy rozpoznali, kim ten zmarznięty oficer był...

Prawie jednocześnie, gdy stary słów tych domawiał, na uboczu nieco stojąca dziewczyna głośniejsz już jak wprzód i z większym rozjątrzeniem zaszepiała:

— Wielka rzecz! Każden, żeby tak włosy swoje rozpuścił, pokazałby, że ich niemało ma... ale nam, prostym dziewczętom, wstydno byłoby tak chodzić!... Oj, oj, włosów dużo, aby rozumu tyle!

Jan prędko teraz ku niej przystąpił.

— Niech panna Jadwiga żadnych przytyków nikomu w chacie naszej nie robi, ja pannę Jadwigę pięknie o to proszę — cicho, ale z czołem poprzeczną zmarszczką przerzniętym zaszepiał.

— To i co, że pan Jan mnie prosi? — z iskrzącymi się oczami odszepnęła. — Może kiedyś prośba pana Jana i miała dla mnie walor jaki... ale teraz to już widzę, że trzeba mnie zawczasu na uboczu schodzić, aby, broń Boże, pan Jan, z wielkimi paniami przestawając, mnie za swoją poddanekę nie poczytał...

Posrebrzane, pozłacane i paciorkowe bransolety dzwoniły u jej czerwonych rąk, które gwałtownymi ruchami splatała i rozplatała; we wzburzonym jej głosie zadrzały i na kasztanowatych rzęsach zawisły lzy.

— Dla jakiej przyczyny panna Jadwiga tak złości się i alteruje<sup>161</sup>? A czy panna Jadwiga wie, że złość piękności szkodzi? — z trochę szyderstwa sprzeciwiał się Jan.

Stary Jakub z wyrazem grozy na podniesionym czole, ze wzniesionym w górę żółtym jak wosk palcem mówił jeszcze:

— Takim sposobem on do swego rodzinnego zaciszka powrócił i jak wartownik nieporuszony u wrót rodzicielskich stanął... Tak już jego, w drzewnianą figurę przemienionego, my wszyscy z ojcem na rękach swoich do chaty wnieśli a matka na tapczanie przy nim położywszy się jak wilczycy wyła...

Do rozgniewanej wilczycy podobną była dziewczyna, która w tej chwili starca ramieniem objęła i usiłując ku drzwiom go zawrócić mówiła:

— Chodźmy stąd, dziaduniu, no! Chodźmy! Dość my już tu pobyli i miłych słów nasłuchali się... Tutaj nasza kompania niepotrzebna... Na co nam w oczy leżć... gardzielom, co wcale inzej przyjaźni i sławy żądają? Znajomych nam, chwała Bogu, nie zabraknie...

Policzki jej i nawet czoło zachodziły sinym prawie rumieńcem, z oczu sypały się iskry. Dziadka, który w chwilach przytomności posłuszny był jej jak dziecko, ku drzwiom wprowadzając, jeszcze mówiła:

— Jedno wschodzi, drugie zachodzi! Nas już tu nie potrzebują. Tu już dobre przy lepszym staniało. To i chwała Bogu! Owszem! Aby tylko wszyscy na tym handlu dobrze wyszli, bo wiadoma rzecz, że kto wiele ściga, mało dogoni. Dobranoc państwu! Zdrowia i dobrego weselenia się życzymy!

I gniew nieposkromiony, i ambitna obraza, i łkania z całej siły tłumione odzywały się w jej głosie. Dziadka do sieni wysunęła, flakowaty i zablocony ogon sukni dla łatwiejszego przejścia przez próg w garść zebrała i z głośnym stukiem drzwi za sobą i dziadkiem zamknęła.

Po wyjściu tych dwojga ludzi pozostali przez parę minut nie mówili nic. Jan pierwszy śmiechem parsknął.

Kobieta, Pozycja społeczna,  
Uroda, Zazdrość

Gniew

<sup>160</sup>podtenczas — wówczas. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>alterować się — martwić się. [przypis redakcyjny]

— Ot, jęczyczna! — zawołał. — No, ależ zła! Ja i nie spodziewał się nawet, żeby aż taka była! Może komu taka szparkość i jęczyczność upodobać się może, ale już mnie to — bynajmniej!

Anzelm nie zapytywał o nic i żadnej uwagi synowcowi nie uczynił. Widać było jednak, że zmarkotniał, nad czymś zastanawiał się i czegoś żałował. Ale Jan po wybuchnięciu śmiechem trochę zmieszany do ciemnej bokówki wyszedł, a wkrótce raźnie już do świetlicy wracając zawołał:

— Może panna Justyna chce z bliska popatrzeć, jaka zaraz na Niemnie śliczna iluminacja będzie?

— Jacicę<sup>162</sup> łapią? — zapytał Anzelm.

— A jakże! Tylko co z ogniami wypływać zaczęli...

— Już mnie i do domu pora! — wstając rzekła Justyna.

— Ja panią odprowadzę, bo na dworze zupełnie ciemno...

— Pójdę z państwem i ja — powoli wymówił Anzelm; powoli z zydlu wstał i Antolce, która z dzbankiem pełnym mleka do świetlicy weszła, powiedział, aby mu czapkę z bokówki przyniosła.

— Stryjka spacer po nocy sfatyguje<sup>163</sup> — zauważył Jan.

— Nie bój się. Choć i po nocy, kiedy zechcę, jeszcze prędzej od ciebie iść potrafię — zażartował Anzelm.

W świetlicy zrobiło się trochę ruchu. Za Antolką wszedł Michał w kanarkowym ubraniu swym, uświetnionym jeszcze z powodu niedzieli szafirowym, w kształcie motyla związanym krawatem. Nie dokazywał jak wczoraj, ale owszem, z powagą uklonił się i wszystkim: „Dobry wieczór państwu!” powiedziawszy, z jedną ręką u zaostrego wąsika, a drugą na kłębie złożoną w kącie izby stanął i ciekawie na Justynę patrzył.

Antolka z dzbanka do szklanki ciepłe jeszcze mleko nalewała.

— Może Justynka świeżego mleka wypije? proszę, bardzo proszę! — zapraszała.

Anzelm swoją wielką baranią czapkę na głowę kładnąc, powolnym szeptem do synowca mówił:

— Czy sfatyguję się, czy nie, a żeby panna z twojej przyczyny na ludzkie języki padła, nie przystanę. Już niedobrze, że na Mogiłę popłynąć nie mogłem, a nocne spacery w dwoje odbywać i jej za dobroć złością płacić nijak nie wypada...

Jan objął go nagle, okręcił się z nim w kółko i z głośnym śmiechem w oba policzki go pocałował.

— Każdy młody głupi! — otulając się kapotą i trochę na synowca rozgniewany sarknął Anzelm.

Wieczór był ciemny, bo strzępiaste, wieloramienne, do rozwiewających się dymów podobne obłoki tu i ówdzie zasłaniały niebo i gwiazdy.

— Jeżeli pani chce dobrze widzieć, to trzeba aż pod topole zejść — ozwał się Jan.

Justyna prędko zbiegła; Jan stryjowi zstępować z góry pomagał.

Spod topoli widać było długi szlak Niemna, z jednej strony, naprzeciw Korczyńskiego dworu, za wysoki brzeg skracający, z drugiej niknący w przestrzeni za dalekimi piaskami. Justyna czwarty już raz dnia tego widziała go w coraz innej postaci. Naprzód ciężkimi chmurami podszyty, a z powierzchnią wybuchającą promienistymi ogniskami światła i skrzydłami jaskółek muskana; potem wzburzony, ponury, wzdęte fale i białe piany toczący, z wlokącymi się w deszczowej zawiei żółtymi płytami i chyżo mknącym stadem czarnych czółen; potem jeszcze, po burzy, najczystszy błękitem i złotem płynący, w złote dymy ubrany, z poważnym nad sobą chórem śnieżnych wron morskich i płochliwą gromadką atlasowych rybitw; teraz, pozornie nieruchomy, słał się on w dół wstęgą na dwie podłużne połowy przeciętą: głęboko czarną pod długim cieniem boru, a z drugiej strony ciemnostalową. W tym pasie roztopionej stali nie błyskały odbicia gwiazd dymnymi, strzępiastymi obłokami przysłanianych, w zamian ślizgały się po nim blade połyski i wypływać nań poczęły czerwone, jaskrawe, z daleka kształt okrągły mające ognie. Spod stóp wysokiej góry wysuwały się one na punktach różnych, aż z rzadka uszykowanym szeregiem rzekę usiały. Gdy płynąć zaczęły, rozpoznać można było, że były

<sup>162</sup> *jacica* — owad wodny, uważany przez rybaków za świetną przynętę. [przypis edytorski]

<sup>163</sup> *sfatygować* — zmęczyć. [przypis edytorski]

Kobieta, Mężczyzna,  
Obyczaj

Motyl, Polowanie, Rzeka

to płomienie rozniecone na drobnych czółnach i przez siedzących przy nich ludzi wciąż podsypane. Było ich ze dwadzieścia. W głębokim dole, po nieruchomej z pozoru rzece płynęły bardzo powoli, powoli też ich odbicia kołysały się w ciemnej toni, a w blasku ich zaczerwienione profile ludzkich postaci i twarzy z wypukłością rzeźby i zarazem widmową tajemniczością odrzynały się od ciemnego tła przestrzeni. Lecz najdziwniejszym i prawie fantastycznie wyglądającym zjawiskiem była jakaś mgła gęsta, która niepojętym mnóstwem drobnych, jakby śniegowych płatków osypywała czółna i siedzących w nich ludzi, często blask ogni kulami niby białej pary przyćmiewając. W powietrzu jej nie było, nie było też na przestrzeniach rozdzielających czółna; nie wiedzieć skąd się brała. Jednak wkrótce widoczne się stawało, że składały ją niezliczone roje śnieżnych, małych motyli, które na skrzydłach z krepki jakby utkanych wylatywały z wody. Może było ich tyle, ile ziaren piasku na dnie Niemna, w którego głębiach zrodzone opuszczały swój żywioł rodzinny, z żądzą niepowściągniętą i nieścignioną chyżością w blask i upał płomieni wpadając. Podstępni rybacy z żywymi ruchami ramion cicho, szybko zgarniali do worów tę skrzydlatą zamieć, która ich głowy, odzież, czółna okrywała białością śniegu.

Cicho, bardzo powoli, bez najłżejszego odgłosu, który by trwożliwe stworzenia wodne sposzyć mógł i odstręczyć, nawet bez plusku wiosel, czerwone ognie i siedzące przy nich zaczerwienione profile ludzkie płynęły z dala od siebie w ciemnej przestrzeni po ciemnym szlaku rzeki, aż całą jego widzialną długość zajęły. Cicho było wszędzie: pod niebem, w powietrzu, na ziemi i na wodzie; tylko w górze, kędyś nad drzewami, wysoko wzbite i w ciemności niewidzialne, brzęczały roje nadniemeńskich muszek. Było to brzęczenie nieustanne, monotonne, metaliczne; zdawać się mogło, że wydawała je z siebie struna rozciągnięta i drżąca pomiędzy usianą płomienistymi punktami ciemną wstęgą rzeki a niebem, pod którym wisały obłoki do rozwiewających się dymów lub do podartej krepki podobne.

Troje ludzi u połowy góry pod topolą stojących w jednym z czółen poznało Witolda. Pierwszy spostrzegł go Jan.

— Ot i pan Witold z Kaziukiem, Walentego synem, płynie! — zawołał.

Nie z Julkiem tym razem, ale z innym jakimś rybakiem Witold płynął istotnie, cały śnieżną mgłą jacy osypany, w milczeniu i pilnie tę samą robotę co i towarzysze jego spełniając. Delikatny profil jego wyraziście zarysowywał się na tle ognia, naprzeciw grubszej, lecz także młodej i kształtnej twarzy towarzysza.

— Syn pana Korczyńskiego tutaj i siestrzenica jego z nami — z cicha rzekł Anzelm. — Nowina... no... wi... na...! Już i nie spodziewałem się nowin takich o... o... glądać! — cicho i mocno jękając się dodał.

Niewiele przed północą Justyna bocznymi drzwiami do Korczyńskiego domu weszła i zaraz w garderobie, w której się znalazła, usłyszała bardzo wyraźnie z sypialni pani Emilii dochodzące głośne czytanie Teresy. Przez dwoje drzwi na w pół otwartych widać nawet było część pokoju w błękitne sprzęty ubranego i oświetlonego błękitnym światłem, w którym rozlegał się zbyt piśczętliwy, ale przyjemnie brzmiący i biegle po francusku czytający głos kobiety.

— „Znalazszy się przed królem zrobiłam dyg aż do ziemi głęboki i długo nie śmiałam spojrzeć na tyle uwielbiane oblicze wielkiego Ludwika<sup>164</sup>. Kiedy na koniec wzrok podniosłam, zobaczyłam przed sobą wszystkie wielkości i chwały Francji otaczające monarchę, tak jak gwiazdy otaczają słońce. Był tam wielki Kondeusz, książę de Luynes, książę Montmorency, książę Saint-Simon, książęta Broglie'owie, hrabia de la Rochefoucauld, margrabia Créquy<sup>165</sup> i inni, i inni, a wszyscy oczy swe mieli utkwione we mnie i we wszystkich tych oczach wyraźnie wyczytałam podziw i uwielbienie, którymi ich piękność moja przejmowała. To potwierdzenie świadectwa, które tyle już razy wydawało mi moje zwierciadło, ośmieliło mię do ogarnięcia spojrzeniem twarzy królewskiej, a jakimże był mój zachwyty, gdy i jej także uśmiech, uśmiech króla—słońca, powiedział mi, że na niebie jego dworu wkrótce gwiazdą pierwszej wielkości zaświecę. Doświadczałam uczuć boskich; myślałam, że wstępuję do raju wielkości, blasku, elegancji i rozkoszy...”

<sup>164</sup>wielki Ludwik — Ludwik XIV (1638–1715), król Francji, panujący w okresie szczytowego rozwoju francuskiej monarchii absolutnej. [przypis redakcyjny]

<sup>165</sup>Kondeusz, książę de Luynes (...) — wyliczeni tu są przedstawiciele arystokracji francuskiej, dworzanie Ludwika XIV. [przypis redakcyjny]

Cisza

Dwór, Raj

— Moja Tereniu — przerwał czytanie drugi głos kobiecy, słaby, łagodny, tęskny — czy możesz sobie przedstawić podobnie piękną, podobnie promienną egzystencję, jak tej margrabiny!...

— Ach! Takiego życia nawet wyobrazić sobie niepodobna! — westchnęła Teresa.

— Być gwiazdą pierwszej wielkości na dworze wielkiego króla... bawić się, jaśnieć...

— Być kochaną... — przerwała Teresa.

— O, tak! i przez kogóż? Przez takiego margrabiego de Créquy!... Jakąż musiała być miłość tych wykwintnych, pięknych, poetycznych ludzi!

— Ach! Takiego szczęścia wyobrazić sobie nawet niepodobna!

— W takich warunkach ja także byłabym zdrowa, wesola, zadowolona, mogłabym tańczyć, nie tylko chodzić, pełną piersią oddychać, słowem, żyć! Prawda, Tereniu?

— O!

— Jakże nierówno pomiędzy ludźmi rozdzielone jest szczęście! — raz jeszcze westchnęła pani Emilia i zapewne łza spłynąć musiała po jej chudym i białym jak lilia policzku, bo słyszeć się dały perswazje Teresy:

— Niech tylko najdroższa pani nie denerwuje się, nie płacze, bo znowu atak być może... Moja najmilsza pani, proszę zapanować nad sobą i nerwy oszczędzać... może już kula dusi?...

Tęgo więc wieczoru pani Emilia i jej towarzyszka zamiast po rozłogach kuli ziemskiej podróżowały po przestrzeni czasu zatapiając się w czytaniu pamiętników jednej ze sławnych w wieku siedemnastym wielkich dam francuskiego dworu.

Justyna weszła do ciemnej sali jadalnej, w której głębi przez drzwi szeroko otwarte widać było gabinet pana domu, obficie dużą na biurku stojącą lampą oświetlony. Przy biurku siedział Benedykt Korczyński i w rozwartej przed nim rachunkowej księdze kreślił długie kolumny cyfr i notatek. W świetle lampy wysoka i gruba jego postać z długimi wąsami, ciemną twarzą i gęstymi, rozrzuconymi włosami uwypuklała się ciężko i ponuro. Było coś smutnego i bardzo poważnego w tym człowieku, samotnie o północy w głębi wielkiego, starego domu pracującym. Wydawał się tak w pracy swej pogrążony, że żadna myśl jej obca, żadna troska nie mająca związku z wychodzącymi mu spod pióra notatkami i cyframi dosięgnąć by go nie mogły. Jednak w sąsiedniej ciemnej sali odgłos stąpania usłyszawszy, żywym ruchem głowę znad księgi rachunkowej podniósł.

— Witold? — głośnie zawołał.

Justyna w progu oświetlonego gabinetu stanęła.

— A! To ty! — wymówił takim tonem, jakby tylko co był się ucieszył, a teraz uczucia zawodu doświadczył.

Ręką po drgających od zmęczenia powiekach powiódł.

— Nie wiesz czasem, gdzie... Witold?

Powiedziała, że tylko co widziała go pływającego po Niemnie z rybakami, którzy jacieć łowią.

— A! — rzekł krótko i znowu pochylił się nad rachunkową księgą.

Justyna zbliżyła się ku niemu.

— Dobranoc, wuju — rzekła z cicha i dłużej, serdeczniej niż zwykle rękę jego ucałowała.

Po głowie jej kręciły się słowa:

„Nie krzyknął, nie zapłakał, tylko przed oknem stanął i w nocne ciemności patrząc takim głosem, jaki u konających bywa, kilka razy imienia boskiego wezwał!”

Całując go w rękę, w twarz mu patrzyła. Boże! Ileż zmarszczek, ileż zmarszczek tę twarz okrywało! Tworzyły one grube fałdy i cienkie promienie na czole, na policzkach, dokoła wypukłych oczu z piwną, posępną źrenicą. Która z tych zmarszczek była mogiłą jego obu braci? W których pogrzebane leżą nadzieje i uniesienia jego młodości? Które wyrzył czas przez dwadzieścia kilka lat długo, ciężko, ołowianymi kroplami na głowę mu ściekający?

— Dobranoc, dobranoc! — z roztargnieniem odpowiedział i szorstkimi wąsami czoła jej dotknął. O nic jej nie zapytał. Nigdy domowych nie zapytywał o nic, co się ich samych tyczyło. Wiecznie zajęty, zafrasowany<sup>166</sup>, zamyślony, wydawał się na wszystko,

<sup>166</sup>zafrasowany — zmartwiony. [przypis edytorski]

co z gospodarstwem i interesami związku nie miało, obojętny, a zapewne taki był i istotnie. Jednak gdy odeszła, podniósł znowu głowę, odrzucił pióro i długi wąs gwałtownym ruchem w dół pociągnął. Coś w nim wrzało żalem, gniewem, niepokojem.

— Z rybakami po Niemieńce pływa... błazen! — gniewnie i prawie głośno sarknął. — Nigdy go w domu nie ma... nigdy przy mnie... nigdy tak, jak dawniej... zły chłopak... bez serca... egoista!

Koniec wąsa do ust włożył, szklannym wzrokiem wpatrzył się w przestrzeń i ze zdumieniem, cicho, kilka razy wymówił:

— Co mu się stało? Co mu... co mu... co mu się stało?

Nieopisana tęsknota poruszyła zmarszczki jego czoła, osłupiałe oczy wilgocią zaszyły.

Wszedłszy na wschody do górnej części domu prowadzące Justyna uchyliła po cichu drzwi pokoju swego ojca. Rozlegające się w ciemności przeciągłe, głośnie chrapanie oznajmiało o głębokim i spokojnym uspieniu Orzelskiego. Otworzyła naprzeciw znajdujące się drzwi i znalazła się w pokoju swoim i Marty, lampką palącą się na stole oświetlonym.

— Aha! Jesteś! Przecież wróciłaś! O północy panienka ze spacerów wraca. Winszuję, ale nie zazdroszczę! Mnie lepiej w łóżku leżeć. Starość i młodość! Wieczna historia!

Słowami tymi powitał ją gruby i trochę ochryply głos z kąta dość obszernego pokoju wychodzący. W kącie pokoju stało łóżko, na którym watową kołdrą owinięta i w całej długości swej wyciągnięta, z twarzą ku sufitowi zwróconą leżała Marta. W półcieniu sztywne jej ciało podobne było do spowitej mumii; żółta twarz majaczyła wśród bieli poduszek i oczy jak czarne paciorki błyszczały.

Justyna w milczeniu zbliżyła się do komody, nad którą wisiało przybite do ściany lustro, i powoli suknię zdejmować i włosy splatać zaczęła. Marta mówiła ciągle:

— Skądże to bogi prowadzą? A miotły żadnej z sobą nie przyniosłaś? Widziałam ja dziś, widziałam, jak stroiłaś się w muślinową sukienkę i z pół godziny włoski sobie przed lustrem układałaś. Byłam pewna, że spodziewasz się wizyty bogatego konkurenta. Ot, biały kruk znalazł się, słowo honoru! Biedną dziewczynę, nie tak to wysoko edukowaną i nie tak to nadzwyczajnie piękną, wprost z rezydencji u krewnych za żonę chce wziąć i wielką panią zrobić! „No, no! — myślę sobie — nic dziwnego, że sama nie wie, jak do niego przyzobaczyć się i ustroić!” Aż tu wzięła, poszła sobie i na pół dnia zginęła. Gdzie ty ginęłaś? Czy znów tam?... I po co to? Wieczne głupstwo! A żeby Różyc przyjechał, ha? Dwom bogom nie można służyć... albo księżę... no, nie księżę, ale w porównaniu z tobą więcej niż księżę... królewicz albo chłop. Po chłopskie miotły chodząc królewicza stracić możesz i lament będzie, i prędko zrobisz się do cholery podobna, jak ja, albo do synogarlicy, wiecznie szyję po cukier wyciągającej, jak Teresa! Wieczny śmiech, słowo honoru! Ha, ha, ha, ha! Uf, nie mogę...

Zaśmiała się, zakaszła i zaraz znowu mówić zaczęła. Oprócz zwyczajnej żywości i popędliwości czuć było w jej mówieniu niezwykle niepokój. Nogami pod kołdrą czasem poruszała i oczy jej w półcieniu coraz silniej połyskiwały.

— Cóż tam słyhać?... Ha? Co ty tam robisz? O czym rozmawiasz? Alboż ty umiesz z nimi rozmawiać? Oni tam nic o francuskich romansach ani o sonatach<sup>167</sup> i nokturnach nie słyszeli, a przy tym wyrazów takich śmiesznych używają... wszelako, smętek, przeddziady, złotny, siostra... pamiętam... pamiętam! Kiedyś tak byłam do ich mówienia przywykła, że i sama, bywało, omyłem się czasem i powiem: przeddziad albo złotny, a potem aż palę się od wstydu. No, co tam! Pewno aż cię korci, tak chcesz dowiedzieć się, czy królewicz dziś przyjeżdżał. Bądź spokojna, nie przyjeżdżał. Kirlowa tylko zaraz po twoim wyjściu przyjechała; Emilka przysłała po mnie, abym ją przyjęła, bo sama spodziewała się migreny i już nawet poziewać zaczynała... W gruncie rzeczy, nie tyle z powodu migreny Kirlowej przyjąć nie chciała, ile dlatego, że leniła się rozmawiać. A Teresa znów mówiła, że jakąś bardzo ciekawą książkę dziś czytają. Wieczne głupstwo! Dość, że z Kirlową godzin ze dwie przesiedziałam, choć mnie aż z kanapy podnosiło, bo bułki dziś piekłam. Od pierwszego momentu o ciebie pytać się zaczęła: gdzie ty? Co robisz? Jak teraz wyglądasz? Czy poweselałaś? Potem delikatnie naprowadziła rozmowę na Zygmunusia i po cichutku mnie zapytała: czy ty już w nim ani troszkę zakochana nie jesteś? Aż nareszcie i o kuzynku gadać zaczęła: jakie mu jeszcze majątki i bogactwa zostały, jaki on dobry, jaki

<sup>167</sup>sonata — rodzaj utworu muzycznego. [przypis edytorski]

nieszczęśliwy! Zapytałam się: dlaczego taki nieszczęśliwy? „Ot, mówi, żałuje, że młodość, zdrowie i tyle majątku zmarnował, a przy tym...” i coś mi takiego powiedziała, że nie rozumiałam... „Największe jego nieszczęście” — zaczęła i zaczerwieniwszy się, jak to ona czerwieni się zawsze, za język siebie ukąsiła. Mnie ciekawość wzięła. Dopytywać się zaczęłam: jakie to nieszczęście? Ze spuszczonej oczami jak truśka<sup>168</sup> mruknęła: „Morfina!” I niczego już więcej o tym dopytać się u niej nie mogłam. O tym już tylko mówiła, że pragnęłaby bardzo, aby się ożenił i w Wołowszczyźnie stale osiadł, bo to jedno jeszcze mogłoby go ze wszystkich jego nieszczęść wyleczyć. Trzeba tylko, żeby ożenił się z kobietą dobrą, rozsądną, poważną i taką, która mu się bardzo podoba, Ta kobieta byłaby z nim szczęśliwa, bo dobry jest, rozumny, szlachetny i tyle tylko jego winy, że bogatym będąc za wiele sobie za młodu pozwolił. On sam już to rozumiał i żenić się postanowił... Słyszysz, Justynko? Już postanowił, a ona, zdaje się, dlatego tylko dziś tu przyjechała, aby wyrozumieć, co ty o tym myślisz i jak postanowisz... Na swachę<sup>169</sup> wykierowała się, ale nic w tym dziwnego nie ma: kuzynka chce od baletnic, bankructwa i jakiejś tam morfiny wyratować, a on podobno dobry dla niej i trochę jej nawet świadczy... Widzisz, co ja tobie naopowiadałam! Może zła koleżanka ze mnie? Teraz możesz spokojnie położyć się i o panowaniu marzyć. Nie rozumiem tylko, słowo honoru, dlaczego dziś w domu nie siedziałas i na królewicza nie czekałaś? Papcio cały dzień sam grał, a nad wieczór zachciało mu się z akompaniamentem pograć... Jakiegoś nowego nokturna czy diabła nauczył się i ciebie nauczyć chciał... Po całym domu córeczki szukał, a córeczka jak w wodę wpadła. Gdzie ty przepadałaś? Pewno sama jedna jak mara nie włóczysz się po polach i lasach! Nim królewicza do reszty złapiesz, pasterza sobie jakiegoś wynalazłaś. No, przemówże choć słowo! Czy oniemiałaś? Ja do niej gadam i gadam, wszystkie nowiny, które ją interesować mogą, opowiedziałam, od gadania aż ochryplam, a ona nic powiedzieć mnie nie chce... skryta, harda... niedobra dziewczyna... słowo honoru, niedobra! Uf!

Łatwo odgadnąć było można, że pragnęła, aby ta, do której przemawiała tak długo, odpłaciła jej wzajemnym opowiedzeniem czegoś, co ją zajmowało, zaciekawiało gorąco, namiętnie. Namiętym blaskiem gorzały teraz w półcieniu jej czarne oczy; ręce spod koldry wydobyła i czyniła nimi niespokojne, prawie gwałtowne ruchy. W głosie, jakim ostatnie wyrazy swe wymówiła, brzmiał żal do towarzyszki uczuwany.

— Skryta, harda, niedobra! — powtórzyła.

Zakaszła, umilkła i z oczami w sufit wlepionymi. nieruchomo znowu leżała.

Justyna z warkoczem już splecionym i z tyłu głowy zwiniętym, w białym, luźnym kaftanie, bosa, do łóżka jej podeszła i przy nim uklękła. Rękę jej dużą, kościstą w swoje ręce biorąc, blisko ku niej schyłona, cicho zapytała:

— Ciotko, dlaczego ty żoną jego zostać nie chciałaś?

— A? Co? — wzdrygnęła się stara panna i całym swym ciężkim ciałem ku pytającej się zwróciła.

— Co? Dlaczego ja... jego żoną... — głośnym i trochę świszczącym szeptem mówić zaczęła. — Jego?... Czyją? Czy ty go naprawdę widzisz... znasz? Czy to on sam tobie mówił... o mnie mówił... wspominał?... Naprawdę wspominał?

— Wspominał, mówił, wiele przecierpiał, i teraz jeszcze nie stał się zupełnie taki jak wszyscy...

— Przecierpiał! A jaż nie przecierpiałam? Niezupełnie taki jak wszyscy?... a jaż taka? Wieczny smutek... wieczny smutek... wiecz-ny smu-tek!...

Wielkie, ciężkie, długie westchnienie szeroką jej pierś podniosło; ozwała się w nim chryпка do jęklivego szmeru podobna.

— Dlaczegoż? Dlaczegoż więc? Dlaczego? — rękę jej coraz mocniej w dłoniach cisnąc z gorączkowym prawie pośpiechem zapytywała Justyna.

Rozgorzałe oczy Marty tkwiły w jej twarzy, jakby przeszyc ją chciały i dostać się aż do mózgu, aż do najskrytszych myśli.

— Nie powiedział przyczyn? Wszystko powiedział, a przyczyn nie powiedział? A?

— Nie powiedział.

<sup>168</sup>truśka — osoba trwożliwa, nieśmiała. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>swacha — swatka. [przypis edytorski]



Długo milczała, potem spokojniej nieco niż wprzód, od klęczącej przy niej dziewczyny wzrok odwracając, mówić zaczęła:

— A ty chcesz wiedzieć? Chcesz? Przez ciekawość? Zawsze to rzecz ciekawa, dlaczego panna kawalerowi, choćby takiemu, harbuza dała<sup>170</sup>. Pewno myślisz, że o czymś ciekawym posłyszysz? Jakaś osobliwa historia... przymus... przeszkody... awantury... tragedie! Otóż mylisz się. Niczego osobliwego, romansowego, jak na teatrze odegranego nie było. Była to sobie rzecz ordynarna<sup>171</sup>, prozaiczna, taka, co wszędzie rośnie, i tam nawet, gdzie jej nie posieją. Było to wieczne głupstwo... moje własne głupstwo... widzisz, jak prozaicznie...

Zaśmiała się.

— Przyczyny... — powtórzyła. — Przyczyny... przyczyny... Dwie ich były: raz, że królowna okrutnie bała się ludzkiego śmiechu; po wtóre, że bardzo też zlekła się ciężkiej pracy. Ot, i wszystko. Zabraniać nie zabraniali, bo nikt też i prawa do tego nie miał. Sierotą byłam i dwadzieścia kilka lat miałam. Ale wyśmiewali, żartowali, kpili! Dopóki na świecie gotowało się jak w garnku i ludzie z pozapalonymi na karkach głowami chodzili, dopóty o równości mowa była; obejmowali się, ściskali, bratali, pan chłop a w karcie swojej woził i pięknie prosił: „Kochaj ty mnie choć troszkę i nazywaj po imieniu, Wasylku! Czy tam Jurasiu albo Anzelmku!” Ale kiedy pożar zgasł, na zgliszczach znowu pokazały się góry i doliny jak dawniej, jak dawniej... góry i doliny! „A ty, Wasylku albo Anzelmku, nie waz się z doliny na góry wchodzić! A ty, królowno, jeżeli z góry na dolinę zstąpisz, to my cię ani bić, ani prześladować nie będziem, bo za rozumni jesteśmy na to i za delikatni, ale wyśmiejem cię, tak wyśmiejem, że aż kolki nas w bokach zeprą!” Ot, jak było! Nie przeszkadzali, nie prześladowali, tylko wyśmiewali. „Ot, ślicznego konkurenta Marteczka sobie zdobyła!” Darzeccy wyśmiewali, ten błazen Kirlo kpił, nawet pani Andrzejowa uśmiechała się na samo wspomnienie, że ja bym mogła wyjść za takiego człowieka, co własnymi rękami orze. Ten błazen Kirlo aż zalegał się od śmiechu: „Co to orze! Orać to jeszcze pięknie, poetycznie, ale on sam gnój na pole wywozi i pewno od tego bardzo śmierdzi!” I każdy, kto tylko o tym konkurencie posłyszał, aż kładł się od śmiechu. A ja, wiesz? Jak w ogniu paliłam się we wstydzie. Nocami, bywało, płacząc z tęsknoty za nim i z wyobrażenia, jaka bym z nim szczęśliwa była, jak bóbr płacząc; a w dzień przed krewnymi i znajomymi, słowo honoru! Zapieram się jego jak Piotr Chrystusa, i... wiesz? Wieczna podłość! sama, sama z takiego konkurenta śmieję się, więcej jeszcze niż oni. Czasem lży gradem leją się mnie po twarzy, ale oni myślą, że to od śmiechu... Jeden Benedykt nie wyśmiewał, bo mu i nie do śmiechu wtedy było i może nie tak prędko, jak inni, zapomniał o tym, że brat tego, którego tak wyśmiewali, do jednej mogiły położył się z jego bratem. Ale on znów z innej beczki zaczynał. Perswadował: „Praca ciężka. Będziesz musiała sama pleć, żąć, krowy doić, gotować, pracć...” Całą litanię wypowiadał tego wszystkiego, co ja robić będę musiała. „Nie wytrzymasz, zdrowie stracisz, zgrubiejesz, schłopiejesz!” To mnie i najwięcej odstręczyło, jeszcze więcej niż kpiny i wyśmiewania. W samej rzeczy, jakimże to sposobem, ja, królowna, miałabym pleć, żąć, krowy doić, pracć?... Zamęcę się, pewno zamęcę się, nie wytrzymam przy tym i schłopię! Skąd te moje królestwo pochodziło? Diabli chyba wiedzą, bo goła byłam jak bizun, w dziurawych trzewikach czasem chodziłam; edukację jakąś miałam, ale wcale pewno nieosobliwą<sup>172</sup>, a pracowałam w Korczyni od najmłodszych lat, zawsze, i nie na żart, bo całym domem, folwarkiem, ogrodem zarządzałam, szyjąc przy tym odzienie dla siebie i dla innych, dla siebie te tylko, które w prezentach od krewnych dostawałam. Ale z obywatelskiej familii pochodziłam, krewni majątki mieli... Więc tedy i królowna... Naprawdę, takiej pracy, jaką bym tam miała, przeleżałam się... „Co tam — myślę — zapomnę, odtęsknię się, odżałuję!” A Darzecka trzepała: „Zdarzy ci się pewno ktoś inny, stosowniejszy, ja ci sama wyswatam!” Nie zdarzył się, nie wyswatała, bo prędko zaczęła własne córki swatać, a czy ja odżałowałam i zapomniałam, o tym już tylko mnie i Panu Bogu wiadomo. Dość, że za chłopca nie wysłałam, nie żęłam, nie pęłam i krów nie doilałam... bo co się tyczy gotowania i prania, to zdarzało się, zdarzało się... Korczyn z wielkiego zrobił się małym królestwem i wypadało w nim nieraz ręce przy robocie namozolić... Ale nie żęłam i nie pęłam... a to wiele znaczy... dla tego wyrzec się wiele warto... dla tego tylko, aby nie żąć i nie pleć, żyć

Miłość, Małżeństwo,  
Chłop, Pozycja społeczna,  
Praca, Szlachcic, Śmiech

<sup>170</sup>dać harbuza — odmówić kawalerowi reki panny. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>ordynarny — pospolity. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>nieosobliwy — nieszczególny. [przypis edytorski]

warto... już to za wszystko wynagradza: i za kochanie, i za dach własny, i za te dzieciaki, które by może pieścizkami życie słodziły, i za to, że człowiek, zanim jeszcze postarzał, do cholery podobnym się zrobił, za wszystko wynagradza... za wszystko nagrodę sobie znajduję w tym, że nie żęłam, nie pęłam i nie schłopiłam się... Toteż kontenta jestem, bardzo kontenta, i całe życie w wielkim ukontentowaniu przeżyłam... A przy tym sława i honor mnie należy za to, że wyratowałam się od wstydu i poniżenia... sława i honor... wieczny honor... wieczny honor!

— Ciotko! ciotko! biedna, biedna ciotko! — rękę rozgorączkowanej i coraz spieszniej oddychającej kobiety w dłoniach swych tułac szeptala Justyna.

Ale ona, zwracając ku niej swą żółtą twarz, na której policzki wybiły się dwie ogniste plamy rumieńców, prędkim, świszczącym szeptem pytać zaczęła:

— Cóż tam z nim? Jak on wygląda? Czy zupełnie wyzdrowiał? Czy z synowcem w zgodzie żyje?

Długo obie z twarzami ku sobie przybliżonymi szeptem z sobą rozmawiały.

— Dom nowy zbudował? Jakże tam we środku? Świetlica duża, czysto? Porządnie?

A gdy Justyna na wszystkie już pytania jej odpowiedziała, zapytywała znowu:

— Wspomina? Jak wspomina?

Czasem zamyślały się obie i chwilę milczały. Potem słychać było znowu szept pytający:

— Wspomina? Czy często wspomina?

Przyjaźnie, łagodnie, z cicha, klęcząca przy łóżku, kwitnąca młodością i siłą kobieta opowiadała drugiej — tej poranionej, zestarzałej, gorzkiej i gniewliwej — jak i kiedy o niej mówił, opowiadał, wspominał.

Po wklęsłych, zwiędłych ustach Marty przewijać się zaczął uśmiech, uspakajały się wzburzone jej rysy, powieki opadały na ukojone, przygasłe, cichą słodyczą omglone źrenice.

— Wspomina! — szepnęła raz jeszcze i uciszyła się zupełnie.

Nie usnęła, ale cicho i nieruchomo leżała, tylko w jej piersi, wzruszeniem i długim mówieniem wzmożona, grała, jęczała, szemrała chryпка.

— Ciotko — szepnęła Justyna — ty chora jesteś naprawdę i ciężko. Dlaczego leczysz się nie chcesz?

Podniosła powieki i znowu ze zwykłą swą porywcznością i oburkliwością sarknęła:

— Po co? Na co? Czy nie możesz powiedzieć mi, po co i na co?

A potem dodała prędko:

— Któż ci to powiedział? Wymyślił! I dzieci wymyślają, że ja chora. Zdrowszej ode mnie na świecie nie ma. Dajcie mi pokój z waszym leczeniem i z waszymi doktorami. Idź spać! Dobranoc!

Wymówiwszy to zamknęła znowu powieki i znowu powoli wyrazem ukojenia i słodczy oblekły się jej rysy.

Justyna wstała, chwilę jeszcze na nieruchomo leżącą kobietę patrzyła, aż pochyliła się i długo, cicho pocałowała ją w usta. Potem odeszła, lampę zagasiła i u zamkniętego okna usiadłszy patrzyła na błękitnawe świtanie, wśród którego drzewa, niby zaczarowane strażę, stały w nieruchomości kamiennej, blade obłoki krepowym welonem zasłaniały niebo, a na Niemnie bladოსrebrnym gdzieniegdzie pluskały ryby, w wielkie koła rozbijając zwierciadlaną powierzchnię wody lub wyrzucając nad nią krótkotrwałe, niskie fontanny. Wkrótce znad boru, we wschodniej stronie nieba, wychylił się różowy rąbek jutrzeńki, po gałęziach drzew przebiegły szeleszczące dreszcze, ciszę zmaciło przeciągłe, donośne pianie koguta, które rozległo się blisko domu, potem powtórzyło się dalej i znowu dalej, coraz dalej, a zarazem słabiej. Jak czujni wartownicy na rozległej przestrzeni rozstawieni i kolejno sobie hasło podający, tak ptaki te wśród powszechnego uspienia powtarzały jeden za drugim wschód dnia zwiastujące, tryumfalne krzyki. Justyna w coraz rozszerzającą się i gorętszą wstęgę jutrzeńki wpatrzona, uchem łowiła kogucie piania, które teraz słabym odgłosem dochodziły z okolicy, z najbliższych zrazu jej domów, potem z dalszych, na koniec, zaledwie dosłyszalne, z bardzo daleka, może aż znad parowu Jana i Cecylii. Zamknęła oczy i głowę złożyła na wspartym o okno ramieniu, i marzyła czy śniła? Widziała przed sobą wyraźnie, żywo, prawie jaskrawo zagrodę, blaskiem jutrzeńki zaróżowioną, operloną poranną rosą i stąpającego po niskiej trawie dziedzica młodego, pięknego chłopca. Do

Ptak, Świt

Marzenie, Sen

stajni poszedł, wrota jej otworzył, wóz drabiniasty wyciągać z niej zaczął. Młodziutka, bosa dziewczynka z wiadrami na ramionach pod szeregiem starych lip przebiegała, ku rzece dążąc; stary człowiek w grubej kapocie, z promienistym snopem zmarszczek na wysokim czole, otwierał okno przeciwnika i blade, cierpiące źrenice ku porannemu niebu podnosił. Lecz ktoś to jeszcze wyszedł na ganek domu i stoi pod jego gzymsem w grube floresy wyrzeźbionym? To ona sama... ona... w krótkiej, kraciastej spódnicy, z kosą spuszczoną na luźny kaftan, z twarzą szczęśliwą jak szczęście tego pięknego chłopca, który ku niej oczy zwrócił, z sierpem w ręku...

Marzyła czy śniła? Wydało się jej znowu, że zmrok panował na świecie, przezroczysty, ale bez dnia i słońca, a ona górą płynęła i szeroki widnokrąg obejmowała wzrokiem, tak szeroki, że widziała wyraźnie dwór korczyński i okolicę, i w gęstej zieleni ukryty grobowiec legendowej pary, i u drugiego końca widnokregu smutną pustynię piasków, a za nią w zamkniętym kole wzgórzystości leśnych samotną, wielką mogiłę. Wszystko to pogrążone było w przezroczystym zmroku; a ona płynąc górą trzymała w ręku lampę... lampę tę samą, która wczorajszego wieczora na olchowej komodzie Anzelma płonęła. Widać stamtąd ją wzięła i teraz podnosiła wysoko, a promienie jej, skąpe wprawdzie, wąskie, padały jednak na dachy domostw, złote nicie rzucały na spajającą zagrody sieć płotów i ścieżek, dostawały się z jednej strony aż na prastary grobowiec, z drugiej na opuszczoną mogiłę, oświetlając je i niby je wiążąc, łącząc jak ogniwa jednego łańcucha.

Marzyła czy śniła? Na włosach swych, na twarzy, na ustach czuła ciepłe, długie pocałunki. Były to promienie słońca, które wytryskując zza różowego pasa jutrzeńki rozdarły białą krepę obłoków i końce strzał swoich spuściły na drzewa, na trawę, na wodę, na rozszczebiotane nagle ptaki i — na nią. Lecz sen czy marzenie niosły jej te pocałunki nie od gwiazdy dnia może, ale od kogoś innego, innego... bo twarz jej spłonęła rumieńcem i upojony uśmiech roztworzył pąsowe usta.

Słońce

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/nad-niemnem-tom-drugi>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Nad Niemnem*, t. 1-3, wyd. 13, wyd. Czytelnik, Warszawa 1976

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Aleksandra Żurek, Anna Dyja, Dominika Tarnacka, Izabela Kieszek, Marta Niedziałkowska, Olga Sutkowska.

Okładka na podstawie: R0010910.JPG, taiyofj@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0631-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.